

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

TOM I.

WYDAWNICTWA
 KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA & SCHMIDTA WE LWOW

BIBLIOTEKA POLSKA.

- Biblioteka polska. Każdy tom brosz. 1 zlr. 80 ct., w opraw.
- T. I. II. Krasieński Z. Pisma. Wydanie z przedmową St. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — IV. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski B. Poezje. Wydanie przejrane przez autora. — XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrane przez dr. Węglewskiego. — XII. Niemcewicz Jan. Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. Słowacki Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII. — XIX. E...ly Asnyk Adam. Poezje, 3 tomy. — XX. — XXII. Małecki A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wybicki. Pamiętniki. — XXIV. — XXV. Mickiewicz A. Dzieła. — V. VI. — XVI. — XXVIII. Mickiewicz A. Korespondencja, 3 tomy. XXIX. — XXXI. Kitowicz X. Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy. — XXXII. — XXXIII. Kitowicz X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy. XXXIV. — XXXVII. Romanowski M. Pisma 4 tomy. — XXXVIII. — XXXIX. Słowacki J. Listy 2t., wydanie II. znacznie pomnożone. XL—XLII. Słowacki J. Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone. XLIII. — XLIV. Krasieński. Pisma. 3—4. XLV. Kraszewski J. I. Poczeye. — XLVI. — XLVII. Lenartowicz T. Pisma pośmiertne. 1. części. Wydanie dr. W. Bruchnalskiego.
- Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie
- Opowiadania historyczne, I tom
- Abracham W. Dr. Organizacya kościoła w Polsce do połowy XII. w. wydanie drugie znacznie powiększone
- Borkowski Jerzy Sewer hr. Dunin. Spis nazwisk szlachty polskiej. 8vo Lwów. 1887 str. 611
- Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII. wieku 2 tomy
- Duchińska S. Pisma pamiętnik
- Dzieduszycki W. Historia malarstwa we Włoszech z 20 rycinami
- Listy o wychowaniu
- Roztrząsanie filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej
- Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie
- Głabiński Dr. S. Wykład nauki skarbowej
- Gubrynowicz B. Dr. Kazimierz Brodziński. Przyczynek do biogr. i charakterystyki
- Artykuł Brodzińskiego o Mickiewiczu
- Piast Dantyszek. Karta z twórczości J. Słowackiego
- Słowacki w świetle najnowszej krytyki
- Wincenty Reklewski. Szkic literacki
- Jeź J. J. Ostapek, ustęp z przeszłości emigracyjnej
- Kaczkowski K., lekarz wojsk polsk. Wspomnienia 1808—1831. 2 tomy
- Koźmian Andrzej Edward, Listy od r. 1829—1864 3 tomy
- Krasieński. Listy: I. do Gaszyńskiego, II. do Soltana, III. do Słowackiego, Załuskiego i t. d. Tom po
- Kubala L. Jerzy Ossoliński. 2 tomy
- Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane przez L. Siemińskiego
- Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiery
- Łoziński Wł. Patrycyat a mieszczanstwo lwowskie w XVI i XVII wieku. Wydanie drugie z 107 rycinami
- Nowe opowiadanie Imię Pana Wita Narwoja
- Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o Mickiewiczu
- Rawita F. Charezy. Powieść historyczna z drugiej połowy XVIII. w. 2 tomy
- Struś, Pułkownik. Ludzie i wypadki z r. 1861—1865. Obrazki z powstania 2 tomy
- Sewer. Bratnie dusze, powieść
- Zacharjasiewicz J. Teorya pana Filipa
- Jedna krew, powieść

PISMA
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

WYDANIE ZBIOROWE

Z PRZEDMOWĄ

STANISŁAWA hr. TARNOWSKIEGO.

TOM I.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1898.

Biblio

Dr. /

Abra

Bork

Bror

Ducl

Dzie

Estr

Ślab

Gubi

Jeż

Kac

Koż

Kra

Kub

List

List

Łoz

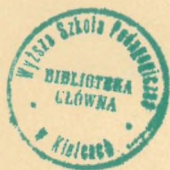
Nie

Rai

Str

Sei

Zai



133104

~~BIBLIOTEKA
PAŃSTW. LICZEBN. PEDAGOGICZNEGO
w Kielcach~~

~~1857~~

88M-821

L-P

PRZEDMOWA.



Wydanie niniejsze dzieł Zygmunta Krasińskiego jest ze wszystkich dotychczasowych najzupełniejsze i najpoprawniejsze.

Dokonane na podstawie wydania paryzkiego z roku 1859 — 1862, ma nad niem tę wyższość, że obejmuje wiersze częścią niedrukowane dotąd nigdzie, częścią drukowane niedokładnie, częścią rozproszone po różnych pismach peryodycznych, i że oznacza czas, w którym każdy z nich był napisany. Z wyjątkiem listów, na które jeszcze czas drukowania nie przyszedł, powieści z lat młodzięcych, na których wydaniu mniej zależy, i tych pism, których autor sam ogłaszać nie pozwolił — wychodzi dziś wszystko, co wyszło z pod pióra Krasińskiego, w tekście najniewątpliwszej autentyczności.

Składając zaś to wydanie w ręce czytającej publiczności polskiej, nie myślimy w przedmowie ani dzieł Krasińskiego zalecać czy objaśniać, ani wydania tego zachwalać. Jeżeli zaś uznaliśmy za potrzebne opatrzyć je kilkoma słowami przedmowy, to dla tego jedynie,

14

iż nie sam tylko tekst niektórych (bodaj drobniejszych; Krasińskiego wierszy, ale i ściśle oznaczenie czasu i miejsca powstania jego dzieł, jak i niektórych okoliczności jego życia, wydało nam się potrzebnem. Jedne i drugie podawane bywają różnie, a zatem po części mylnie, inne znowu ogólnie, tylko w przybliżeniu: kiedy szczęśliwym zbiegiem rzeczy było nam dozwolonem zajrzeć do najlepszych źródeł, i z listów Krasińskiego samego i jego przyjaciół wyciągnąć najpewniejsze daty odnoszące się do jego dzieł, pospieszamy zamieścić je poniżej, w nadziei, że usuniemy w ten sposób wszelkie zachodzące wątpliwości lub niedokładności.

Jeżeli powtarzamy tu rzecz tak znaną jak ta, że Krasiński urodził się 19. Lutego 1812 roku w Paryżu, to dla tego tylko, iżby dodać do tej wiadomości szczególnie mniej znany, mianowicie: że dom w którym się urodził, stał przy Boulevard Montmartre i nosił numer 10.

Z dzieciństwa jego zapisujemy, że do Liceum warszawskiego oddany był w roku 1826, i że pierwszym jego literackim tryumfem, oraz pierwszym dowodem zdolności, który zwrócił na niego uwagę nauczycieli i współuczniów, był przekład Switezianki Mickiewicza na język łaciński. Z tych pierwszych lat szkolnych pochodzi jego przyjaźń z Konstantym Gaszyńskim i pierwsze jego kroki w zawodzie pisarskim. Gaszyński świadczy, że oba nie mieli miłszego zajęcia jak czytanie powieści (a nadewszystko Walter-Scota), że Zygmunt zwłaszcza czytywał je z największym zapałem, marzył o pisaniu podobnych, roił coraz nowe do nich pomysły, i z tego to zajęcia wyobraźni wyszedł Grób Rodziny Reichsthalów, napisany w roku 1827, a drukowany w Dodatku literackim Korespondenta Warszawskiego wychodzącego pod redakcją F. S. Dmochowskiego.

V

W roku następnym (1828), w tych samych stosunkach, tylko już na Uniwersytecie, i w tem samem usposobieniu (tylko z dodatkiem dziecinnęj miłości do jakiejś panienki, którą Zygmunt widywał w domu pani Starościны Opinogórskiej, swojej babki, a którą Gaszyński nazywa krótko „panną Heleną“), zawsze z tym samym wzorem Walter-Scotta przed oczyma pisał się Władysław Herman i Dwór jego, podobniejszy do współczesnych powieści historycznych polskich Niemcewicza lub Wężyka, niż do późniejszych pomysłów i stylu Zygmunta. Drukowany był w Warszawie w roku 1829.

Powody i okoliczności wyjazdu Krasińskiego z Warszawy opowiedziane były już tyle razy, że powtarzać ich niema potrzeby. W jesieni roku 1829 przybył on dla dalszych nauk do Genewy. Chęci do pisania znać nie stracił, i kierunku wyobraźni nie zmienił, skoro podczas tego pobytu w Szwajcaryi powstał, zawsze w tym samym powieściowym rodzaju, Zawisza (który przesłany do Warszawy w drodze zaginął), Starosta Wilczek drukowany w Noworoczniku Warszawskim, i Teodoro król Borów, krótkie opowiadanie rzeczywistego zdarzenia, którego bohaterem był jakiś ówczesny korsykański bandyta, drukowane w Pamiętniku dla płci pięknej (Warszawa 1830).

W roku 1830 był Krasiński po raz pierwszy we Włoszech; w Marcu 1831 wrócił do Genewy. Listów z tego czasu jest bardzo mało; te które są każą wnosić, że usposobienie jego było jeszcze smutniejsze niż po wyjeździe z Warszawy. Mimo to jednak pisał. Wspomina w tych listach jakieś Szkice z Włoch i Szwajcaryi, jakiegoś Adama Szaleńca i Przeora (zapewne powieści, zaginione), a wreszcie Marynę Carową,

która wyszła w druku w roku 1834 i znana jest wszystkim pod tytułem Agay-Hana.

W Marcu r. 1832 wyjeżdża Krasiński z Genewy przez Wenecję i Wiedeń do Warszawy. Konieczność tej podróży trapiła go, jak świadczą listy, oddawna i bardzo. Samo zdrowie zdawało się jej sprzeciwiać, bo w tym czasie cierpiał on już na oczy, i obawiał się pogorszenia w skutku długiej i męczącej jazdy. I nie mylił się: powołany z Warszawy do Petersburga, cierpiał tam tak mocno, tak był zagrożony zupełną utratą wzroku, że przez cały czas swojego tam pobytu dwa razy tylko mógł wyjść ze swego pokoju; raz na to aby być przedstawionym Cesarzowi Mikołajowi, a wspomnienie tej jedynej bytności na dworze i wrażenia jakie mu ona zostawiła, przechowało się w jednym z obrazów „Pokusy.“

W roku 1833 otrzymawszy paszport wrócił zagranicę w towarzystwie swego przyjaciela Konstantego Danielewicza — i teraz to zaczyna się jego czynność poetyczna.

Z Wiednia, pierwszego miejsca, w którem się dłużej zatrzymał po za granicami Państwa Rosyjskiego, wspomina w swoich listach po raz pierwszy o „Nieboskiej komedyi.“

W najpiękniejszej jaką posiadamy, w jedynej podobno prawdziwie pięknej pracy o Krasińskim we francuzkiej rozprawie J. Klaczki „o Bezimiennym Poecie polskim,“ jest pośród innych wielu, to spostrzeżenie bardzo trafne, że na odwrót tego co się zwykle zdarza, geniusz Krasińskiego rozwijał się pochodem dośrodkowym, zstępującym od kwestyj ogólnych, obejmujących ludzkość całą do kwestyj narodowych i psychologicznych. Nie trzeba mówić, że tem pierwszym, najszczerzszym

kołem w dośrodkowym ruchu jego myśli, jest „Nieboska Komedia“, której przedmiotem jest wielka walka społeczna tocząca się w całej Europie, a teatrem przyszłość. Choć napisana po polsku, choć autorowie jej, Henryk i Pankracy, są Polakami: „Nieboska Komedia“ nie należy do Polski tylko, ale do Europy, do wieku, bo jest zarówno ich obrazem, obrazem tej kwestyi najogólniejszej, która stanowi sam rdzeń historyi naszego wieku.

Jakim sposobem człowiek tak młody, w dwudziestym pierwszym roku życia, i człowiek który dotąd zdawał się oddawać z zapałem samym tylko, naturalnym zapewne w jego wieku ale dość marnym zajęciom wyobraźni, jak świadczą jego powieści, naraz mógł okazać się, mniejsza już że tak genialnym, ale tak dojrzałym, tak strasznie doświadczonym i trzeźwym, jak się pokazuje w „Nieboskiej Komedyi?“

Praca wewnętrzna jaka się w nim odbyła między rokiem 1830 a 1833 musiała być ogromna; niestety mamy przed sobą tylko jej skutek, nie mamy śladów jej przebiegu. Domyślać się tylko możemy, że wypadki roku 1831, o ile przyczyniły się wielce do wyrobienia poważnego i smutnego usposobienia w Krasieńskim i wpłynęły na przyspieszenie męskiej dojrzałości w młodzieńcu, o tyle na pomysł „Nieboskiej Komedyi“ wpłynąć mogły zaledwo pośrednio i ubocznie, a wpływem głównym musiał być pobyt poety za granicą, i to co tam na dnie dążności i haseł ówczesnych dojrzał i rozpoznał. „Wiek terażniejszy,“ mówi on w tym samym liście, w którym donosi po raz pierwszy o napisaniu „Nieboskiej Komedyi“ — „ciąży na mnie jak ołów.“ Dla czego? oto że pod wszystkiem co składało ówczesną historyę zachodniej i południowej Europy, pod fran-

czkami dążnościami do wolności, pod włoskimi dążnościami do niepodległości, w których wszyscy niemal widzieli tylko idealny pozór szlachetności i sprawiedliwości, on dostrzegł zarody złego, które się pod tymi pozorami kryły. Tem złem był fakt górujący naszego wieku, rdzeń i treść jego historii, antagonizm społeczny, ten pierwiastek, który choć nie zawsze wyraźnie się objawia, przecież wszystko przenika, tkwi na dnie wszystkich wypadków, wszystkich polityk, prawdziwa atmosfera współczesnej Europy, w której wszyscy żyjemy, którą wciągamy w siebie z oddechem, która niedokwasi naszą krew, krąży z nią razem w naszych żyłach, i rządzi nami, naszym życiem, losem naszych krajów, panuje w naszych literaturach, wszystko ogarnia, wszystko przejmuje, wszystko sobą ożywia... czy zabija.

Krański poznał tę duszę wieku z intuicyjnym przewidzeniem, a ze ścisłością i logiką matematyczną doszedł do tego, co w naturalnym porządku rzeczy może się stać, rzekłoby się nieledwie stać się musi, tej duszy wieku ostatnim wyrazem i czynem. Dopóki rozchodziło się jak niegdyś, jak w początkach Rewolucyi Francuzkiej, o udział narodu w rządzie, albo o formę tego rządu, albo o przywilej i równość, arystokrację i demokrację, dopóty sprawa mogła się skończyć pogodzeniem; mogła pewna, wielka część ludzkości nawrócić się do jednej lub drugiej zasady, mogło się znaleźć zastosowanie tej zasady takiej, które by sprzeczne interesa pogodziło, rewolucya mogła mieć koniec. Ale odkąd przedmiot sporu się zmienił, koniec jego przez pogodzenie i pozrozumienie stał się niemożliwym. walka bez wyjścia. W gruncie bowiem, sprawa ta stoi dziś tak, że wszystkie zwyczajne hasła pod którymi walczymy, ta lub inna forma rządu, ten lub inny porządek

rzeczy, nie jest zasadą lecz środkiem, a celem, przedmiotem sporu, jest nie ta sama dla wszystkich wolność, nie to samo dla wszystkich prawo, ale to samo dla wszystkich używanie życia. Równość używania, to jest rdzeń wszystkich systemów socyalnych i komunistycznych, a z tem zgody ani końca walki być nie może. Żeby do tej równości używania dojść, trzeba zdruzgotać miliony ludzi, którzy bronią siebie i swoich rodzin; zatem trzeba terroryzmu, trzeba anarchii, gwałtu i krwi. A przypuściwszy zwycięstwo, i przypuściwszy, że ze zwycięstwa tego nie skorzysta żaden dowódca na to, żeby wznieść siebie a opanować drugich, trzeba dopiero po zwycięstwie zabezpieczyć trwałość tego systemu, tej równości używania: a ta sprzeczna z naturą ludzką, już w drugiej generacyi okaże się zniszczoną, i znowu ta sama walka w tem samym błędnem kole. Tymczasem człowiek pracujący rękami, cierpiący, nędzny, głodny, zmarznięty, wycieńczony, on tego rozumowania nie robi, on widzi tylko że jest człowiekiem jak drugi, i pyta dla czego temu drugiemu dzieje się tak dobrze, a jemu tak źle. Porównanie to doprowadza do oburzenia wiele serc szlachetnych i szczerych, i wydaje wielu przekonanych w dobrej wierze fanatyków teoryj socyalnych. Obok tych stoją inni, dla których te teorye są środkiem własnego wyniesienia się: a jedni i drudzy muszą zawsze mieć przystęp łatwy do znudzonych i głodnych, niezaspokojonych nigdy w żadnej z potrzeb, wygod i żądz ludzkich. Historia naszego wieku jest historią ciągłej obawy tej walki i ciągłego do niej przygotowania; sztuka rządu w tej epoce, co prawie tylko (w wielu krajach Europy) szereg wybiegów któremu się wybuch tej walki wstrzymuje i ociąga: a w tych wybiegach ludzie kochający wolność muszą

nieraz z dwojga złego wybierać mniejsze, i poddają się raczej pod despotyzm choć znieawidzony, aniżeli pod anarchię. Walka tymczasem wre pod ziemią, od czasu do czasu przypomni się wielkim hukiem i trzęsieniem ziemi, które zdają się powracać peryodycznie coraz częstsze i coraz groźniejsze, a jak przyjdzie paroksyzm długi i tak silny że go nic od razu nie przetrnie — co zostanie z dzisiejszej Europy?

Takie pytania obracał w myśli swojej Krasiński, kiedy z miejsca na miejsce Europę przejeżdżał, a na żadnem spokoju i wytchnienia nie znajdował. Czuł jak pod jego stapami drgał wulkaniczny grunt włoski, słyszał grzmot podziemny źle zagłuszony świetnem i głośnem zewnętrznem życiem Francyi; mógł był w swoim wieku łatwo wierzyć, że trzęsienia ziemi nie będzie, że wulkan nie zasypie Europy lawą i popiołem; że jeżeli się ziemia zatrząsie to chyba na to tylko, żeby wypuścić jakieś wody ożywcze i dobroczynne, przez które ziemia użyźni się i zakwitnie. Ale nie — on zmuszony pierwszym swoim krokiem na świecie nie patrzeć na świat wesoło, z kierunkiem umysłu filozoficznym, badawczym, dochodzącym śmiało do ostatecznych konsekwencyj rzeczy, on ten stan świata widział w całej surowej i nagiej jego okropności; nie łudził się, nie złocił przyszłości, nie zamykał na nią oczu; owszem chciał jej odważnie w oczy spojrzeć i pokazać ją, jak jest, choćby ten obraz miał być przerażającym i smutnym jak śmierć.

„Z jakich ty ludzi złożysz Rzeczpospolitą we Francyi?“ pisze z Rzymu w roku 1834 do zapalonego podówczas dla republik Gaszyńskiego. „Czy z kupców, którzy panują, czy z robotników, którzy w warsztatach pracują dzisiaj? Bo nikogo więcej już nie widzę na tej

ziemi, a przyznasz mi, że ani jedni ani drudzy nie zdali się do porządku rzeczy wymagającego najwyższych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy bo władną, drudzy są chciwi, namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata dwa systemata tylko być mogą: despotyzm i anarchia. Nie marz więc, że pięknie i cnotliwie dojść można do ideału twego: bądź pewien, że naprzód nigdy się nie sprawdzi jak każdy ideał, a potem że usiłowania, dążenia ku niemu będą krwią oblane, otoczone zniszczeniem, i same wreszcie się wyniszczą. Cywilizacya nasza ma się ku śmierci: wiem że bliskie są czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą karać stare i same się potępią w obliczu Boga, ale wiem także, że one nie utworzą, nie zbudują, przejdą jak koń Attylli... Dopiero to czego ani ja ani ty ani nikt nie zna, nie pojmuje, wzniesie się z chaosu, i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje. Ale wtedy i moje i twoje kości prochem gdzieś będą.“

Oto powód, geneza „Nieboskiej Komedyi“ w myśli Krasińskiego. Napisanie jej nastąpiło w Wiedniu, w roku 1833.

Od pierwszego sądu jaki był o niej wydany, od rozbioru jej przez Mickiewicza, który zwrócił uwagę na ten poemat, na którym publiczność polska zrazu się nie poznała, stało się jasnym i zrozumiałem, że jego mądrość, jego wartość filozoficzna, polityczna i moralna, i jego prawda historyczna, jego zgodność z rzeczywistością, polega na tem co stanowi jego charakter tak strasznie i rozpaczliwie smutny i ponury, w tem, że nikt tu nie ma słuszności, nikt nie ma prawdy, nikt nie zwycięża. „Dążenie do ideału oblane krwią i otoczone zniszczeniem“ — „nowe zbrodnie karzą dawne, a same nie tworzą, przechodzą bez śladu jak koń Attylli“

jak żeby były bez myśli; nad światem zwaśnionym, rozprzężonym, rozpadającym się, stoi ten poeta i sądzi go bezstronnie, bez namiętności, bez uprzedzenia i bez miłosierdzia. Czy bez nadziei i bez miłości dla niego? To inna rzecz. W tem zakończeniu Nieboskiej, które jest osądzeniem i potępieniem wszystkich kierunków i dążeń naszego wieku, Rewolucyi i konserwatyizmu, widziano nieraz jakąś straszną negacyę wszystkiego; myślano, że poeta jak jego bohater z rezygnacyą rozpaczy mówi nad światem wyrok: „trza mordować się nawzajem,“ „Adam skonał na pustyni, my nie wrócim do Raju.“ Istotnie w zakończeniu poematu nie zostaje na ziemi żadna siła, żadna zasada, żadna prawda, żaden fakt nawet ani żaden człowiek, któryby zapowiadał spokój i zgodę choćby na krótko, choćby chwilowe wytchnienie. Nicosić najzupełniejsza, to prawda. Ale nie nicosić nieskończona. To jest tylko zniszczenie, unicestwienie wszystkich zaprzeczeń naszego wieku; a wszystko co my nazywamy naszymi zasadami, naszymi afirmacyami, to po największej części nie jest niczem zupełnem i prawdziwem przez się istniejącem, ale jest tylko negacyą czegoś przeciwnego. Konserwatyzm nasz sam porządkiem i zasadą nie jest, jest tylko przeczeniem Rewolucyi: Rewolucya jest znowu tylko przeczeniem, najogólniejszem ze wszystkich, negacyą wszystkiego co jest. Wolność, jak my ją pojmujemy i praktykujemy, jest zbyt często negacyą władzy; władza na odwrót zwykła się pojmować jako negacya wolności, jako reakcyja. Państwo nasze dzisiejsze jest negacyą narodu; narodowość, pojęta przez jednych jako rozbitcie ciała politycznego na atomy, na wszechwładztwo woli każdego powiatu, każdego miasta, każdej gminy, staje się negacyą i narodu i Państwa; pojęta przez drugich

jako wspólność rasy i dążność do plemiennego zjednoczenia, staje się negacją narodu i wolności. I tak wszystko: wolność religijna w naszym ręku staje się negacją religii, religia czasem zaprzeczeniem wolności sumień; równość nienawiścią wyższości nietylko urzędowej lub majątkowej ale intelektualnej i moralnej; sam lud wreszcie, w naszym pojęciu i w naszych argumentacjach staje się negacją narodu. Otóż jeżeli poeta nad to wszystko wzniesiony, wszystkiemu wróży upadek, i przepowiada, że z tych wszystkich zaprzeczeń nie zostanie nic: konkluzya jego straszna jest dla nas, którzy w tych zaprzeczeniach żyjemy i o nie się bijemy; ale nie jest rozpaczą i zwątpieniem o prawdzie, o dobru, o przyszłości ludzkości. I Henryk i Pankracy byli przeczeniem; te dwa przeczenia się zniosły, i po ich upadku nie zostało nic na powierzchni ziemi. To nie wesołe, prawda, to straszne dla nas, bo walka „Nieboskiej Komedyi“ skończoną nie jest, bo ona dziś, jak w chwili pisania jest jeszcze przyszłością: może przyszłe pokolenie po nas, może my sami jeszcze, stoczmy tę walkę do dna i ujrzymy jej straszne rozwiązanie, jeżeli się Bóg nie zmiłuje, a człowiek nie upamięta. Ale to pewna, że rozwiązanie tej walki będzie jak w „Nieboskiej Komedyi“, zwycięstwem niczyjem, zaprzeczeniem wszystkich naszych przeczeń. Wtedy świat przekona się ile one były warte, przestanie się o nie bić i mordować, przestanie w nie wierzyć, a „a z chaosu rozwinię się świat nowy z myśli bożej,“ dla którego zakończenie smutnych dziejów naszego wieku będzie doświadczeniem i nauką, że w historii nie zwycięża ani Henryk ani Pankracy, tylko Galilejczyk.“ Konkluzya „Nieboskiej Komedyi.“ straszna, rozpaczliwa, przecząca dla nas, jest dla historii, dla przyszłości afirmacją;

dochodzi przez surowy sąd sprawiedliwości bożej nad światem, do zmiłowania i do podniesienia ludzkości w epoce przyszłej, w której „nasze kości“ co prawda i co smutno, „dawno próchnem będą.“

Mysł „Nieboskiej Komedyi“ objaśnia pięknie wstęp do francuzkiego przekładu dzieł Krasińskiego: „Hrabia i Pankracy wyszli obadwa z tego samego ducha krytycznego: jeden odrzuca przyszłość, a drugi przeszłość. Ta jednostronność absolutna i wyłączna jest u obu skutkiem jednakowego braku wiary. Pankracy jest wcieleniem rozumu, który się sam ubóstwia w swojej naturze i dochodzi w wierze do wyrachowania, w czynie do siły liczebnej: Hrabia jest wcieleniem tego samego rozumu, który się unosi sam nad swoją indywidualnością, przeczy wszelkiemu prawu ogólnemu, a za prawo postępowania bierze tylko fantazyę. W swoją sprawę wierzy on o tyle, o ile wierzy w siebie; to też kiedy przyszła przegrana, wpada w rozpacz i zadaje sobie śmierć. A tę chwilę właśnie wybrał Bóg, żeby sobie zaświadczyć sposobem niezaprzeczalnym przed sumieniem ludzi i narodów.“

„Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwnem, że autor oddaje zwycięztwo Pankracemu, który cynicznie gardzi prawdą, której tryumf się objawia i uporczywie jej przeczy. Ale zwycięztwo to było potrzebne, żeby wykazać, że w walce prowadzonej bronią nienawiści, zwycięztwo musi zawsze zostać przy ślepej sile fizycznej. Tkwi w tem przecież prócz tego zamiar jeszcze głębszy. Zwycięztwo Henryka nad Pankracym byłoby uwielbieniem człowieka i jego geniuszu, a zjawisko krzyża, zamiast poprawić, byłoby go tylko utwierdziło w jego dumie. Tymczasem ani duma ani geniusz nie są panami naszych przeznaczeń, ale postęp, który je ku dobremu

ważnego i głębokiego, który był wymyślił zakończenie „Nieboskiej“ i „Irydiona“, zawsze musi się wydać dziwnym. Ale dziwniejsza jest, że w „Pokusie“, głębszej i poważniejszej, przyjaciel, jakiś Aligier na małą skalę, przebija młodzieńca, a nad ciałem przebitego odmawia modlitwę, w której poleca Bogu duszę, którą mu posłał na to, aby ją wybawić od pokus i upadku. Coby powiedział na tę mieszaninę modlitwy i mordu, i na to posłanie cudzej duszy do Boga, żeby ją wydrzeć pokusom; cooby powiedział na ten czyn miłości i zasługi Aligier z „Niedokończonego Poematu“ lub Irydion w Epilogu posłany na próbę cnoty? Coby na nią powiedział Zygmunt Krasiński z czasów „Przedświtu“ i „Psalmów“? Wszystko to dowodzi, że musiała być w jego życiu jakaś chwila wstrząśnienia i zachwiania wszystkich pojęć, skoro pomysł taki jak ten, przemycony przez wyobraźnię, mógł się wkraść w jedno z jego dzieł, a jego zmysł moralny nie dostrzegł go od razu i nie osądził.

W jesieni roku 1841 przebywał Krasiński w Lombardyi „nad jeziora włoskim brzegiem,“ i do tego czasu może odnieść trzeba nie napisanie „Przedświtu,“ ale jego pierwsze początki. Zima następna zeszła w Monachium z Danielewiczem, który tamże umarł w Marcu 1842 r. Dotknięty boleśnie stratą tego przyjaciela, przez czas jakiś nie mógł, zdaje się, Krasiński myśleć o nowym poemacie, który już miał w głowie. W jesieni dopiero, w Nizy pisze się „Przedświt,“ jak świadczy Gaszyński, z wielkim zapałem i rozmiłowaniem. Na konnych przejażdżkach lubi poeta powtarzać napisane ustępy, poprawia je, wykończy; wreszcie w Marcu, roku 1843, „Przedświt“ ostatecznie poprawiony przysłany był Gaszyńskiemu z Rzymu i dany do druku

Punkt kulminacyjny w zawodzie Krasińskiego, ten w którym on sam znalazł wreszcie swoją równowagę, w którym doszedł do jasnej i wyraźnej świadomości swoich przeczuc i przekonań, w którym rozwiązanie zagadki dziejów znalazł i ogłosił, w którym uzupełniło i objaśniło się wszystko, co w jego dziełach poprzednich było niezupełnem, niejasnem, przeczuciowem tylko, z którego wypłynęły jego pisma późniejsze: — „Przedświt“ stoi w środku jego zawodu i rzuca światło przed siebie i za siebie. Pierwsza synteza, pierwsza jasna i wyraźna afirmacja Krasińskiego, a tak stanowcza i zupełna, że wszystkie późniejsze tylko ją powtarzały i rozwijały, ale nowego już do niej nie dodały nic: i pierwsze też objawienie tego poety przed narodem, pierwsze jego dzieło powszechnie zrozumiane, a przyjęte z takim zapalem, z takim uniesieniem, że poeta dotąd mało znany, mniej jeszcze rozumiany, przez to ogółowi niesympatyczny, tem jednym dziełem wzniósł się w mniemaniu narodu tak wysoko, że od razu, bez dyskusyi, jakąś cichą, ale rzeczywistą i powszechną zgodą stanął w tej opinii zaraz przy Mickiewiczu, a stanął tak silnie i na zawsze, że wszystkie próby i usiłowania, żeby go zniżyć, zachwiać, znieść, miotają się nadarmo i pękają jak bańki z mydła w bezsilności i wściekłości swojej niechęci do Krasińskiego.

Że początki tych myśli, które są w „Przedświcie“ sięgają daleko w naszą przeszłość, że odzywają się w poezyi choć niewyraźnie, ale już od roku 1795, że Mickiewicz dał im wyraz w „Księgach Pielgrzymstwa“ i w „Dziadach;“ że były one już przed „Przedświtem“ w poezyi Krasińskiego także, jakkolwiek nie wyrobione, mianowicie w „Irydionie“ — zbytecznie byłoby przypominać; jak niemniej to, że po jakimś zboczeniu, po

jakiejś przerwie, z przepaści zwątpień, z rozpaczy, w której on żył „długo“ zaczęły one podnosić się i składać na nowo, niewyraźnie jeszcze, nieustalone i niezupełne, jak tego dowodzi „Sen Cezary.“

Jaki był teraz proces tej formacyi czy rekonstrukcyi pojęć Krasińskiego? które z nich ustaliły się pierwsze jako pokład podstawny, które zaś kładły się na tym jako wyższe warstwy i logiczne następstwa — jak się budowało z poprzedniego chaosu to rusztowanie prawd moralnych i filozoficznych poglądów, to wskazać się nie da, dopóki z pozostałych śladów, z listów Krasińskiego i z zeznań jego przyjaciół nie złoży się kiedyś jego żywot. Ale budowa sama, ta znana jest w całości i dokładnie. Poeta sam, kiedy napisał „Przedświt“, chcąc tem lepiej dowieść prawdziwości swojej wiary i swojej nauki; chcąc pokazać, że one nie są tylko poetycznem natchnieniem i marzeniem, ale i ścisłą prozaiczną prawdą, niemal umiejętną, niemal matematyczną, dorobił do swego poematu ten wstęp, który jest jego urzędowym komentarzem, tłumaczeniem, jak z zastanowienia się nad całym biegiem dziejów poeta doszedł i każdy powinien logicznie dojść do tych wniosków, których poetycznym wyrazem jest „Przedświt“. Wstęp ten zawiera całe zapatrywanie Krasińskiego na historię świata; a że cała jego poezya nietylko późniejsza, ale i poprzedzająca, albo wprost z tego zapatrywania wynika, albo przynajmniej ściśle się z niem wiąże, przeto jest on dla poznania i zrozumienia poety niezmiernie ważnym, niezbędnym.

Myśl, która wyrabiała się w polskich głowach od pół wieku blisko, która z postępem lat przybierała kształty coraz wyraźniejsze, ale dotąd trzymała się w sferze uczuć, przeczuć i przepowiedni — pierwszy

raz przyjęła tę formę rozumowania, ten kształt prawdy historycznej i filozoficznej, popartej argumentami syllogistycznej, nieledwie matematycznej ścisłości. We wstępie do „Przedświtu“ jest ona rozebrana ze wszelkiego mistycyzmu, z wszelkiej fantazyi: prawdziwa czy mylna, jest trzeźwa, jest logiczna. Czy jest zupełnie prawdziwa? oczywiście nikt nie poważy się roztrzygać, bo cała jedna jej połowa, jej konkluzya, należy do przyszłości. Ale to jest widoczne i pewne, że to, co on mówi o dzisiejszym stanie świata, jest prawdą; że warunkiem uspokojenia, że postępem świata jest: uwidomienie się Syna Bożego w stosunkach między narodami i państwami. To jest prawdą. Krasiński myli się kiedy widzi w Polsce dobrowolną bez winy ofiarę za zbawienie świata; przyszłość jej wystawia sobie zapewne także zbyt pochlebnie i pięknie w tej przyszłej epoce dopełnienia dziejów; ale w swojej myśli głównej, kiedy mówi o obecnem przesileniu historyi, kiedy uspokojenie, postęp i szczęście świata czyni zależnem od „schrześcijanienia“ jego stosunków politycznych, wtedy on ma słuszność i ma coś więcej jak słuszność — ma wielkość.

Nie tu miejsce na rozbiór „Przedświtu“, na dochodzenie co w nim jest czystą i świętą prawdą, a co złudzeniem lub przesadą. Ale o tem wspomnieć tu należy, że on był koniecznością naszej literatury, może nawet naszej historyi. Naród, który uległ wielkiemu nieszczęściu, a który się na los swój nie zgodził, musiał szukać czegoś, coby mu ten los wytłomaczyło. Same powody fizyczne nie wystarczały, bo te jeżeli miały zabić, powinny były zabić zupełnie, a tymczasem życie zostało. Było więc ciągle i niespokojne pytanie w sercach tysięcy ludzi: z kąd i dla czego? a nad tem pytaniem górowała jeszcze myśl, że się to skończyć

powinno. Jak długo jeszcze trwała możność, i konieczność nawet, życia w rzeczywistości, w stosunkach nie-normalnych zapewne, nie takich jak być powinny, ale utrzymujących nas w praktyce życia — tak długo i nasze rachuby i nasze widoki opierały się na jakichś danych dotykalnych i ziemskich. Lecz kiedy to znikło, kiedy istotnie żadna rachuba, żaden zbieg rzeczywistych zwykłych warunków politycznego życia nie zapowiadał ani zmiany jakiegokolwiek pomyślniej, ani pozwalał wyciągnąć z siebie takiej konkluzji, do której nasze nadzieje dałyby się nawiązać, a one przecież zostały, tem silniej, tem uporczywiej przechowywane im bardziej zaprzeczone: wtedy, pozbawione ziemskiego oparcia zawiesiły się one w powietrzu, pomiędzy niebem a ziemią, wtedy musiały przybrać charakter mistyczny; a nie mając na ziemi nic, coby je usprawiedliwić mogło, usprawiedliwiały się same przed sobą przecuciami, jakoby przejrzeniami zamiarów Boga. Że zaś nigdzie nie mogły się objawić i odezwać tylko w poezji; przeto z natury już mistyczne, przechodząc przez fantazyę poetów, stały się zachwykami, widzeniami, prorocत्वami. Ta poezya wieszczka powstała po roku 1831, a jej dążeniem i zadaniem było odgadnąć przyszłość. Długo się na nią zabierało. „Bard Polski“ jeszcze w r. 1795 mówił, że „Polska cierpi jak Chrystus, a my mamy cierpieć wszystko co bądź, byle jej zostać wiernymi“ — ale o nadziei nie mówił nic; jednak i ten drugi pierwiastek naszej późniejszej poezji odezwał się równocześnie w znanej pieśni Legionów. Później w Woroniczu jest silna, uczuciowa, religijna wiara w przyszłość, u Brodzińskiego już ona chce poprzeć się rozumowaniem, już szuka dla siebie dowodów w sprawiedliwości Boskiej z jednej strony, z drugiej strony w historii,

już Polska jest u niego najlepszym z narodów, narodem wybranym. Myśl tę chwytą i prowadzi dalej Mickiewicz: „Dziady“ i „Księgi Pielgrzymstwa“, to mistycyzm religijny i patryotyczny już zupełnie wyrobiony. Tylko zbyt mistyczny, zbyt religijny, — niby religijny, żeby mógł być się przyjąć i zyskać wiarę. Niejasnych „czterdziestu i czterech“ trudno było zrozumieć; w rzeczywistość i prawdę objawienia, jakie wprost od Boga miał otrzymać mistrz Towiański, trudno było wierzyć. Nareszcie przyszedł człowiek z sercem cierpiącym i zboleiałem, z duszą natchnioną i gorącą, z umysłem raczej logicznym i filozoficznym niż poetycznym; długo szukał, długo się męczył, z wolna, pracowicie, mozolnie wydobywał z siebie części tej prawdy, której szukał, odziewał je w kształty nie zawsze jasne allegorycznych postaci, wątpił i rozpaczał i znowu dźwigał się z rozpaczą: aż wreszcie wy dobył z siebie to słowo zagadki, którego szukali wszyscy: podobne do tego, jakie podał Mickiewicz, ale jaśniejsze, zupełniejsze, łatwiejsze do przyjęcia, bo podane nie jako objawienie od Boga, (którego człowiek nigdy sprawdzić nie może), ale jako logicznie, koniecznie, rozumowo z historii wywiedziony pewnik, i podawał je z całym natchnieniem wielkiego poety, z całym przejęciem wielkiego serca przepełnionego miłością, z całą siłą i całym przekonaniem potężnego filozoficznego umysłu. Nigdzie nadzieja odrodzona nie występuje w takiej jasności, w takiej zupełności i pewności, a przytem w takiej (pozornej przynajmniej) trzeźwości i ścisłości, jak w poezji Krasińskiego. „Przedświt“ jest najzupełniejszym i najprostszym wyrazem całego tego kierunku; jest koroną i typem tej poezji wieszczęj, szczytem, z którego ona potem już zacznie schodzić, kwiatem w pełnym rozwoju, po którym ona

zacznie wędnieć i opadać, jest w niej punktem najwyższym i zwrotnym.

Jest też takim punktem i w poezyi swego autora: to jest „Eureka“, skutek dziesięciu lat bolesnego szukania i ciężkiej pracy ducha; to dla niego prawda jasna, niezawodna, niewzruszona, która się następnie jeszcze tylko wyjaśni i do reszty oczyści, ale się już nie zmieni. Kiedy tę prawdę ujrzał, wydała mu się ona tak prostą i oczywistą, że sformułował ją tak jasno i zrozumiale, jak dotąd żadnej ze swoich myśli. I pod tym względem nawet oznacza „Przedświt“ epokę i zwrot w jego poezyi: żadnych allegoryj, żadnych personifikacyj, żadnych wymysłów wyobraźni, czysta myśl odziana w najprostszą formę wiersza. „Przedświt“ nie jest pierwszym Krasińskiego wierszem, ale jest jego pierwszym wierszowym poematem, pierwszym także nie allegorycznym; a jak jest rezultatem i uzupełnieniem całej jego dotychczasowej pracy ducha, tak jest i zbiorem i wyrazem całej późniejszej: ani myśli zawartych w „Przedświcie“, ani jego formy już on nie porzuca.

Nie wszystkie jego ustępy zapewne są sobie równe, ale pomimo to jest „Przedświt“ dziełem tak potężnego natchnienia, że może stawać śmiało obok najpiękniejszych natchnień Mickiewicza, a ma ustępy takiej znowu piękności formy, że nie powstydziliby się ich Słowacki. Jako streszczony wyraz, krótkie zebranie całej poezyi Krasińskiego, jako wyraz najzupełniejszy i najjaśniejszy całej naszej poezyi wieszczęj, jako źródło, z którego wypłynął potem cały nieskończony potok naśladowań, jako to dzieło w poezyi, które na wszystkie pytania narodu dało odpowiedź najprostszą i najbardziej pożądaną, które podniosło jego wiarę w przyszłość więcej niż każde inne, i jako to wreszcie, które (z winy nie

autora, lecz powierzchownie i bez zastanowienia czytających) wszczepić w nas mogło zbyt piękne mniemanie o osobie i zbyt bezwarunkową ufność w przyszłość naszej sprawy, a przeto wyrzeć mogło wpływ poniekąd szkodliwy — jest „Przedświt“ jednym z tych rzadkich dzieł poetycznych, które mają zapewnioną nieśmiertelność nie tylko w literaturze swego narodu, ale i w jego historii.

W Lipcu roku 1843 nastąpił ślub Kraszińskiego w Dreźnie; a po nim pobyt dość długi w Warszawie, w ciągu którego pracował nad dziełem o „Trójcy w Bogu, w człowieku i w historii“ (którego sam nie wydał i nigdy wydawać nie pozwolił). I wtedy także sprzeciwił się temu, co był napisał w „Przedświcie“ „harfy już nigdy, nigdy nie nastroję.“ Nie domyślał się, pisząc te słowa, że przyjdą czasy, iż trzeba będzie powtarzać co się już powiedziało, i to nie w ogólności jako wiarę, jako system, ale z przystosowaniem do praktycznych przykładów, do zdarzeń i wypadków, jako radę, jako groźbę; nie wiedział, że będzie musiał jeszcze wrócić do słowa i prawdę swoją powtarzać zawsze tę samą w innej formie, że „Credo“ samo nie wystarczy, ale że trzeba będzie je wesprzeć, uzupełnić, rozwinąć i wytłumaczyć Decalogiem i Katechizmem; że po artykułach wiary przyjdzie kwestya praktyczna uczynków, że po „Przedświcie“ trzeba będzie pisać „Psalmy.“

Stało się inaczej. Żądano od niego, żeby przystąpił do tajnych towarzystw i do robót przygotowujących wybuch nowego powstania. Jak Pankracy do zamku Henryka, przyszedł do niego jakiś apostoł przyszłego roku 46, a obiecując mu to, czego Zygmunt jedynie pragnął, tłumaczył, że do celu dojść łatwo, byle tylko poświęcić rzecz jedną — zgrzybiałą, zgniłą, strupieszalą

szlachtę. Po takiej rozmowie Krasiński nie mógł wątpić na chwilę, że wybuch taki, jeżeli nastąpi, skończy się rzezią, i napisał „Psalm Miłości,” ostatni z trzech co do liczby porządkowej, ale najdawniejszy co do czasu.

Lato roku 1844 zeszło częścią u Augusta Cieszkowskiego w Wielkopolsce, częścią w Heidelbergu pod okiem doktora Heliusa. W jesieni wrócił Krasiński znowu do Warszawy, zajęty zapewne cały tą jedną myślą, tą jedną obawą, skoro w Lipcu roku 1845 dane były do druku (w Paryżu) trzy pierwsze „Psalmy Przyszłości.”

Ci, co widzieli zaślepienie spiskowych, którzy wiedzieli, jaki obrót nada rzeczom ręka od nich silniejsza i mędrsza od nich głowa, cóż ci mogli robić? Nic, tylko po cichu we cztery oczy przedstawiać i prosić; głośno nie mogli się nawet odezwać, nie mieli gdzie, ani w czem, nie było im wolno, a prośby i zaklęcia odbijały się, jak groch od ściany, od uporu Wersalczyków, ich agentów i stronników. W kraju sposobu na nich nie było. Ale za granicą? Nie więcej. Kogo nie przekona oczywisty faktyczny stan rzeczy, na tym słowo człowieka wrażenia nie robi, a dopieroż słowo Krasińskiego na Centralizacyi. Ale ze skutkiem czy bez skutku, dla uratowania rzeczy czy choćby dla własnego sumienia, ratować jak można, robić co można, prosić, zaklinać, przekonywać.

W całej Polsce nie było może człowieka, któryby nieochybnosć nieszczęścia tak jasno był widział i któryby nad niem tak był cierpiał, jak Krasiński. On, wyznawca tego Chrystusa narodów, tego „nieskalanego anioła,” on musiał długo naprzód patrzeć, jak on będzie nadużytym do dzieła głupoty, zbrodni, wstydu i samobójstwa; on musiał naprzód już pić ten kielich

goryczy i truć się jego goryczami! Nikt tak nie bolał, nikt tak nie widział i nikt nie był zdolny (bo Mickiewicz w tych latach już nie) tak krzyknąć z bolu, tak zawołać na gwałt i zakląć o miłosierdzie nad narodem i jego sprawą, jak Krasiński. I zrobił to — napisał „Psalmy.“

Oczywiście głównym, najważniejszym jest ostatni; w nim mieści się upomnienie, zaklęcie i groźba; w nim to słowo obowiązku względem ojczyzny jakiego domagały się okoliczności ówczesne i na wszelkie okoliczności, na zawsze rada, nauka, zasada życia. Ale żeby dojść do tego, żeby powiedzieć, choćby bez nadziei skutku, ale z powagą i wyższością niemyślnej prawdy, chciał Krasiński — zanim by powiedział „Hajdamackie rzucicie noże, by nie kłęły nas na wieki, że cel wieków znów daleki“ — chciał powiedzieć dla czego rzucić noże, przypomnieć prawo boskie nad ludźmi i przypomnieć, że inaczej cel ten mógłby być bliskim, przypomnieć przepowiednie „Przedświtu“ i to na czem je opierał. Ztąd poszły dwa pierwsze Psalmy dopisane do trzeciego, napisane dla niego jako argument wstępny, rekapitulacya tych wszystkich znaków, dowodów i nadziei lepszej przyszłości; a z tego jako wniosek wyjść miała konieczność, obowiązek zaniechania wszystkiego co tej przyszłości stanąć mogło na zawadzie, propagandy złudnego powstania, a rzeczywistego rozkładu społecznego.

Najdalszym od tego celu, najobojętniejszym jest „Psalm wiary,“ w którym złożona jest formuła niejako na ogólne przeznaczenie jednostki ludzkiej i ludzkości. Łatwo poznać, że i tu, jakkolwiek pośrednie i dalekie, ale jest już wyraźne przystosowanie do konkluzyi „Psalmu Trzeciego.“ Jeżeli każdy z nas ma się czuć częścią

woli bożej, a wszyscy razem jesteśmy powołani do tego, żeby wyrabiać w ludziach „więcej miłości i więcej braterstwa“ — to rzecz jasna, że powinniśmy „Hajdamackie rzucić noże.“ W drugim Psalmie przechodzi poeta do dowodów bliższych i do powodów obchodzących nas bezpośrednio; do rzeczy jeszcze bardziej zrozumiałych a popierających (na pozór przynajmniej) jeszcze silniej konkluzją „Psalmu Miłości.“ Czasy się dopełniają: „niedaleki nam przed wieki obiecany Pocieszyciel.“ „Godzina dopełnicielka“ z Niedokończzonego Poematu, „Kościół Miłości“ z Legendy, trzecia i najwyższa epoka troistych dziejów ludzkości podług „Przedświtu“ zbliża się; i w takiej chwili „kiedy począł się lub niebawem ma począć dzień boży, kiedy duchom tryumf dan,“ w tej chwili bliskiej spełnienia najwyższych przeznaczeń ludzkości przez naród, spytać go z tej jasnej drogi, żeby ani on, ani ludzkość nigdy do celu trafić nie mogły? To jest niewypowiedziane ale bardzo wyraźne przystosowanie „Psalmu Nadziei“ do następnego.

„Psalm Miłości“ jest pismem politycznym, niemal broszurą; wchodzi w tę kategorię słów i pism, którymi człowiek na polu praktycznych działań chce coś odwrócić, czemuś przeszkodzić. W swojej formie poetycznej wychodzi on na to samo czem są w innej formie „Filippiki“ Demosthenesa, zaklinającego swój naród żeby się samoświadomie nie gubił; na to samo, co pełne oburzenia Cycerońskie „Quousque tandem,“ zapytanie do jednego człowieka wymierzone, jak długo on jeszcze naród swój gubić zechce. A jeżeli „Filippiki“ uchodzą dotąd i słusznie za wyraz klasyczny, najsilniejszy, najbardziej wzruszający, miłości ojczyzny w walce z ojczyzną samą zaślepioną i na oślepiec lecącą do samobójstwa;

jeżeli „Catilinaria,“ choć tamtym nierówna, zawsze uważana jest za typ patryotycznego oburzenia na zgubne dla ojczyzny roboty: to „Psalm“ Krasińskiego ma prawo stanąć obok nich jako wyraz równie potężny tej samej miłości i tego samego oburzenia. Tak samo jak tamte tendencyjny i polemiczny, jak tamte wydarty z serca drgającego boleścią i gniewem na widok straszliwej groźby wiszącej nad ojczyzną; jak tamte zbrojny w najwyższą potęgę wymowy i (choć jest poezją) w potęgę rozumowania; jest jak tamte, może przed tamtymi najwyższym wyrazem i typem patryotycznego cierpienia, zaklęcia i proźby, jest takim ideałem pisma okolicznościowego, tendencyjnego i patryotycznego, jak te mowy, które powstrzymać miały nad brzegiem Ateny na gwałt lecące w przepaść jakżeby umyślnie, a do których „Psalm Miłości“ podobny jest i tem, że jak one był daremny.

Wiersz Słowackiego „Do autora Trzech Psalmów“ ukazał się niebawem po nich; a gdy zdarzenia rozstrzygnęły ten spór dwóch poetów, nastąpił w życiu Krasińskiego przełom i zwrot. Dotychczas młody, choć wątły zawsze i cierpiący, teraz w trzydziestu czterech latach staje się starym i złamanym, chyli się do grobu, życie utrzymuje się w nim tylko ciągłym staraniem, ciągłym użyciem sztucznych środków. Smutek, ból, cierpienie moralne było takie, że złamało zupełnie organizm fizyczny. Zwłaszcza dwa pierwsze lata po katastrofie, rok 1846 i 47, przeżył w nieustających prawie atakach anawryzmu, które powtarzały się ciągle jeden po drugim, w stanie bezsenności rzadko kiedy przerywanej i najboleśniejszego rozstrojenia nerwów. Dawna choroba ócz wzmożła się teraz tak, że światła prawie znosić nie mógł, słowem od tej pory jest Krasiński

tym Łazarzem, którym został już do końca; a w pierwszych czasach po wypadkach roku 46., niebezpieczeństwo było nieustające, najbliżsi byli przygotowani na to, że śmierć mogła przyjść w każdej chwili. Z powodów zdrowia spędził zimę i część lata 1846 w Nizy. Jakim sposobem w tej ruinie ciała duch nie tylko ocalał, ale się wzmógł; jakim sposobem ta wiara w przyszłość, którą on żył dotąd nie upadła pod ciężarem zaprzeczeń jakie dostała? Musiała tam być siła więcej jak ludzka, bo ten krzyż nikogo tak nie gniótł jak jego; musiała ta jego wiara być niezłomną, kiedy nie tylko zachwiać się nie dała, ale w całej Polsce pogrążonej w smutku, w rozpacz i wstydzie, ona podniosła się pierwsza, ona pierwsza jak gołąb po potopie, jak słowik Mickiewicza z ruin zajętego gmachu, wzbiła się w górę i odezwała się pieśnią żałoby, ale która była przecież i pieśnią nadziei. Pierwsze słowo otuchy, pociechy, jakie naród usłyszał po roku 1846, wyszło do tego, który ostatni i do ostatka wołał i upominał przed nieszczęściem.

Tam w Nizy, w lecie r. 1846 napisał Krasiński „Dzień dzisiejszy“ i „Ostatniego.“

„Dzień dzisiejszy“ jest obrazem wiernym i charakterystyczną, niezawodnie prawdziwą fotografią naszych różnych wyznań politycznych i politycznych namiętności. Demokraci, arystokraci, socjaliści, obojętni, wszyscy przedstawieni są w swoim właściwym świetle i wszyscy surowo osądzeni; jest to zawsze ta sama myśl, myśl „Psalmów“, tylko zastosowana do szczegółu do politycznych waśni i nędzy dnia dzisiejszego. Ale zdarza się czasem, że myśl jakaś wypowiedziana raz jasno i stanowczo, traci na tem kiedy się ją pod inną formą powtarza, dowodzi i popiera na nowo, kiedy się ją ściąga do szczegółów. Ta chęć wznowienia prawdy wychodzi

czasem jeżeli nie na jej osłabienie to przynajmniej na pewne jej spowszednienie. To co za pierwszym razem uderza, robi ogromne wrażenie, to powtórzone już tak człowiekiem nie wstrząśnie. Taką uwagę nasuwają te dwie poezye Krasińskiego. „Dzień dzisiejszy“ ma niezaprzeczenie wielkie piękności, początek jest wspaniały, ustęp o człowieku prowadzonym na śmierć jest piękny; wreszcie następujące po sobie kolejną teorye scharakteryzowane są z wielką energią; ale w całym tym ustępie jest jakaś trzeźwość prozaiczna, jakiś realizm, jakaś ścisłość pisma tendencyjnego raczej niż poetyczne natchnienie. Prawdziwie wielki jest może tylko jeden ustęp z „Dnia dzisiejszego,“ ten w którym szatan przychodzi dręczyć i kusić umierającego. Cała teorya o życiu jednych przez śmierć drugich, a mocniejszych przez śmierć słabszych, wszystko to zebrane jest w słowach tego szatana z logiką, chłodem i ironią przypominającą mowy i noty dyplomatyczne niektórych zwyciężkich ludzi stanu naszego czasu.

W „Ostatnim“ (artystycznie od „Dnia dzisiejszego“ piękniejszym) nie trzeba szukać allegoryi. Jest to więzien prawdziwy. Jednak kto wie, czy nie jest on także figurą ludzi, którzy cierpią, pragną, chwytają się rozpaczliwie wiary w Boga, a nadziei ani dojrzeć nie mogą; czy jego więzienie ciemne, wilgotne, duszne i zgniłe nie jest figurą dzisiejszego świata. „Ostatni“ piękny jest niezaprzeczenie. Ale cały ten pierwiastek wieszczy, który tu jest także, taki sam, ten sam, co w „Przedświcie,“ co w „Psalmach,“ co w „Dniu Dzisiejszym,“ a za tamtemi powtórzone, ten nie jest już tak wyrażony i nie robi takiego wrażenia, jak w poezyach dawniejszych.

W lecie roku 1847, pod wpływem zajęcia wolnego miasta Krakowa i interpelacyi z tego powodu w Izbach

francuzkich, pisany był jako broszura list do szlacheckiego obrońcy spraw dobrych „Lettre à Mr. le comte de Montalembert“ i drugi do poetycznego męża stanu, który między złemi a dobrymi nie zawsze umiał trafnie rozróżniać „Lettre à Mr. de Lamartine.“ Przez zimę roku 1847 i aż do lata 1848 bawił Krasiński w Rzymie. Godne wspomnienia są dwa szczegóły z tego ośmiesięcznego tam pobytu: audyencyi u Piusa IX., który o swoim położeniu, o swoich zamiarach i stojących im w drodze przeszkodach otwarciem i obszernie z Krasińskim rozmawiał, i częste przyjazne stosunki z Mickiewiczem. W lecie tegoż roku zaczęły się długie, prawie stałe pobyty w Baden-Baden; najęła się ta Villa Blum, która przez całe lata była jego ulubionem mieszkaniem. I ztąd wyjechał pod jesień na morskie kąpiele do Dieppe, gdzie był napisany Psalm Dobrej Woli. Psalm Żalu po powrocie do Baden dopiero, w Październiku.

Pierwsze ustępy Psalmu żalu należą do najpiękniejszych rzeczy jakie Krasiński napisał. Prawda, że straszne stwierdzenie tego co był powiedział w trzech pierwszych mogło mu dodać powagi: ale też poczucie słuszności i własnej niewinności daje mu taką siłę i pewność, taki spokój wielki i przygniatający, i taką majestatyczną prostotę, że te jego słowa muszą się liczyć do najwspanialszych, najbardziej zwyciężkich odpowiedzi, jakie niewinność spotwarzona znalazła kiedykolwiek w rzeczywistości czy w poezyi. Konkluzya, nie napisana, ale wyraźna, wołająca z tego wszystkiego wielkim głosem do przeciwnika samego i do wszystkich myślących jak on, jest: „wejdź w siebie, porachuj się z sobą. Masz oczy a nie widziałeś, masz rozum a nie rozumiałeś, kochasz i o swojej miłości tyle mówisz, a nie uczułeś

że to nieszczęście, że to prawie śmierć, i biegłeś przed tem wszystkiem; zdawało ci się jak Tyrteusz zagrzewający spiewem do bitwy i do zwycięstwa, a na prawdę szedłeś jak ksiądz przed trumną na pogrzebie i śpiewałeś „de Profundis“ mniemając dziecinnie i płocho, że śpiewasz pieśń zmartwychwstania! Więc tak uniesz patrzeć? więc z twego rozumu i z twej miłości i z twojej rady takie pożytki? Wejdz w siebie.“ Ale po tych pięknościach wstępu, przyznać trzeba, że dalsze ustępy „Psalmu żalu“ nie utrzymują się już na tej samej wysokości natchnienia, owszem spadają dość nisko. Psalm staje się dyskusją; naprzód rekapitulacją teorii Słowackiego o „duchu wiecznym rewolucyoniście“ a następnie zbijaniem tej teorii wszystkimi argumentami historycznymi, politycznymi i moralnymi; argumenta te są niezaprzeczenie dobre i słuszne, zwycięstwo zostaje oczywiście przy Krasieńskim, ale pod względem poetycznym Psalm ten w swoim dalszym ciągu nie jest już równy początkowi. A szkoda, bo gdyby był zdołał utrzymać się na tej wysokości, „Psalm żalu“ byłby zapewne dorównał temu, który po nim następuje.

„Psalm dobrej woli,“ co do czasu nawet, ostatnie (z większych) słowo Krasieńskiego, i niezaprzeczenie ostatnie, to jest najwyższe słowo jego poezji, uważany jest słusznie za koronę całego tego budynku: za zbiór i streszczenie, i wyraz najczystszy i najprostszy tych uczuć i myśli, które były tłem jego życia, jego duszy i jego poezji; za ostateczną odpowiedź na wszystkie pytania, jakie sobie stawiał; za ostateczną konkluzję jego przeczuc i przewidywań; za uzupełnienie i szczyt jego systemu filozofii historycznej i politycznej. To jest jego afirmacya wypowiedziana w formie najprostszej i najjaśniejszej; to jest ta prawda dziejów i człowieka, której

paszportu: trzeba było w najsmutniejszym stanie zdrowia i pod zimę wracać do Warszawy, z kąd za ledwo w lecie 1850 udało mu się wyjechać. Zeszło mu lato na kuracyi w Treport, a zima następna w Badenie, w ciężkich niepokojach o dzieci niebezpiecznie chore, ale przynajmniej z pociechą towarzystwa najlepszych przyjaciół.

Zimę z roku 1850 na 51 przepędził w Rzymie i podjął tam na nowo dawno przerwana pracę nad „Niedokończonym Poematem“. Z tego też czasu datuje piękny wiersz o Rzymie zaczynający się od słów „o Polko moja“ drukowany parę razy w urywkach i w tekście zmienionym, a raz poprawnie i w całości w Czasie 1872, bez tytułu, a który w pierwotnym autografie poety nosi napis: „do Elizy“.

Z Rzymu wyjechał Krasiński na wiosnę do Nizy, ztamtąd na lato do Badenu, w jesieni, znowu z powodów paszportowych, musiał wracać do Warszawy.

W lecie roku 1857, bawiąc u ojca w Potoku, stracił Zygmunt najmłodsze swoje dziecko, córkę Elżbietę. Zdrowie jego poniosło przez to nowy uszczerbek. Trzeba było szukać śpiesznej porady lekarzy, Waltera w Dreźnie, Heliusa w Heidelbergu. Zima z roku 1857 na 58 przeszła jeszcze nie najgorzej w Paryżu, ale z wiosną (1858) pokazało się nagle i znaczne pogorszenie w jego zdrowiu. Radzono kuracyę w Plombières następnie w Ems jedna i druga zamiast pomódz raczej tylko zaszkodziły choremu. Doktor Walter uznał niebezpieczeństwo bardzo groźnem i bliskiem, i jako ostatniego środka ratunku a przynajmniej oddalenia końca, kazał próbować pobytu gdzieś na południu, na wyspie Malcie lub w Afryce. Do tej drogi gotował się Krasiński w Paryżu, kiedy w Listopadzie 1858 zaszła śmierć jego ojca. I strata sama i niemożność bycia przy ojcu w osta-

tnich chwilach jego życia wywarły wpływ tak stanowczy na stan zdrowia Zygmunta, że one niewątpliwie spowodowały tak rychły jego koniec. W smutku przynosiło mu ulgę pisanie żywota ojca; ostatnią tę swoją pracę pisał jak mógł najprędzej, śpieszył się i choć sam już nieledwie konający doprowadził ją dość daleko bo do roku 1827. Ale skończyć już nie zdołał, 10 lutego położył się do łóżka, z którego już nie miał powstać. D. 19go, w 47 rocznicę swoich urodzin przygotował się na śmierć, 23 późnym wieczorem, po powtórnem przyjęciu Sakramentów skończył życie w Paryżu (przy ulicy de Penthièvre Nr. 22).

Nie nam zaiste, a zwłaszcza nie dziś kiedy głębokość i siła tego umysłu z każdym dniem wyraźniej się stwierdzają, objaśniać potrzeba rzetelną jego wielkość. Ale jeżeli Krasiński coraz mniej potrzebuje objaśnień i komentarzy, to my coraz więcej może potrzebujemy Krasińskiego czytać. Mówiono wiele o mylnych przeczuciach i o niebezpiecznych wpływach jego poezyj. Żeby wszystko aż do szczegółów miało w niej być sprawdzonem i nieomylnem, nikt nigdy nie twierdził: ale wpływ szkodliwy, jeżeli nawet był wywarty, to nie przez poezję Krasińskiego, lecz przez fałszywe jej zrozumienie. Pojęta trafnie, nie jako bezwarunkowa przepowiednia czy obietnica przyszłości, lecz jako wskazanie drogi, która do przyszłości wiedzie, poezya ta okaże się zbiorem prawd pewnych i zbawiennych i przynieść musi nie szkodę lecz pożytek. W czasach jak dzisiejsze zwłaszcza, kiedy każdy dzień, każdy nowy zwrot współczesnej historyi zapisuje się w niej i w sercach prawych słowami „Przedświtu“ „coraz podleg na tój ziemi było“, kiedy szatan z „Dnia dzisiejszego“ coraz głośniejsz woła, że on „ziemi Panem“, i kiedy wszędzie,

nawet u nas podobno, coraz więcej znajduje się skłonnych uwierzyć w jego słowa „Ja jestem Rozum, ja jestem Konieczność“ — w takich czasach dopiero dobrze jest i zbawiennie odczytywać i rozpamiętywać słowa Irydiona: „Idź i czynź choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czynź ciągle i bez wytchnienia i ufaj imieniowi mojemu;“ słowa „Psalmu“: „Bóg bez nas samych nie może nas zbawić“ i z tego „Psalmu“ prośbę o Dobrą Wolę, i słowa „Resurrecturis“. Bo kiedy wszelka wiara, wiara w cokolwiek, w Boga czy w ludzi, w zasady czy w środki, w siebie czy w swoich, w ludzkość czy ojczyznę słabnie i upada, to w takich wzniosłych pojęciach cnoty i ojczyzny, znaleźć się może źródło siły na pokrzepienie wielu, tarcza przeciw niejednej pokusie zwątpienia. W tym „czyścu dni terażniejszych“ potrzebny jest ktoś, coby przypominał i wskazywał znak zbawienia, który zjawić się musi przy końcu tej Nieboskiej komedyi, którą odgrywamy; a tego nikt lepiej od Krasinińskiego nie zrobi.

I oto dla czego, oprócz powszednich względów literackiej potrzeby, nowe wydanie dzieł jego wydało się być na czasie.

St. Tarnowski.



NIEDOKOŃCZONY POEMAT.

Bawił Samozwaniec w Kałudze z małą liczbą bojarów, lecz znacznieszą Tatarów i Dońskich Kozaków, prze-mysliwając, jakby jeszcze utrzymać się przy tronie. Trafunek zdarzył, iż Tatarzy jego wpadli niespodzianie na rotę Polaków pod Rotmistrzem Czapllicem i kilku wzięli w niewolę. — Zwątpiewającemu już o sobie człowiekowi najmniejsze powodzenie zwycięstwem się zdaje. Uradowany niem nad miarę fałszywy Dymitr, wspaniałą wydaje ucztę; po tej obwieszcza łowy, winem i miodem potężnie sanie ładować każe, i wyjechawszy w pole na zamierzonej między sosnami równinie znów rozpoczyna gody. — W gronie otaczających go Tatarów znajdował się niejaki Urassów, niezbyt dawno z bissurmańskiej na grecką wiarę przechrzczony. Ten długo w łasce u Samozwańca będąc, kijem od niego obity i do więzienia wtrącony (przywrócił go wprawdzie Samozwaniec do łaski, lecz nie wymazał tem pamięci poniesionej krzywdy), ożywił żądzę pomszczenia się. Najspodobniejszą do nasycenia jej zdała mu się chwila obecna — zniósł się więc z Tatarami obrażonemi również za zabicie ich Caryka Kazimowskiego — a gdy Samozwaniec dużemi roztruchanami spełnia miody i wino, gdy rozchmielony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urassów, strzela, rani, ucina mu głowę. Inni Tatarzy ciało na ówierci sieką, głowę kładą do sakwy i do Moskwy uwożą; Bojarowie widząc mord uciekają. Trzech tylko pacholąt polskich słabemi siłami do ostatka broniąc nieszczęśliwego, dowiedli, że Polak odstępować nie umie. — Tak zginął oszust nikczemny i podły w obyczajach, rozpasany na wszystko co nieczne. Znalaziono w jego komnacie Talmud, guzy rzemieńne do modlitw i bibliję.

Tymczasem Maryna dowiedziawszy się o mordzie, z razu nieszczęściu wierzyć nie chcąc, sama udaje się na miejsce; znalazłszy rozsiekane tylko szaty i członki bez głowy, pełna żalu i rozpaczy, już nocą do Kaługi wraca. Wśród zgielku i tumultu, z pochodnią w rękę, z rozczochranemi

włosami, z obnażonem łonem przebiega hufce żołnierzy, a miecz przykładając do piersi, z przeraźliwym krzykiem woła o pomstę. Lubo Zarucki z 1500 kozaków opowiedział się przy niej, atoli Moskale w Kałudze odarli ją ze wszystkiego i do więzienia wtręcili. Z więzienia taki list napisała do Sapiehy, Starosty Uświackiego: „Wyzwólcie dla Boga! wyzwólcie — dwie niedziele mam tylko zostawionych do życia, pełńcie sławy, nabądźcie więcej wybawiając nieszczęsną — Bóg będzie wiekuistą zapłatą.“ —

Maryna 1611 r.

Posyłają Bojary po Michała Romanowicza, syna Metropolity Filareta, i obierają carem.

W tymże czasie zuchwały, wyniosły, niezmordowany wódz Kozaków Zarucki, nieopuszczający widoków swoich, póki zostawał blask najmniejszej nadziei, Zarucki, mówię, po odstąpieniu Pożarskiego dopadł z kozakami swymi do Kołomny, tam zabrawszy Marynę (z którą niektórzy muiejmają że się już ożenił) i małego syna jej, mieczem i ogniem Razan i Peryasław pustoszył. Wszystko obracając w popiół, wszędzie krew rozlewając, zbliża się do Astrachanu, zdobywa go i wojewodę śmiercią karze. Wkrótce pomnażają jego potęgę kozacy z Terku. Zuchwałość i szczęście człowieka wszędzie postrach rzuciło. Oddalenie się Polaków dozwala Moskalom ogromne wojsko przeciw zuchwałcy wyprowadzić. Zarucki zbyt słaby, by się tak przeważnym siłom oparł, uchodzi aż nad rzekę Jajk, długo ścigany, schwytany nareszcie w tych bezdrożnych pustyniach z Maryną i jej synem — sam na polu życie kończy. Maryna utopiona pod lodem — syna jej, mającego tylko dwa lata, nielitościwie uduszono.

(Niemcewicz, Dzieje panowania Zygmunta III.)

Amor ch'a aul amato amar perdona.

DANTE.

Wieże Kaługi z daleka pod chmur zimowych nawałą, coraz szarzeją, bo wieczór się zbliża. Ale dosyć dnia jeszcze, by oświecić te wzgóрки śniegiem obciążone, które kołem okrążają równinę, z której śnieg zmieciony; a nie wietrzysko go zmiotło, ale ręka ludzi, by na gładkiej ziemi panu lepiej przy uczcie i winie się działo. Na około gasnące ogniska.

Teraz już po biesiadzie, na stoły zastawione, na porzucone ostatki, sączy się topniejący szron ze świerków i sosien.

Przeszła godzina godów, dziwne po sobie zostawując ślady. Płótna namiotów leżą na ziemi, czasem dysząc fałdami, kiedy wiatr pod nie się wkradnie — zgmatawane w ich sznurach i powrózkach siodła, rzędy, kufle, kosze, dzbany, a tu i owdzie na białem tle plama krwi, już sucha — znać że od kilku godzin pije z niej powietrze — ale jeszcze nie czarna, dotąd czerwona, połyskująca — znać że dzisiaj wylana.

Stoły jedne za drugimi jak potężny wał się ciągną na owej zmiecionej dolinie. Drugie rozrzucone jak wyspy rozpusty pomiędzy saniami, które idąc od wzgórzów, nie gęstemi szeregi stąpają, otrząsając śnieg z ramion aż do tego rzędu stołów. Przed niemi co zostało czystego miejsca od boru zachodzącego naprzeciw, to zawalone taborem wywróconych sani; a z tych sani sypią się na dół ćwierci mięsa, beczki miodu, beczki wina potrzaskane, zkąd miód i wino już nie płynie strumieniem, ale czołga się skrzepłemi kroplami krwi nad zamarzłemi bryły, z których barwy przebija dotąd barwa miodu i barwa małmazji.

A na okół, w prawo i lewo, jakby na pobojuwisku, porzucone kozuchy, kołpaki, oręże, strzały wbite w grude, tkwią ostrzem, pierzem drgają za podmuchem wiatru. Saj-

daki próżne, kubki z drzewa, czary miedziane, rzemienie od chartów i ogarów, sieci i pale, trąbki i torby — a nad tem wszystkim znowu plamy krwi gdzieniegdzie — i popiół czarny i węgle, co konając sypną czasem iskrami.

Wśród tego zgielku leżą ciała trzech pacholąt, każdy padł inaczej, inaczej też leży — pierwszy z rozplataną głową, z rozciągniętymi nogi, drugi z przeszytą piersią kłęczą, jedną ręką przymarzył do ziemi, a plecy przymarżyły mu do sani z tyłu; trzeci opiera się całym bokiem na grudzie, łokieć wparł w grudę, a czoło zwiesił na piersi. Na ich twarzach świeżość i młodość zestarzała się od bólu i od mrozu. Sine pręgi po szyi i licach, krew ścięta od zimna połyskuje, gdyby jakie hafty na sukni — a szaty ich polskie, a uzbrojenie ich lekkie świadczy, że jeszcze nie dorosli wieku do bechtera i do szabli. Roztłuczone klingi jak szczątki zwierciadła migają na około nich; złote rękojeście zostały w dłoniach i spoiły się z niemi mocno, na zawsze. Ich palce szronem okryte kręcą się w około onych rękojeści, gdyby oprawy ze srebra — a musieli jednak potykać się dzielnie, bo ziemia poryta, i trzeba było dzielnego parcia stopy, by ziemię poryć tak twardą. Nie za pierwszą raną polegli, bo każdy z nich kilka ich liczy — ale żadnego wroga nie zabili, bo nie ma trupa coby leżał naprzeciw.

Szata jakowaś mignęła wśród gęstwiny boru: słyhać jak podkowy nurzą się w śnieg, to o lód dzwonią. Przyjechały — skoczyły na ziemię dwie postacie pośród zmierzchu wiecznego w borze; jedna została przy koniach, druga wyszła z drzew i stąpa dziarskim krokiem, aż dojdzie trzech pacholąt, stanie przy nich, czarne okręci oczy i namyśla się.

Szeroka szuba od szyi do stóp zakrywa całą, ale z pod sobolowego kołpaka pierścienie włosów, pod szubą nadymające się dwie fale, na licach gładkość, na ustach wdzięk i ponęta róży, wydają, że niewiasta. Z czoła sądząc i z pychy na niem, to mąż i mąż dużego ramienia.

Przeskoczyła trupy, które w grudy się zamieniły i szła dalej — aż tu nowa zapora ją zatrzyma w szacie książęcej: kadłub bez głowy — głowy ni dalej, ni w prawo ni w lewo nie widać, ale na ręce, odwalonej cięciem pałasza, świeci pierścień, a on dobrze znany jej, bo krzyknęła.

Był to krzyk nagły, głośny, znać po nim, że mowa z tych ust zwykle padać musi jak tony muzyki; ale zarazem w nim odchyła się cała dusza — pełno zniszczonych nadziei, żądza niewstrzymana osiągnięcia ich raz jeszcze. Był to krzyk królowej, na ruinach swojego pałacu, wojownika na polu przegranej — ale nie żony nad ciałem męża.

Jak tylko ten głos doszedł boru, wnet rzucił się w pogoń, dotąd stojący przy koniach. Leciał jak strzała, gdyby strzała mogła podnieść się, raz dotknąwszy ziemi i lecieć znowu — przybiegł i spozierając klasnął rękoma jak dziecko zazdrosne, kiedy widzi drugiego stłuczoną zabawkę — ale razem jak mściwy człowiek, kiedy zemście jego stanie się zadość.

Bo też w młodziźnie owym było coś dziecinnego i straszego zarazem — ani wdzięk dziecinny szkodził w jego ryśach wyrazowi odwagi, ani też wyraz odwagi, choć srogi, nie psuł wdzięku młodości — oba mieszały się ciągle lub rozdawały się, jeden nad drugim brał górę; chwilą później stłumiony wracał i odpędzał tamtego — a oczy jego były żywą tęczą uczuć, zmienną jak opalowe połyski.

— Witajże mi, zawołał, panie tyłu carstw i grodów i gródków — to mówiąc wstrząsnął głową, na której leżała misiurka złotem okwieciana — potężny i wielmożny Kniaziu Moskiewski — i igrał z siatką żelazną spuszczoną od misiurki na kark, ramiona i czoło. — Najjaśniejszy i niewyciężony Jedynowładco Gospodarstw Tatarskich — i przebierał palcami po szarfie zielonej złotem ziarnkowanej — Panie i Dziedzicu wszystkiej Rusi, Dymitrze, Samozwańcze, Żydzie — i tupał żółtymi bucikami z srebrnymi ostrogami — przepadłeś jako należało się tobie, brzydki oszuście, z koroną na czole pryszczami zasianej, na głowie potwornej z podłemi rysami, obmierzła duszo, rozpustniku, szalbierzu opity winem i miodem, pełny mięsiwa i jadła.

To mówiąc drżał cały od złości, aż łuk przewieszony na plecach zabrzmiał o miedź sajdaku, aż szabla starła się z ogniwoami łańcuszka, na którym wisiała — a podczas tych słów głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nóty dziecinnego śpiewu, aż do grzmiących dźwięków surowego męża. To ostrym się stawał i zbliżał do świtu, aże znowu słabiał i znowu potem rósł w siłę, a przy końcu

tak był okropny, pełny zawziętości i urągania się, że coś w nim podobnego do skowyczeń psa wśród nocy zimowej.

Dzierżyła oczy ku niemu niewiasta, niby z politowaniem, jakie się ma dla dziecka lub szalonego; ale na jej czole wiele się działo tymczasem — to śnieżna skóra wygładzała się, to marszczyła się w krzyże i kółka podług myśli przelatujących w mózgu: znać zatem, że nieład i burza w jej duszy.

— Agaj-Hanie, podnieś tę rękę nieszczęśliwą i zdjawszy książęcy pierścień, oczyść go i oddaj. — Gibko schylił się młodzian i porwał za rękę zbroczoną, ale żeby pierścień wyjąć, musiał dobyć kindżału i pracować w około palców, szron odskrobać, krew skrzeplą rozetrzeć, skóry szmaty oderwać, a kiedy z palca sama kość została, wtedy pierścień wysunął, rękę odrzucił daleko ze wstrętem, złoto i kamień tarł i gładził, dopóki nie zalsniły po dawnemu, i zbliżywszy się do pani, ujął za dłoń i sam chciał wkładać, ale dłoń go odepchnęła, bardziej jeszcze spojrzenie.

— Dobrze Waszmości grać na cymbałach i kotłach gwoli naszej zabawie, ale Waszmość pamiętaj, kto jesteś, a kto ja.

— Kto jesteś? — zawołał Agaj-Han — myślisz, żeś wdową po dwóch Dymitrach, carową moskiewską, hospodarką ziem i księstw i miast? Nie. Jesteś dla mnie Maryną, piękną nad pięknymi, lwicą, panią pustyń, mej duszy, gładszą od hurys w raję nam obiecanych, urodziwszą nad wszystkie święte greckie i łacińskie, panią moją, wyniosłą i hardą. Takiej mi trzeba.

Ta mowa nie obruszyła wcale Maryny. Spoglądała w oczy mowcy, ni zmieniała się na licu, jedno wita każde jego słowo uśmiechem, jak pani co dozwala paziowi żartować, czując się na władzy jego ukarania.

Twarz Tatara skrzywiła się, i z miękkiej, świeżej, na chropowatą, nadętą się zmienia. On poznał bowiem myśl carowej. Mignęła zawiedziona namiętność w jego oczach, jak błyskawica, kiedy potrójnie się łamie; a ręką szarpiąc futro na kaftanie, wydał krzyk, na który zdawało się że wprzód pęknać jego piersiom trzeba.

— Wasza uprzejmość i miłość! Hej! lotny mój kuu i brzęk moich ostróg i klingi ostrze i strzemion blask i bun-

czuka powiew i chmura kurzu, w której przelatuję stepy, jako duch i księżę ich, lepsze dzisiaj niż ten kadłub mroźny, ten pierścień marny, to imię carskie próżne, to wielkie państwo, co się rozleci jak skóra na ciele po ukąszeniu padalca.

A co mówisz o moich kotłach i cymbale, to żeś nieświadoma tajemnic Samarkandy i Diarbeku? To, że ci djament Salomona nigdy nie bił w źrenicę, choć twoja źrenica jego blasku pełna; to, żeś nie słyszała rozmów pomiędzy świątobliwymi i mądrymi. Ale o tem później: teraz znaj mnie, jakim jestem, jakim byłem raczej, kiedyś, nimem do Wołgi się dostał; nimem w Rusi greckiej i zimnej służby zapotrzebował. Allah! Allah! tak wołam zawsze, kiedy zaczynam mą powieść; bo wszechmocny strzeże królów i królewskich synów.

Oparła się o sosnę owdowiała pani, przy ognisku palącym się dotąd, pod pokryciami z skór, ostatkami namiotu wiszącymi na gałęziach — na pół słyszy, na pół myśl gdzieś tam, gdzieś tam ku Kremlinowi, gdzieś tam na tron carów się wspina po głowach bojarów.

A on zapalony, niewstrzymany, z czołem, na którym pobłyskuje tysiąc wspomnień i nadziei, nie już sługa Tatar na dworze Dymitra i Maryny, ale młodzian z krain południowych Azji, marzeń ognistych rozuzdany goniec, pustyń dziecko promieniami słońca karmione, łowczy za tygrysem i lampartem, Parys z szczęśliwej Arabji, kochanek dziewic o czarnem oku i włosie, bohater w walkach na wielbłądzie i dzamecie, ciągnął dalej z żywymi poruszeniami, podnosząc głos jakby do śpiewu, ale śpiewowi nie całkiem folgując by wyraźniejszymi były słowa.

— Na różańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysięcy go słuchało, tyle djamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic, ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa, blada jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust różanych, matka moja.

Namioty ojca jak fale wielkiego morza, bieleją na stepach, kiedy Azraela wezwie do boku. Stada koni hordami rycerzy obsiadłe, latają gdyby Simumu wiry. Złote ostrza spis tleją przy jego namiocie w nocy, jak zbiór gwiazd na straży, przy świętej jego głowie — a mnie dziecku zmia-

tają kurz z drogi czoła Hanów i Persów, powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmią u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur kadzideł, w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle drogiemi kamieniami, a kwiaty motylów kochanki, piasek złotem połyskują i każde źdźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze.

A kiedym wyrósł niemowlęciu nad głowę, klacz mi osiodłali Emiry i strzemię srebrne trzymali, kark podstawiając pod stopę siadającemu — i łuk jednorożcowy mi dali, sajdak z kości słoniowej i strzały z drzewa róży z ognistym u ostrzów kamieniem. Każda z nich lecąc w górę była wschodzącą, spadając na dół zachodzącą gwiazdą; i wypuszczałem roje gwiazd takowych z nad siodła z jedwabiu, jakby duch jaki, pan błękitnego przestworu.

A kiedym wybujać zaczął wyżej chłopca, sięgając już szyi ojca mego, wtedy mi lotnego dali bieguna, kolczugę księżycami zasianą i oręż Farysowy; a miałem serce po temu, skaczące mi w piersi do bojów, jak mleko w łonie matki do ust dziecięcia. Na polach ananasami okrytych zwarliśmy się nieraz, pośród kwiecica padały trupy! Oh! ty nie wiesz, co to bitwa nasza: chmury patrząc z nieba zazdroszczą nam i lotów i blasków naszych. Słońce wasze jest upiorem naszego; ono wre w środku błękitów nad Kaszmirem, nad Iranem, nad brzegami Kaspii, w okół Sztambułu i jeszcze nad górami Krymu jak źrenica samego Allah, jak koło z topiących się wiecznie djamentów, których krople w promieniach leją się na nas i życia nam dają więcej, niż Giaurom północy. Drzewa, kwiaty, strumienie, fontanny, kopuły, wieże, pierze ptaków, grzywy lwów i koni, oczy dziewic i mężów zbroje, tyle światła przejmują, iż świat mój wydaje mi się teraz chwałą nadludzką, patrząc na świat wasz, huryssu moja.

A skarby Carów, śmiej się z nich harda pani, to błoto i kurz. Ich korony naszych krymek nie warte. Ich kamienie nie warte kwiatku polnego na niwach Tekbiru. Z ich szat jaszczurki ruin Daldeku przedrzeźniałyby się. Gąsienicę z nad brzegów Hindu okręć w około palca, a żywiej zajaśnieje od ich pierścieni.

O chodź ze mną! pójdziem w kraje słońca, gdzie konie skrzydlate, gdzie powietrze jest morzem światła, każda

chmura łódką kosztowności, powiew każdy aniołem woni, każda noc miesięczna dniem letnim najpiękniejszym, a dzień każdy objawieniem się Boga.

Uśmiech uszczypliwy błąkał się na uściech Maryny, niepewny czy usiądzie na nich, czy odleci, tak jak zwykle w zadumaniu. W tem odezwał się tentent — pędzą na dwóch koniach jeźdźcy — młodzian rzucił ku nim spojrzenie sokoła.

To Urassowa Tatarzy, zamordowali męża twego i wracają po ciebie — czekajno, hurysso moja.

To mówiąc oderwał łuk od pleców, strzałę zarazem z kołczanu i nogę wyciągnął przed się. Nagle, tak nagle jak cień chmury burzą pędzonej odmieniła się twarz jego. Znikło pacholę marzące o kwieciach i słońcu. Dziki stanął, krwi niesyty mąż, dziedzic Gengiskańskiego rodu, w postawie naddziada, kiedy pierwszy rzucił w grunt czaszkę zbroczoną, węgielny kamień wieży z głów pobitych nieprzyjaciół. Biegną jeźdźcy naprzeciw, z cierpliwością Fakira dopuścił ich na śmiertelną metę: mógł był ich ranić od dawna; ale nie — on zabić chciał.

Oko w piersiach przodem biegnącego utopił a chwilą później i strzałę; odwinał rękę po drugi pocisk i ten przyłożył do cięciwy — bliżej mu jeszcze było do piersi drugiego, przez chwilę bawił się z pewnością iż go dosięże — palcami igrał po cięciwie jak śpiewak po stronach harfy przed zaczęciem pieśni, wreszcie naciągnął ją aż stęknęły rogi łuku. a Tatar zajęczał i runął z siódła pomiędzy sanie.

Nawykła znać niewiasta do takowych obrazów; kiedy niebezpieczeństwo przeszło, zawinęła się w płaszcz i znów oparła o sosnę, bo jej potrzeba się namyślić, nim wróci do miasta.

W Agaj-Hanie mord obudził insze wspomnienia, dalej więc mówił, oparłszy się na łuku; ale już nie śpiewnie lały się jego wyrazy, zgrzytaniem zębów każde szarpał słowo.

— Tak, mój ojciec świętą położył głowę w bitwie z Dżarmidem na Kiafelu błoniach. Darmo przez dziewięć słońc i dziewięć nocy osaczeni walczyliśmy, tak że aż dżamenty pociły się na naszych turbanach. — Sułtan, Padyuszach, pan żyznych niw, Han tysięcy, ojciec mój, szablą

zagiętą śmigał po karkach nieprzyjaciół, koń rączy podkowami srebrnymi deptał po trupach, na jego szatę przepyszna krew bryzgała, wszystkie na rękojeści kamienie w rubiny się zamieniły.

Patrzę dotąd na las z buńczuków w górze, na morze z grzyw końskich pod spodem, na spisy i dzyrydy lecące wskróż powietrza jak ogniste węże; na topazy, brylanty, szafiry, sypiące się na ziemię ze zbroi wojowników, na strzały bijące w pióra hełmów i w mózgi hełmami, w złote hafty koleczug i w serca pod niemi. Dżarmida tłumy czarne, posępne, te stada kruków, bez blasków, jakie sieją ozdobne szaty. My wracali z łowów — on nas, dawny wróg nasz, obkoczył i na brodzie przysięgał, że ojcu z ramion świętą głowę zdejmie.

W obozie z śnieżnych namiotów, w okopach aloesami najeżonych, broniliśmy się w małej liczbie; nasze rotty blaskiem swoim raziły hufce Dżarmida, bo każde ostrze spisy, każda buława i bułat kaźden nasz, nim piorunem spadł na wroga, wprzód błyskawicą świetności oczy mu oślepił.

Darmo — darmo, zarazę nam przyniosły nieczesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów, jak z pryszczów gadziny. Jęliśmy więc umierać w szanicach pod niebem przesłiznej pogody, dniem i nocą. Matka moja perła wschodu, ptak najśpiwniejszy w gajach Hadyru, pierwsza głowę schyliła na piersi i ucichła. Ojciec w bojach się ścierał i ja przy nim, aż straż jego pomarła i wróciwszy raz do namiotu, trupy oparte o sznury i słupy zastaliśmy, a oręż z sinych wymykał się dłoni.

Eblisa oddech wiał po całym obozie; nie widać, nie słyhać Diwa, którego on przysłał na naszą zgubę, bo ten duch złego ciche ma kroki i lekkie palce jak mała dziewczyna, do kogo rączkę przytuli, ten czuje z razu, niby atłasu dotknięcie lub draśnienie piór rajskiego ptaka, a potem oczy mu wyskoczą na wierzch jak dwa ciemne topazy; krwią rzyga z ust i z nozdrzy, krwią własną się obleje i pada pośród jej fal kipiących. Prorok sam go już nie ocali!

Noc ciemna, hurysso moja! — patrz, noc ciemna — sto razy ciemniejsza od tego zmierzchu: ale nie mroźna, nie pochmurna, gwiazdy w około księżycy brzęczą jak pszczoły przy ulu. Zapach trupów mięsza się z wonią kwia-

tów; bo kwiaty na naszych polach, choć kopyta je stratuja i posoka je obczerni, jeszcze nie skąpią kadzidel.

Wrzaski Dżarmidowych grzmia w pobliżu jak skowyczenia szakalów; we mnie i w ojcu wre zemsta i chęć ostatniej rozprawy; w żołnierzach, niewolnikach naszych, serce drży z bojaźni, bo już w słabej stoją liczbie nad zwłokami przyjaciół. Ojciec duma wśród trupów pomarłych sułtanek, bo matkę tylko moją uczczono pogrzebem; na insze nie mieliśmy czasu.

Płomień i dym hurysso moja! płomień i dym, a płomień czerwony jak tysiące krwią zaszłych oczów, oderwanych od czaszek skupionych razem; dym tak czarny jak azraelowe skrzydło. Rzeź i jęki. Śnieg namiotów topi się w ogniu, perzyna lata po niebie, sama nie wie gdzie, jak stado przelękłych wróbli.

Biłem się jeszcze dżyrydem i szablą tej nocy, dopóki na spisie, przy pożarze, nie ujrzałem świętej głowy ojca. Schyliłem czoło i trzy krople krwi z niej spadły na moje włosy — ostatnie jego błogosławieństwo. Przeszli wrogowie, nie postrzegli mnie, wszyscy moi zginęli i leżeli bez ducha. Zataczałem się po ich ciałach, może po ciele ojca, po ciele braci, ale nie wiem — szalał mózg pod turbanem w głowie, jakby po gęstych puharach opium. Dwóch jeszcze zabiłem uchodząc z pola, ówiertowałem ich członki, wyrwiałem brody, aż wsiadłem na koń i puściłem się w stepy.

Hordy nasze rozbite przez Dżarmida, już nie znają mnie. Tron mój runął; ale Allah strzeże królewskiego syna.

— Hurysso moja, to szalbierz, żyd, oszust — zawołał straszliwym głosem, wskazując w stronę, kędy leżało ciało Dymitra — we mnie płynie krew przejrzysta, jestem potomkiem mocarzów Kiafelu; a ty piękną perłą, a ty konchą mojej nadziei na wzburzonych falach życia, hurysso moja.

Wdowa po dwóch Dymitrach wtedy odelgnawszy od drzewa, spojrziała z wysoka na mówiącego. — Idź przodem, waszmość i potrzyмай konie: wracamy do Kaługi, a podczas drogi oznajmiemy ci nasze rozkazy względem pogrzebu W. Kniazia.

Uniesienie młodziana skrzepło pod temi zimnemi słowy, a na twarzy rozciągnęła się niemoc, podobna do tej, którą każdy doznał widząc się z marzeń na jawie rzeczywistości.

Lecz przemijającym było to osłabienie, bo jego dusza wieczna zmienniczka, wszystkich namiętności i uczuć niezrądnica, na przemiany mdleć umiała i przychodzić do siebie. Teraz znowu w jego oczach igra płomień miłości nad iskrą zemsty, tlejącą pod spodem; i spojrzawszy na Marynę szedł jako rozkazała.

Dumna pani zostawia za sobą zwłoki męża; ale na jej palcu błyszczy pierścień po zabitym. Jego połysk ma być jej pochodem ku tronowi Carów. Piękną jednak była w tej chwili, choć tyle pychy czernieje na jej czole — piękna świeżością jagód, splotami czarnych włosów kołyszącymi się w cieniu kołpaka; piękna rumieńcem mroźnym, co się wśliznął na lica, wzrokiem, w którym wdzięk niewieści słodzi nieugiętość męża, wreszcie spadkiem ramion i ugięciem kibici, powagą całej postawy i nogą, której krok każdy głęboki ślad zostawia w towarzysza duszy.

Ale darmo w niej szukać dziewczyny o powiekach skorych do zniżań, o uśmiechu cukrowym na ustach, o pierśiach pełnych westchnień i nieopisanych żądz. Młoda porzuciła matkę, a od tej chwili to siedziała na tronie, to na siodle rumaka. Jej ni motyl, ni pączek róży, ni błędne wieczorne dumania, ni błędne nocne trwogi na myśli, ale państwo i berło, a czasami syn niemowlę, bo jużci jest matką.

Agaj-Han jechał z tyłu, przodem Carowa.

II.

Pośród nocy setne pochodnie biją w zamek Carowej, potrząsają niemi zbrojne ręce. Dziwnie czerwone połyski biegną po hełmach i skrzydłach husarzów; po koleczugach pancernych, po sajdakach Tatarów, czepiają się grzywy końskich i buńczuków kozackich, pieszczą się z bogatymi jelcami u szabel.

Lud ten cały na dziedzińcu krzyczy, to grozi, to woła i wita, myślą, że białogłową wrzaskiem zastraszą; o żołd wołają, o nagrody, o rzędy na konie, o zbroje na mężów, o skarbów rozdanie. Dobra pora, męża Dymitra zabili,

sama została, niech nam więc sypnie z krużganka kamieńmi z mitry Carów, niechaj samą koronę nam rzuci, my toporem posieczem twarde złoto na sztuki. Hej Pani, hej Carowo, hej Dymitrowska żono, Hospodarko nasza, a prędzej przybywaj, ukaż się nam i udaruj nas.

Zgiełk na około bram, zgiełk po dziedzińcu, tłoczą się ku drzwiom, ale tam mąż sam jeden stoi, a jego z tłumu żaden nie zaczepi; bo jemu z tego tłumu żaden nie sprosta.

On czasem potrząsa szyszakiem jak lew grzywą, a szyszak ma lekki, który dzielnemu cięciu się nie oprze; lecz za to u pasa wisi szabla, co każde cięcie odbije i za cios niedoszły razem śmiertelnym odda; bycze barki marszczą się nad kształtnem ciałem, nogi nie prosto się trzymają, jak zwykle u tych, co częściej na koniu biegną i spią, niż chodzą i spią na ziemi; jednak one potrafią i naprzód skoczyć i w tył równie giętko się cofnąć; w otworzystych oczach znać, że i do surowych i namiętnych spojrzeń zdadne, pokrwawą teraz zaszły ich białka, czy to, że krew do nich bije, czy to, że w świetle pochodnie pływają a w źrenicy pali się namiętność do boju i łupów i do wszystkiego, co rzuca człowiekiem po szlakach niebezpieczeństwa, u końca których śmierć go lub panowanie czeka. Lica osypane perzyną spadłą od promieni stepowego słońca, na czole dwie blizny, a nad ustami wąs się jeży, gęsty, czarny, ulubiony od wojownika, zapuszczony w pierwszym jego obozie, głaskany pocałunkami dziewczyn, w dniu bitwy zakręcany z chlubą, postrach wrogów; uśmiechów wesela i uśmiechów wzgardy nieodstępny towarzyszy.

Na piersiach bechter i znać, że piersi niezwyčajne takiej zbroi, bo czasem oddech ciężki z nich wyjdzie, one w kaftanie lub koszulce stalowej narażać się lubią, nie dbając o życie, spotkawszy się z niebezpieczeństwem, tak jak kochanek, kiedy zejdzie się z kochanką. U pasa wisi młotek, nim rozbija rycerz pętle na zbrojach obalonych wrogów, by nie psuć klingi swojej po drodze ku ich sercu.

Ciągle milczy i przy drzwiach gwałt całej tłuszczy na surowem spojrzeniu wstrzymuje, a kiedy przystąpią, jednym wykrzyknikiem odrzuca ich od siebie.

Pośród wrzawy głos odezwał się z góry, podobny do przeciągłego gwizdu:

— Najjaśniejsza Carowa ukaże się wam niedługo —
czekajcie.

I młodzian o szarfię zielonej stał oparty na kracie krużganku; nie rzekł i słowa więcej, ale spozierał na żołnierstwo z uśmiechem, czy litości czy goryczy, jakby urągając tłumowi: może też i dawny zwyczaj przypominał, kiedy wolno mu było z góry patrzeć na mnóstwo i pogardzać niemi.

— W szeregi się zewrzeć, zstępuje Carowa — zagrzmiął wojownik od progu, a na ten głos wnet krzyki ucichły wśród szczęku zbroi i stapań spieszących na miejsca swoje. Hussarze, pancerni, kozacy, tatarzy, w porządku stanęli na podwrocu. Już światło pochodni nie łamie się wśród rozrywanych orszaków, ale po rzędach kirysów jednym długim płynie strumieniem od jednej bramy do drugiej, i na ostrzach dzid zapala płomyki, które błyszczą szeregiem jak lampy w galerji.

Jazda porozrzucana na skrzydłach, niewzruszona i konie i jeźdźcy, mileżąca piechota, jedno szmer biegnie po rotach podobny do szumu gałęzi śniegiem obwisłych.

Młodzieniec znikł z krużganku i giermkim przed Carową ukazał się u drzwi. Głębokim był pokłon, którym wódz uczcił schodzącą panią, ale też śmiałem spojrzenie, które na nią rzucił. W niem przebija ufność w własną siłę, obietnica obrony i nadzieja nagrody nie w łupach i żołdzie, nie w łaskach padających z wysoka świetnie jak rosa, chłodno jak szron zimowy; ale w tych względach, któremi piękność osładza trudy walecznego, rozkoszy puharem.

Maryna odpowiedziała także spojrzeniem, a więc mąż jął iść za nią, z ręką na szabli, strzegąc jej kroków jak ojciec, rozplywając się w jej widoku jak kochanek.

A Carowa wyglądała tej nocy właśnie jak trzeba na drażnienie męskiego serca; na licu płonie od namiętnego oczekiwania; i na czarnych włosach złota mitra się wznosi, tak kształtnie rzucona, że i jednego pukla nie zasłania i jej blaskom żaden pukiel nie szkodzi; płaszcz odpada od ramion, za każdym krokiem zsuwa się bardziej, już ciągnie się po ziemi; ale za to ramiona błysnęły z pod niego. Szata z nad piersi gwałtownem biciem tych piersi odsunięta, rąbek jeszcze został biały, przejrzysty, słaba opona przeciw rozhużdzanym oczom. I włosy też zwolna spływają

w dół na ramiona, na plecy. Oh! kto na nią patrzy, tej nocy długie zachowa wspomnienie. Statku i urody tyle na tych licach, tyle hartu na czole, że marmurem wydaje się białym, a tyle ponęty, błagań, rozkazów na ustach, że zdają się liśćcami róży drżącemi w powiewie: raz je wiatr mocny rozrywa, znów cichy głaszcze i spokoj.

A jako na panią licznych ziem i grodów przystało, obziera szeregi rycerstwa, czasem też łza spłynie z powieki, niby męża pamięć, to pamięć Kremlinu; każdego wyniosłość zadziwi, płacz wzruszy; pierścienie, rozwiązawszy się, lunęły deszczem czarnych włosów, który aż do stóp się spuścił; ona je podjawszy pięć razy dłonią okręci i znów w czarne chmurki zepnie, które wiszą nad czołem; wreszcie zawoła w uniesieniu, odrzucając natrętne sploty od twarzy, przebiegając szeregi, to uśmiechem nęcąc, to wzrokiem z ognia burząc dusze, gdzieniegdzie sypiąc złoto i srebro.

— Nieszczęśliwej pomoc dajcie Waszmoście, kiedy patrzę ja biedna i nieboga na tyle zbroi i oręża, jeszcze wzrasta we mnie serce; bo wiem, że Polak odbieżeć nie umie. Prawą jestem szlachcianką polską, Waszmoście, prawą Carową waszą — i tu oglądała się na hufce Moskwy — ani wy siostry, ani wy pani swojej nie puściecie na śmiech u ludzi, na nędzę u świata. Wielki kniaź Dymitr legł pod żelazem zdrajców; ależ ja i syn mój zostali; on śpi w tych komnatach, niewinne dziecię, nie wie nic o losie ojca, uśmiechało się przed chwilą do matki, a ja mu obiecałam w duchu pomoc i tron należny; nie odstąpię przeznaczeń Boskich, które mi koronę na to czoło dały, by ją to czoło nosiło do grobu; a więc radźcie pomiędzy sobą, radźcie Waszmoście o was samych, bo ja, choćby jeden giermek tylko przy mnie się opowiedział, z tym jednym jeszcze pójdę ku bramom stolicy mojej.

Po tych słowach nagłym zwrotem ręki wyrwała szablę z pochwy Agaj-Hana — i klingę obróciła ku piersiom; zda się przy pochodniach, że wąż ognisty wspina się do tego łona.

— Pomścijcie mnie Waszmoście. Zemsty, zemsty za panią waszą. Tam poćwiertowane ciało leży w borze, tu pani wasza, a na ostrzu tej szabli waży się jej życie; bo hańby i sromu krew moja nie znała nigdy, nie pozna

i dzisiaj. Ratunku, pomsty ja wołam po was. — I żelazo piersi dotknęło i ręką mocno ścisła szablę, a nad tym obrazem śmierci na ustach w górze ulatuje uśmiech niewieści, uśmiech, jakim pierwsza niewiasta nęci Adama.

Agaj-Hana twarz nateżona, oczy wlepione w Carową, nie chce utracić i jednego jej słowa i jednego jej ruchu. Rozpływa się w mileżącej rozkoszy i wzrokiem ssie jej wdzięki, jak pszczoła nachylona nad kielichem kwiatu; może mu się zdaje, iż ten obraz marzeniem, co się stawiło na rozkaz wyobraźni; więc niewzruszony, we wschodnim letargu duma i szaleje. Drugi mąż nie dotrzymał niecierpliwości swojej — porwał za pałasz i mignął dwa razy kręgiem na około hełmu.

— Mołodecy! hej do mnie! Hej do Zaruckiego! Ja przy Carowej, a moi przy mnie.

To mówiąc zbliża się do niej, wskazuje na szyki co przebiegły, a oczy wyskoczyły mu na wierzch od namiętności; drży ramionami, już mu ramiona podnoszą się od piersi, zaokrąglają się pomimo woli, coraz bliżej jej kibici.

Uśmiech wdzięczności był mu zapłatą — on przestał na takowej teraz, a później inszej zażąda. Wraca Maryna pośród krzyków do zamku, huczy rycerstwo i wita ją, swoją panią, potem rozbiegnie się po mieście. — Na dziedzińcu ciemność i milczenie, lecz tam po ulicach, lecz owdzie po rynkach wrzaski i kłótnie, smolne ognie i ka-gańców błyski.

Komnata Dymitra nieboszczyka lśni się bogatym sprzętem. Zasłony u łoża, firanki u okien, obicie po ścianach, błyszczą haftami, w framugach wiszą bechtery i karaceny złotem nabijane, a z hełmów zlewają się pióra, to białe, to czerwone.

Pośrodku stoi Maryna z lampą w dłoni, z błędnym wzrokiem. Z rana dziś jeszcze porwał się z tej ciepłej pościeli kniaź i zatrąbił na łowy; tu przed łowami jeszcze pił do swoich Tatarów, aż rumiany od napoju, zataczając się wyszedł temi drzwiami: już nie wrócił — już nigdy nie wróci.

Zda się jeszcze wdowie, że widzi na srebrnolitej poduszce twarz o srogich i nadętych rysach, oczy pełne chuci bezwstydu, że słyszy, jak to ciało rozmarzone po uczcie,

przewraca się i pokoju znaleźć nie może, jako drze przez sen kosztowne nakrycia i futra, lub pada na podłogę i jak nieżywe się toczy.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Żalu zapewne żadnego nie czuje; obrzydzenie tylko, a jeśli jakiś żal doń się mięsza, to że dwa silne ramiona odpadły od jej sprawy; może też przyszło jej do serca, że on był ojcem jej synaczka.

Waha się niepewna, czy pójdzie dalej. Coś zda się ciągnie ją ku owym drzwiom, na pół rozwartym obok łoża, za którymi schody blade, kręcą się i giną w ciemności. To postąpi, to się cofnie, a kiedy się nie cofa, to się zatrzymuje gdyby wryta — z oczyma wbitemi w te drzwi, w te schody, dysząca, z rzędem zimnych kropli na czole.

Ale jak w mężkiem sercu niedługo bojaźni przewaga, jakkolwiek ta bojaźń być może. Więc lampę dzierżąc przed się, weszła na schody i poszła niemi. Dziwne to przejście. Splotami węża wiją się stopnie, czasami w dół wracają, potem w górę się wspinają. Znać po kształcie muru, że się jest w okrągłej wieży — ale nigdzie strzelnicy, jedno grube ściany wszędzie, a czasami hak żelazny na promieniu lampy występuje z cienia, a schody wciąż środkami idą, ledwo ścian się dotkną gdzie niegdzie, zresztą wiszą nad głębią czarną, z której dołu wychodzą szумы i głuche szelesty, niby to woda pieni się w bąbelkach i te bąble pryskają — niby to wiatr zakrada się pomiędzy ciasnoty i bije się z niemi.

Długo błąkała się Carowa, ale to jej nie odstręcza, równym zawsze stąpa krokiem; trwoga z jej twarzy zniknęła, tylko została wola i ta ją dalej, wyżej, coraz wyżej, coraz wyżej popycha. Błysnął zamek żelazny, błysnął łańcuch ze stali u stalowej kłódki, w murze czarnym drzwi się bielily — a od ich kamiennego progu most rzucony aż do schodów, wisi nad przepaścią, bez poręczy, cienki, drżący od kroków Carowej. Cóż dopiero, kiedy na nim stanie!

Pojrzała raz tylko w dół i na mostek weszła. Ani wprzód próbowała jego mocy wysuwając nogę jedną, drugą na schodach trzymając; ani schyliła się, by ręką pociągnąć po nim, ale od razu weszła, nie oglądając się z tyłu, ku

drzwiom jedynie dzierżąc oczy, deszczka ugina się pod jej stopami jak fala pod łódką, a jak pod falą jest otchłań, tak i tu dna nie masz!

Śnieżnemi palcami przebiera po łańcuchu, targa ogniwą — rdza została na palcach — nic więcej oderwać nie potrafi; a zatem dobyła z pod szaty długiego sztyletu o błękitnych żyłach, o niezłomnym harcie. Kilka razy uderzyła i łańcuch się przerwał, zawisł jak długi na klamce — przypięła lampę do niego i obiema dłońmi bierze się do kłódki; a lampa kołysząc się zwolna, kręgiem światła jej postać oblewa, lecz każdy promień, co się zapuści dalej, czy w dół, czy w górę, skończyć musi wśród cieniu; ona jest wyspą bladego światła wśród dwóch otchłani ciemności.

I kłódka nie dotrzymała ciosom sztyletu, bo i ostrzem i rękojeścią tłukła w nią Carowa; drzwi otwarte. Dla czegoż nie wejdzie natychmiast? Dla czegoż przynajmniej stopą nie uchwyci się progu — wszakże niebezpieczeństwo do koła, wszak belka coraz gnie się bardziej — już jęczy, bo bliska pęknięcia! nie — ona stoi i patrzy w ciemną komnatę. Bliską celu, znów słabość napadła i nie śmie postąpić, jak ten, co doszedł krat smętarza i od nich wraca się nazad. Potrzeba jej skoku, by się wyrwać z zadumania czy trwogi. Rozzochrana, z pomięszaniem na licu, drżąca, przymrużając oczy, wpadła do komnaty i podnioswszy lampę rzuciła wzrok na okół, spiesznie, błędnie: tym pierwszym wzrokiem nic nie zobaczyła. Dopiero po chwili zmysły odzyskała, a wtedy kiedy spojrzała, wszystko zobaczyła, i ściany ubrane w pajęczyny i strzelnic dwie i sklepienie ostro pnące się w górę, ślady dymu po niem i piec żelazny, szerokie krzesło i stół dębowy z dwiema księgami, krymkę hebrajską, z guzami z rzemienia do hebrajskiej modlitwy. Pokój to skryty zabitego kniazia. Znać na kurzu podłogi stóp jego ślady, szata długa zarzucona w kącie, a na rozwartych księgach pismo niechrześcijańskie, nie greckie, nie łacińskie.

Lampa wypuszczona runęła na posadzkę — nie zagasła jednak, owszem żywszy blask na wsze strony miecie — a piękna wojewodzianka Sandomierska załamała ręce w gorzkiej rozpacz. Patrz na nią teraz, a ujrzysz nie dumną królowę, nie hardą panią, ale kobietę we łzach, marzącą

o swojej młodości, o domu ojców, o szlachetnym rodzie, o polskich niwach, o pierwszej miłości, wśród niemych wodów hańby i poniewierki.

Sprawdziły się poszepty ludzi, Agaj-Hana sprawdziły się słowa. O patrz na nią teraz, patrz, jako urodziwa w swojej boleści, jako te lica stateczne rozmiękłe od płaczu, świeższymi się wydają; wprzód były świetnym ale suchym kwiatem, rosa czułości go teraz oblała, płomień oczu mgłą się otoczył i z za tej mgły milej świeci, jak promień słońca z za wiośnianej chmury, tak lekkiej, że się nie godzi nazywać ją chmurą.

Powieki spuszczone, piersi dyszą smutno jak u dziewicy, która dotąd nie zaznała świata i z pierwszą boleścią spotkała się na świecie; ramiona opadły na dół z niemocy, ale nie wiszą jak nieżywe, dotąd w nich jest zaokrąglenie pełne wdzięku; na czole pochurność, która na łyzy stopić się nie może, na czole pozostała duma, ale poniżona, cierpiąca. Tysiąc wspomnień w tej chwili tłoczy się w serce, w serce niebogie Maryi, słabej niewiasty, opuszczonej, zdradzonej, przelękłej i wspomnienie pierwszego męża dziarskiego, hojnego, któremu tak pięknie pasowała korona Carów i towarzyszek dzieciństwa i sadów ojcowskich, gdzie owoców i murawy siła — i kaplicy z grobami Mniszców, gdzie dzwony tak smętne, gdzie modlitwa tak powabna, za dusze przodków i szczęście rodziców. Aż tu znów wali się przepych Kremlinu, i ślub z błogosławieństwem króla polskiego, i dary bogate, i tłumy bojarów niewolników, i wesele, i pierwsza noc wesela z oblubieńcem młodym, walecznym, panem rozległej krainy; a potem — spiski i mordy. Ah! to nic jeszcze — więzienie i wygnanie — ah! to nic jeszcze — ale drugi ślub — drugi mąż. — Ah! to wspomnienie serce jej rozniosło na ostrzu swoim. I znów spoziera na biblję i talmud, na krymkę i szatę czarną; zadrzały kolana, usuwają się ku ziemi, rękę wyciąga, jak gdyby wzywała pomocy, mdło w piersiach nieszczęśliwej, już pada, w tem ją z tyłu ręka zatrzyma i śmiech szyderczy wróci do życia pychy i gniewu.

— Huryssso moja, a wszak moje słowa nie kłamliwe, jak rosa; w południe szukaj, a nie znajdziesz jej kropel. Ha! niewierny tu przesiadywał, modlił się pies, a ty jego

żoną, ciebie w ramionach trzymał, twoje usta brudził swojemi. Hurysso moja — nie taki, nie taki mąż przystoi tobie! — Łez już nie było na jej twarzy, ni rozrzewnienia w duszy — ale choć obrażona, choć chciałaby karcić młodzieńca, nie może w tej komnacie rozkazywać. Tu służalec, tu giermek jej, przewagę wziął nad nią, bo zastał kobietę, tam gdzie trza było jej, by zastał Carowę. Więc milczy i w powagę się stroi, czuje bowiem jeszcze wilgoć po liściach i ostatek słabości w sercu. Chwili jeszcze jej trzeba, nim całkiem weźmie górę nad wzruszeniem.

Agaj-Han podniósł lampę i wprost ją trzymał naprzeciw pani; pałają mu oczy żywiej od lampy, na rysach migają uczucia, jak obrączka światła nad pianą potoku; ukląkł Azjanin i obie ręce w krzyż złożywszy na piersiach zawołał, zaśpiewał raczej:

— Sułtanko moja, tulipanie piękności, żagło biała na lazurowem jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój! Niech źrenicy twej piorun nie pada na mnie, kroków twoich strzedz chciałem w tej pustej wieży, a zarazem jako goniec przybyłem. Hetman kozacki, Igar Sahajdaczny Zarucki, twoim rozkazom się stawiał, czeka w sali zamkowej na ciebie, jako na wschód słońca.

Tu uśmiech szyderczy utkwiał mu na ustach i dodał z przeraźliwym krzykiem:

„Szablę ojcowską uniosłem z pożaru rzezi, a szabla to krzywa, do cięcia i do rąbania, z ostrzem bez miłosierdzia, z klingą bez skazy, piętnaście strzał noszę w koleczanie, a każda ma żądło, którem ssać krew lubi. Dżyryd też w puściźnie mi został, lekki, płytki, z pancerza i piersi pod pancerzem szyderca, a do tego i handżar u mnie zimny jak wąż, ale bez dzwonek i jak wąż ostrzegać nie raczy. Hurysso, czy dosyć na jednego wroga? a teraz powtórzmy: Hetman kozacki, Igar Sahajdaczny Zarucki, czeka na swoją panią.“

Maryna nie odpowiedziała i słowa; nie wiedzieć zkąd, ale przyszło do tego, że giermek zmusił ją do milczenia; w jego ruchach, rysach, w głosie, w odwadze pełnej urągania się, w zapale dziecinny, w marzeniach wschodnich, było coś uroczego, może i ten urok padł na Carowę; nie żeby dopuścić go miała bliżej siebie, jedno znosi jego mowy

i szwały, jak gdyby upodobała sobie w jego dziwaczności; kiedy zeszła do zamkowej sali, musiał Agaj-Han ustąpić — wyszedł, Zaruckiego żegnając wzrokiem tygrysa. Tajemną została na zawsze owej nocy rozmowa. Hetman wyszedł o brzasku, a poznał giermek na jego palcu pierścień, jeden z setnych pierścieni Carowej.

III.

Dzień mroźny z słońcem, które we dwójnasób się iskrzy, z śniegiem, co trzeszczy pod zbrojnemi stopy i wewnątrz i zewnątrz zamku. Moskwa zamek oblega, nie uznaje carowej i wrzeszczy o Władysławie polskim, to o Szujskim moskału, a huczy i burzą wali się na mury. Dwa działa przed bramą strzelają w bramę, w żelazne rygle i zawiasy, lecz mało dba o nie brama, jedno zadrży czasem, a potem znów niewzruszona nad głębokim rowem, tuli do piersi most zwodzony jak olbrzym małego pacholęcia.

Kiedy działa grmią, strzały w milczeniu przelatują powietrze, kiedy działa umilkną, na nowo świstać zaczynają strzały, a wciąż dwie chmury ich, jedna naprzeciwko drugiej leci, ta z ulic Kaługi, tamta z murów zamku i z obu gęsta śmierć i rany się sypią.

A zamek do koła obwiedzion basztami i wałem, u czterech rogów cztery wieże, z tych najwyższa w głębi podwórca, otoczona galerjami wewnątrz ma schody, z gotyckimi i wschodnimi ozdoby; na pół twierdzą, na pół minaretem się wydaje, bo na około ścian jak w kościele wydłutowane świętych postacie i krzyże i róże, tu i owdzie znów plamy i półksiężyce, dalej krużganki z filarami do używania chłodu w lecie, a między niemi rozrzucone baszty, zkąd długo bronić się można; a gdzie niegdzie występuje przedsionek, na którym sterczą głazy, beczki smolne przeznaczone głowom oblężyców; sam zaś wierzchołek haftem ze strzelnic obrabiony. Lud wieżę tę mongolską nazywa; na krużganku najwyższego piętra siedzi niewiasta, otoczona kilkoma dworzanami. Rysów jej nie znać w odległości, jedno połysk bije od kosztownej szaty.

Na murach, gdzie najszersza walka, gdzie wre niebezpieczeństwo, tam widać męża, który uśmiechem rokoszy go wita. Stąpa, jakby w biesiadniczej sali — nie raczył pancerzem piersi zasłonić — na kołpaku blacha bardziej świeci jak ozdoba, niż służy za obronę, ale ile razy skoczy lub podbieży, sajdak mu zadzwoni na barkach, z niego czasem wyjdą muje strzały i puszcza łukiem, one celu nigdy nie chybią.

Wszyscy pytają się go o rozkazy, on potrzebą zawiaduje jak gdyby festynem, urządza rotę, owych posyła dalej, tamtych woła do siebie z twarzą pogodną, z otworzystemi oczyma.

Jak ryba pluskająca w wodzie, w swoim żywiole, w własnej, ukochanej, przezroczystej wodzie, tak on wśród krwi płąsa, wąsów pokręcając, podnosząc czoło, witając z uniesieniem wystrzał każdego, każdy podlot dymu w górę, dowodząc i słowem i przykładem; zachodząc wszędzie drogę śmierci i zmuszając ją do odwrotu, bo tam, gdzie się on ukaże, wnet rozbite nieprzyjaciół hufce, od drabin, od baszt, spadają w rów, aż woda kipi od ich spadających ciał.

Tak dnia tego wództwo sprawował Igar Sahajdaczny Zarucki; czasami spogląda też ku wieży, ku pani swojej, pierś nadyma, oczy wyszczerza, zda się na chwilę, iż zapomniał o hukach, co grzmia w okół, o walce, której sam jest częścią — ale to trwa przez mgnienie oka, przez jedno bicie serca, potem znowu poruczonej pilnuje obrony — młodocy ochoczo go słuchają, wielu już ich padło, ale reszta nie zważa na braci poległych: o pogrzebie pomyślą, kiedy walka minie.

Bitwa cały dzień trwała, a ku wieczorowi pomnożona Moskwa górę brać zaczęła; uśmiechał się jeszcze Sahajdaczny, nie już w radości, ale w goryczy męża, który dzielnie się potykał a nic nie zyskał, który długo jeszcze bronić może, ale wie, że w końcu ulegnie. Kołpaki, brody, spisy, buńczuki tańczą pod murami zamku, skaczą do nich, działa rażą ciągłym ogniem — młodcom głodno, cały dzień nie jedli, nie pili; młodcom słabo, cały dzień walczyli, a trupów bratnich więcej leży na basztach, niż braci żyjących przechadza się po nich.

W tem wśród bitwy ukazał się młodzian o czarnym hełmie z pół księżycem na szczycie; podobnym do pół księ-

czyca niebios zachodzącego w smutku nad cyplem skały, o tak lekkiej zbroi, że się gięła za każdym poruszeniem, iż nie ledwo znać na niej muszkuły ramion z pod spodu, o krzywej szabli, która tłucze o zbroję z dźwiękiem srebrnego dzwonu. Bieży po murach, a kiedy trupy gdzie spotka, na palcach po nich przechodzi, jakby się lękał obuwia krwią zmazać, i skacze z zręcznością wiewiórki po tokach, działach, hełmach rozsypanych tu i owdzie. Tyle wdzięku w jego podskokach, że do tańca podobne, bo raz w pędzie ślizga się po baszcie, to znów stąpa jak dziewczyna, a kiedy gdzie ciasne przejście, waży obie ręce i ciałem w tę i ową stronę nagina i zdaje się lubo przysłuchiwać się chrzęstowi własnej kolczugi. Doszedł do Zaruckiego, który stał wśród poddanych, i obcierał pałasz z moskiewskiej posoki, by mu wrócić błyskawicę.

— Ej! Igarze Sahajdaczny Zarucki, zawołał, pani moja i twa, Maryna Carowa, każe byś się do ostatniego potykał. Dobrze ona widzi z swojej mongolskiej wieży, iż wam na ludziach zbywa, ale się spodziewa, iż na męztwie nie zbędzie. — Giermku, odparł Zarucki, brwi marszcząc i rękę podnosząc do wąsa, próżny twój trud i próżne twe słowa. Bez nich jużem znalazł moją powinność i miałem jej dopełnić; wracaj więc dziecię, chłopię, zkądś przybył, bo twój szyszak, kirys i szabelka na nic nam się nie zdadzą tu; tam na zabawę pani twojej zdać się na coś mogą.

Nie odpowiedział i słowa Agaj-Han, ale świerem poszły mu oczy; porwał za łuk, naciągnął i strzałę puścił na nieprzyjaciół: warknęła struna, gdyby od palców olbrzyma, a pocisk przebił piersi jednemu z wodzów Moskwy. Pojrzał wtedy młodzian na hetmana wzrokiem zwycięzcy i oddalił się, już nie skokami, ale poważnem stąpaniem. Ktoby był patrzył na Zaruckiego wtedy, uniósłby się ku niemu zapalem; rzadszym otoczony żołnierzem, coraz dzielniej bronił okopów, wszędzie był, gdzie go trzeba było — zagrzewał i łajał — zachęcał i pochlebiał. Choć zwątpił o zwycięstwie, zdawał się pewnym zwycięstwa. Z pogardą spozierał na tłumy garnące się ku zamkowi — ni pomieszczenia, ni wątpliwości nie odkryje żaden w jego rysach. Ciągłe twarz spokojna, zdobna rumieńcem walki, oczy ognia pełne, ręka skora w prawo i w lewo uderzyć, zastawić się

z przodu i z tyłu; to strzałę posyła dalekim wrogom, to szablą wita bliższych siebie, a kiedy gdzie postawi nogę, zda się, że ta noga w kamień muru się wryła, bo stoi niewzruszenie; bo sam jeden przeciw kilku walczy i pozbywa się ich w miarę, jak nadchodzą po drabinach; bo karkiem przenosząc i swoich i tamtych i na chwilę czoła nie zniży. Potu nie obciera, niechaj sobie płynie; krwi nie obciera, niechaj sama zasklepi jego rany; a rany nie ciężkie, jedna na piersiach, druga na lewem ramieniu zbroję mu farbują. Boleść z nich drażni jego męstwo, i do każdego ciosu miecza ciężar zemsty przydawa. — Napróżno. Bramy już wybite; po trupach swoich Moskwa rowy przeskoczy i na podwozecz się dostanie. Dziki wrzask, szalony gwar, szczęki i łoskot; nieprzyjaciele walą ku podwojom Carowej.

Poznał Sahajdaczny, iż zamku nie obroni. — Rozsypcie się, woła na młodców swoich, gdzie który może niech ucieka, a jutro o białej zorzy bądźcie mi na koniach przy broni w Gorczakowym lesie.

Wnet z około męża znikli towarzysze; w mroku czerwieją ich ciała, chylone, zawieszające się u strzelnic, czołgając po murach, aż wreszcie przepadną, to za okopem, to za stosem trupów, to za rowem, to wśród nieuważnych wrogów, każde w innej stronie.

Zarucki sam jeden pozostał na murze; przez chwilę spozierał na zabitą starszysznę w około, bez żalu, bez litości, wzrokiem jakim się na powszedni chleb patrzy; potem pobiegł przez baszty i zakręty ku wieży, bo tam wołało go coś mocniejszego od powinności żołnierza.

Krótką, ale trudną była droga. Sam ją odbywał, bo wiedział, iż jedno tym sposobem ujdzie baczności wrogów; walczyć musi co chwila z trupami, rozrywać ich gęstwinę, by łatwiej przejść było, zrzucąc je na dziedzińce, na głowy wrogom, którzy tam krzyczą i hasają z pochodniami, szukając wdowy po Samozwańcze; tu i owdzie przeskakiwać przerwy od kul wyłamane, zataczać się po odłamkach pancerczów, hełmów i szabel; lecz im więcej przeszkód, tem srożej wre mu w piersiach chęć dostania się do wieży. Ciągnie do jej szczytu siła niepojęta, która wszystko insze z mózgu ruguje: jeden tylko tam obraz pani urodziwej zawiesza i kołyszę na falach krwi do czoła bijącej.

Doszedł piętra równego z murem, w tej samej chwili, kiedy Moskwa wybijała bramę dolną pod spodem. Ramieniem uchwycił się galerji nad głową, odparł mur stopami, zawisł chwilę w powietrzu, na jednej dłoni dźwigając ciężar i zbroi i ciała, drugi raz podskoczył i stanął na schodach. Biegł potem na górę, tak jak zwykle biegał na koniu po stepie. Biegł, a czasami odwracał głowę, aż tu z okien zamkowych połyski pochodni tańczą na wsze strony, przez szyby znać to oręż, to kołpaki; na dziedzińcu u dołu czarna tłuszcza to pcha się ku wieży, to odstępuje jak potok odparty skałą, a wracający do szturm na skałę; kagańce gasną, to znów się zapalają, iskry od nich sypią się na ziemię, dym bucha w powietrze, a niebo iskrzy się gwiazdami, a księżyc jak bryła lodu wschodzi nad dalekim borem.

Dopadł ostatniego piętra, kiedy już kroki zbrojnych glucho rozlegały się po wieży, dochodząc od dołu, co chwila podnosząc się w górę. Tam w komnacie strzelnicami za dnia, a teraz jedną lampą oświetloną siedziała Carowa, z berłem w ręku, z koroną na głowie. Dworzanie ją odbiegli. Dwie służebne panny Polki i jeden tylko Agaj-Han przy niej, w tej stanowczej godzinie.

Z szablą dobytą, z obnażonem czołem, krwią obłany, Sahajdaczny rzucił się przed oblicze pani i wskazał znakiem, iż wszystko stracone, ale zarazem wzrok jego zapalił się ogniem, jak gdyby gońcem był zwycięstwa, bohaterem wygranej.

— Toż Waszmość nie taki wypadek z bitwy zwykłeś dawniej donosić wielkiemu kniaziowi, ale wdowie wolno jako słabej, nie mściwej białogłowie. Broń mnie Waszmość, dopóki krople krwi masz w żyłach, lub jeśli bronić mnie odpadła cię już ochota, pożycz szabli i bierz naukę, jako polska szlachcianka walczyć za swe prawa umie. Wypił ten puhar goryczy Zarucki z stałością męża przeświadczonego, że powinności dopełnił; nie więc nie odpowiedział, ale zastawił drzwi ciałem i rękę wyciągnął wśród ciemności nad schodami, czekając pierwszego, co się nawinie ostrzem swojego pałasza. Śmiech szyderyczy rozległ się z tyłu, a on uwiercił mu się głębiej w duszę niż słowa Maryny, bo to był śmiech dziecka, śmiech Agaj-Hana. Tymczasem turkoty i hałasy się powiększają od spodu wieży, słyhać następnie, jako schody jęczą pod stopami zbrojnych, jako rygle, zawiasy, podwoje

pękają pod młotami, pod toporem; coraz wyżej nad ziemią, coraz bliżej do nich. Szukali Carowej po zamku całym; nie znaleźli — więc idą ku ostatniemu jej schronieniu, a z zewnątrz szum tysiąca głosów przebija mury i przylatuje konać u stóp Maryny; potem kiedy coraz bliższy już nie kona, ale każdą wypadając strzelnicą hasa w komnacie, o sklepienie się przedłuża, odbija.

Była to chwila milczenia, w której u każdego serce drży, dreszcz biega po ciele, niepewność, co trapiła przez dzień cały, zamienia się w konanie, które męczy piersi, oddech przerywa, coraz mocniej, coraz mocniej ścisza za gardło, a słabe mózgi wszelkiej myśli pozbawia. Kto w takiej chwili zachowa przytomność i odwagę, kto jeszcze zdoła szablę trzymać jak zazwyczaj bez omdlewań bojaźni w palcach, bez dławień rozpaczy w około rękojeści; kto ni oczu nie przymruży dla uniknięcia widoku, ani ich wyrzuci na wierzch jak szalony, by patrzeć bez zmysłów, ten jest mężem okrom wątpliwości. Takowym ukazał się Igar Zarucki. Z nogą naprzód podaną, z wyprostowanym ciałem, z pewnością, że pierwszego i drugiego zabije, z pewnością, że potem sam legnie, a może i z ufnością w zwykłe szczęście, z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były, z lekką paizą w lewej ręce stał w podwojach, zasłaniając komnatę całą, i zdawało się po jego wzroku wyniosłym, wyzywającym niebezpieczeństwo z cienia, że w sercu żołnierskiem ta chwila jeszcze rozkoszą była. Na licach Maryny zaczyna się słabość niewieścia przebijać. Jej towarzyszki klęcząc wzywają Boga wpół otwartymi ustami, z których żaden głos nie wychodzi. Szczęśliwie, jeśli jeszcze jaka myśl dotąd żyje w ich duszy. Agaj-Han dobył szabli i handżaru, potrząsa księżycem na głowie, to spojrzysz na panią, to na Igara i wahać się zdaje.

Jakieś straszne myśli krążą mu po mózgu, bo na rysach wystąpiły zewsząd zmarszczki w około ust, od skroni, na jagodach; w pełni padają jego spojrzenia na Carowę, z ukosa na Zaruckiego, z uwagą śledzi połysk sztyletu zatkniętego u Iona Maryny, z uwagą pilnuje izali Sahajdaczny nie odwróci głowy, a tu coraz bliżej, coraz bliżej huk i gwary i wrzaski; podobno jeszcze jedne drzwi do wybicia, a potem tłuszcza wrogów zwali się do komnaty.

Już biją o tych drzwi podwoje, słyhać, jak piła wgryza się w belki, jak topór kowadli o rygle; w podwojach znać już dziury wytłukli, bo kagańcowe połyski już biegną po ścianach, jeszcze słabe, jeszcze błędzące, ale coraz pełniejsze.

Śnieg bojaźni zważył róże na licach Maryny, ostatkiem wiedziona powstać chciała; nie powstała — na krześle opadła, schyliła czoło, korona runęła posadzkę i tocząc się pobiegła ku drzwiom, minęła Igara, na schody zbiegła i pędem z stopnia na stopień zlatując, brzmi głucho jak kamień co spada ze skały.

Cichaczem zaśmiał się Agaj-Han i raz jeszcze miłośny wzrok rzucił na Carowę piękną w swojej niedoli; potem skoczył, gdyby dzikie zwierzę, z handzarem wyżej głowy, w równi z półksiężycem na helmie, i ztamtąd go spuścił na kark Zaruckiemu; nie wiedzieć jak poszło żelazo, czy głębią czy płazem, ale Sahajdaczny upadł na ziemię, jęk tylko jeden wydawszy; jeśli ich więcej wydał, utonęły we wrzaskach następującej Moskwy, która po ciele przeszła.

Tymczasem giermek złożył pocałunek na skroniach zemdlalej Maryny i stanawszy przed nią zawołał: „Macie, czego szukacie, bierzcie i prowadźcie“ — ale w tej chwili dziecinne miał rysy i w oczach dwie łzy dziecinne.

Jemu nic się nie stało, ni go w powrozy spętano, ni tknięto żelazem; ale Marynę bez zmysłów, jakby senną dziewczę porwali i znów potokiem zeszli na schody, niosąc ją w zdobyczy, zlali się na dziedzińce. Czuwał nad nią Agaj-Han, czuwa jako dziecko czuwać może, westchnieniem i płaczem, stąpając za nieprzyjaciołmi.

Kiedy oddaliła się ta burza, kiedy już ni szczęku broni, ni światła pochodni nie było w pustej komnacie, o jednym tylko, przed wejściem ciele, krwią oblanem zapomniano; ono ciało zaczęło, jakby z letargu się budzić, palcami słabo ruszać, rozmazując krew własną na podłodze, nogi wyciągać, to mocniej oddychać, jakby dla zrzucenia ciężaru z piersi, to się podnosić, aż znów opadłszy, przez chwilę jako martwe leżało.

Walka to była między życiem wracającym a śmiercią nie skora do ustąpienia, walka długa, bolesna, odbyta pośród ciszy, targająca każdą żyłę rannego, kiedy wreszcie młodość i siły przemogły, oparł się na łokciu i spojrział na

około; już krew nie płynie, znać, że handżar nie dopełnił zlecenia Agaj-Hanowej ręki, a że przywykły do omdlewać z zadanych razów, nawykł i budzić się po nich, powstał natychmiast, z troskliwością ojca o dziecię szukał szabli i podjął z ziemi, potem uszy natężył i dalekim szumom popółstwa się przysłuchiwał.

Żal jakiś przyćmił mu czoło, ale nie trwał długo, postąpił ku oknu i słabą kratę wyrwawszy, spojrział w dół, na dziedzińcu pod nim i pusto i głucho, na dalszych huczno i płoną pochoduie. Nie namyślał się długo, nie raczył ręki ściągnąć do rany, bo czuł, że nie śmiertelna, ani się też wahał, jako zwykle czynią ludzie stojąc nad przepaścią, ale wdarł się na okno, dobrze znajomy wieży zaczął spuszczać się po niej oboma ramionami trzymając się gzymsów, krat, ozdób, filarów, poręczy, nim nogami natrafił na jaką posadę, a wtedy jej chwyta się rękoma; inszej, zawieszony wśród ciemności, szuka w dole stopami. Tę, gdy znajdzie, o całe ciało niżej zstępuje, bez trwogi, bez zawrotu głowy, pewny śmierci, jeśli o cal chybi, bo tak wczesnego zgonu nie dozwoli mu Bóg, gdyż stopy go jeszcze potrzebują i koń żartki rzy za nim i braci młodców tysiące czeka na niego i w ramieniu czuje jeszcze sił dosyć na zdobycie państwa, a w sercu miłość ku urodziwej pani.

IV.

Świat słyszał o ludziach, nad którymi zapadł kamień grobowy więzienia, którzy zrazu płakali i jęczeli, później do jarzma przywykli, słońca żałować zapomnieli i zasnęli snem myśli na resztę dni swoich, budząc się czasem, by ugryźć kawał chleba, by wodą popić go mętą i potem znów wpaść w letarg pośród milczenia i ciemności, zaprzyjaźniwszy ucho z brzękiem własnych łańcuchów; tak, że przy nich im zasypiać tak dobrze, jak przy szmerze strumieni, jak przy szumie borów, jak przy pieśniach mamki dawnej.

Ale oni już znużeni trudnym życia dostali się pod czarne sklepienie: nie raz krew z ran im płynęła, nie raz duszę przygniotły frasunki. Mielł nadzieję wstąpić do klasztoru, kiedy ich wróg wtrącił do więzienia. Tam na pościel ze słomy

padli, a ciężar przeszłości gniecie ich w piersi tak, że wstać już się odechciało. Nadzieje i zamiary umarły w ich duszy; a ten oddech chrapliwy, co się nad ustami unosi, jednym śladem jest życia długo trwonionego na polach bitew, w radnych kołach, w samotnych komnatach, gdzie się sami męczyli z swojemi przedsięwzięciami, które stawały wtenczas przed nimi jako duch Cezara przed dumającym Brutusem. Ale dziś oni pragną tylko ciszy i snu, a zatem sen i ciszę mają. Lecz młodej, hożej nad hożemi, cóż wspólnego z kratą u okien, z hakami w ścianach, z kajdanami wiszącymi u drzwi, z nudą i pustynią więzienia? Głowa obnażona z korony; ledwo szubę zostawili, by zakryć się od zimna; już na palcu pierścień carski nie błyszczy, dzięki im jeszcze, że obrączek żelaznych na dłoń nie wkręcili; w pośmiwisko obok na stole berło drewniane położyli. Ni katolickiej książki do modlitwy nie dali, ni towarzyszki żadnej nie przypuścili do boku; zamknęli w długiej, ciasnej izbie po złoczyńcach i Tatarach. Rzędem na ścianie znać kółka, do których przykuci doczekali się zgonu, w około znać ślady ich paznogi, ich palców, które w szaleństwie długie lata pracując, wydrążyły dołeczki na jedną kroplę wilgoci, na schowanie dla jednego pająka. U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda siedzi sobie wśród grona kości osypanych prochami. Kątem ostrym wiąże się u góry sklepienie; przynajmniej tak się domyślać, bo w połowie ścian poczyna się ciemność, i ta zakrywa resztę lochu. Jedno tylko okno strzelnicą wykute w murze: kraty w nim tak gęste, jak druty w przyłbicy rycerza, a promienie słońca, które się odważą przejść za nią, bledną i nie długo pobywwszy, cofają się назад.

Wieczorem strażnik wchodzi, lampę zateleje, jadło przynosi — i naszydziwszy się do woli, odstępuje. Zaczynała teraz roziskrzać się lampa, wisząca na łańcuchu; jeszcze nie ustał w niej ruch, kołysała się, ale coraz wolniej, coraz płonąc mocniej, za słaba na oświetlenie lochu, w pełni jednak świecąca nad twarzą Maryny.

Nie zgasły oczy, nie zwiędło czoło, jedno w oczach i na czole znać boleść, nie tę jednak, co odbiera hart duszy, ale ową, co myśli natężenie podwaja: podobną w umyśle do tej, która w ranach ciała gorączkę odwagi zapala i ramię

krwią zbryzgane zacięszem na karki nieprzyjaciół czyni. Bo też w Marynie nie patrzeć szlochów i niewieściej słabości; większego domiaru nieszczęść trza na duszę tak hardą, by pękła pod niemi.

Łagodne, dziecinne uczucia, które nie odstępują nigdy białychgłów i w dojrzałszym wieku, mało miejsca zajmują w niej. Tkliwość matki jedno czasami się odzywa, o niemożliwości swym marzyła długo w samotnej wieży, ale nad obrazem jego kolebki obraz tronu Carów się wznosi; opuszczona kolebka u stóp jego się kołysze, ale on tak wysoki, że ledwo już jej dojrzeć można. Jednak nad wszystkie przeszłości i przyszłości obrazy jeden ponętniejszy, umiłał jej tęskność więzienia. Młodzieniec to hoży w skromnej sukni, klęczy u stóp jej, w ogrodzie ojcowskim. Wieczór się zbliża, gaje i sady mruczą od powiewu letniego, na okół widok na niziny i zielone wzgórza, ona zapłoniona, bo jeszcze z niej młodziuchne dziewczę — rękę mu puszcza między ręce, nachyla się ku niemu, sama nie wiedząc dla czego, lży rozczenia kapią z jej ocz na włosy młodziana. Pachole to nieznane nikomu, na dworze pana Sandomierskiego się chowa, mało mówi, zda się marzyć o tajemnicach, zda się często ku przyszłości ciskać ogniste spojrzenia, jakby ta przyszłość miała być inakszą jemu, niż ludziom, z którymi przestaje; z męstwa słynie na łowach, z dowcipu i uprzejmości doma. Córę wojewody ukochało i tak czarownie pierwsze słowa miłości do niej wyrzekło, że ona od matki i pań ucieka, w głąb sadów, pośród zarośli idzie przewodnikiem, i nad klęczącym nachyla się w czułości i nabożeństwie. A on kiedy uczuł bliskie jej technienie, zarzucił ramiona na szyję i usta wlepiając w usta, przycisnął do piersi. Zawstydzona, oburzona, chce się wyrwać i przeklinać jego, ale on jej krzyki uciszył, lży wstydu zatrzymał jednym słowem, od nikogo wprzód nie słyszanem: „Ja carować będę.“

Te pierwsze chwile miłości, wracając do jej pamięci, wonią niw polskich ją teraz owiały; i jagody rozmiękły od żalu za pierwszym Dymitrem. Tysiąc zamiarów, nadziei, zwątpień krąży po umyśle: liczy bitwy, których konieczność nim do Moskwy się dostanie; ani raczyła wspomnieć swoich i swojego rycerstwa. Nie na to mocarze bliżsi Boga,

by pamiętali o niższych ludziach; a im dalej było jej kiedys do tronu, tem szerzej jego przywilejów chce użyć i władzy. „Nie daleko i Rożyński ksiązę i Sapieha Uświacki z pancernemi rotą, oni zbiegną jej na pomoc, Bojarów powalą na ziemię, by padali na twarz przed prawą Carową; nie wątpić, że i Sahajdaczny już gromadzi swoich na około miasta. Ale gdzież on zniknął tej nocy, w której słabość niewiasty przemogła nad statkiem królowej. Czyżby jego słowo i jego spojrzenia zarówno kłamały? Dostojny to mąż urodziwej postawy, wąs dziarsko opędził mu usta, w godzinie niebezpieczeństwa widziałam go nie raz, i pamiętam rysy jego krasne odwagą; żaden z polskich rycerzy ni moskiewskich bojarów nie zrówna jemu w dzielności. Głębokie on nosi piersi pod zbroją, a w nich dosyć miejsca na państwo całe; ubiór jego strojny zawżdy i rycerski, połysk jego pętki lata mi teraz przed oczyma — i rękojeść wytworna u bułatu — i na bechterze rysunki ze stali, gdyby hafty panieńskie z jedwabiu.“

To znów myśli innym udały się szlakiem, posepniejszym, bardziej męczącym, o rusztowaniu — o truciznie — sztylcie, zaczęły jak mary chodzić po jej duszy — aż dopóki późna godzina nie uspiła oczów. Duszy całkiem uspić nie mogła. Patrz na leżącą na twardem łożu, prętami żelaznymi podbitem. Licha pościel i brudne wezglowie, obok piec żelazny, w którym dogorywają rude popioły. Twarz jej tylko i pierś oświecona, reszta kibici zanurzona w cieniu, jako i całe więzienie, oprócz kilku kroków przed lampą i kilku kroków za lampą.

Do takiejże to łożnicy przyszła córka Mniszcha z wielkich Kończyn, wojewody Sandomierskiego, Lwowskiego, Samborskiego, Medenickiego Starosty — Carowa moskiewska!

Od wielu dni nietrefione włosy spływają aż na posadzkę, to w tył odrzucone snują się na poduszce w cichej swawoli, to u skroni zawisły, to zbiegły do szyi, to dalej jeszcze czarne zagony zapuściły aż na piersi, a teraz leżą niewzruszone, tak jak kaźden splot i pukiel ułożył się w chwili, kiedy zasnęła. Z pośród owych ciemnych ram lica jej wypukłe przebijają, bardziej jeszcze blademi się wydając; na ustach krąży ciągle niby pół westchnienia, niby oddech żalony, ale tak słaby, tak nieznaczny, iż chyba

go rochanek zrozumie. Powieki rąbkiem długich rzęs zasunęły się nad oczyma, jedno zadrgną czasem; na licu znać, iż coś z nim walczy w głębi ducha. Tak śpi oblubienica przed zamęściem, matka przy kolebce słabego dziecięcia. Tak spała Kalpurnja dniem przed śmiercią Cezara.

Późno już w noc zdało się jej, iż wpada w sen o dźwiękach harfy, czy gitary, czy strun jakichkolwiek o śpiewie znanego głosu. Zkądże z pośród tylu ponurych marzeń przyszło jej niespodzianie marzyć o muzyce i pieśniach? A one tony nie brzmią posępnie, nie zwiastują ni pogrzebu ni bitwy, owszem melodyjnie płyną w około, a co dziwniejszego, ona każdy z nich gdyby na jawie rozeznąć potrafi.

I coraz pełniej jej uszy nabrzmiewają owemi dźwięki—oczu dotąd nie otworzyła, ale myśl jaśniej krąży już po mózgu, choć im jeszcze brakuje związku, choć to jeszcze gwiazdy błyszczące mgnieniem oka, a gasnące bez powrotu.

Leżałaby długo w tem zawieszeniu między snem a życiem, zdjęta rozkoszą cichego zachwycenia, gdyby dźwięki wciąż równie słodkie, równie harmonijne były; lecz wziósł się z pośród nich ton jeden głośniejszy, ostrzejszy, w niezgodzie z towarzyszami, podobny do krzyku, który konając na jęk się przemienia.

Wzdrygnęła się, podniosła się nagle, a teraz dopiero wydało się jej, że snem zdjęta, i na to, co zobaczyła, jak na sen patrzy.

Blaskiem złotym i błękitnawym goreje komnata, pierwszy raz jej sklepienie całkiem otrząsnęło się z cienia. Wśród tego dżdżu jasności stoi młodzian z hełmem i lampą na hełmie, z której buchający płomień starczy na całą przestrzeń więzienia, w dłoniach trzyma naczynie rażącego poloru, z strunami i kulkami, laseczką po nich przegrywa, czasem o boki naczynia uderzy, a wtedy słyhać, jakby rozdierające stęknienie; ubiór dziwaczny, składnie leży mu na ciele; kaftan to wschodni, zielony, posypany srebrnem ziarnem, pas z tyftyku i szarfa takoważ, kindżał sadzony kamieńmi, a nad tem wszystkim suknia szeroka, przejrzysta, niby muślin, niby mgła, tak jasna jak wyziewy przy słońcu, w rozmaitych fałdach osuwająca się na dół, pełną w górę, kształtnie wisząca u ramion, rozsuwająca się pierśiami, jedno że i greckiej togi i kastylskiego płaszcza i tu-

reckiej delji, wszystkie łączy powagi i wdzięki. Przysłuchuje się, przypatruje się Maryna; owóz on tak jej przyśpiewywał.

„Gdzie niewolniki moje? już nie stąpam po posadzce z ich karków. Gdzie hufce, którym kiedyś mówiłem: zamijcie słońce, bo ono mnie pali; a wnet z tysiąca kołczanów podnosiła się chmura i lecąc jak szarańcza, przesłaniała słońce. Walają się ich kości na Kiafelu błoniach.“

„Daleko mi do mojej krainy, matki kwiatów i kadzidłanych drzew; daleko do nadbrzeżów osutych konchami, zarosłych koralem; do piaszczystego morza, na którym żaglem moim bywał namiot biały, tratwą grzbiet wielbłąda, a łódką siodło rumaka; do miast, gdzie minaretów wieże równe w liczbie sosnom waszych borów, błyszczą wiecznie jako wasze sosny wtenczas, kiedy je zachód oblewa; do nieba o krzyżujących meteorach nad głowami ludzi jak u was krzyżują się chmury; o burzach, którym przywodzą Geniuse na Simumu wirach, potopem błyskawic zalewając powietrze, piramidami ze żwiru najeżając pustynię.“

„Już mi nawet język rodzinny, język mój cudowny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci. Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy do koła sieciami. Zapomniałem wzdychać serdecznie do proroka, w jednym słowie zamykać zapal duszy. Krótsze u was oddechy, ani starczą wam płuca na uczczenie Boga: nie umiecie się wyrwać ku niemu. My to, my to, zdołamy marzyć o nim i o raj, długo, świętem natchnieniem przejęci; a wtedy nie miałkie, nie krótkie słowa z ust nam wychodzą, ale przedłużone, pełne pożądliwości ku tym drzewom nieśmiertelnym i niewyczerpanym fontanom, obiecany po zgonie. Matka mi umarła, czasu na łzy nie było — ojciec poległ — nie płakałem, lecz przysiągłem zemstę; z Szacha spadłem na giermka — nie żaliłem się dotąd nikomu — ale teraz, kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę hurysso moja. Czuję co dzień więcej słów zagubionych na zawsze. Ich wspomnienie trapi, jak mara kochanki dalekiej, której nie ujrzę już nigdy, której twarz mgłą mi zachodzi, a którą kocham jeszcze.“

„Wieczorem kiedy zasypiam, krążą jeszcze po moim mózgu, rankiem kiedy się budzę, już odbiegły od pamięci mojej. Walczę jak mogę, nie chcąc myśleć po cudzemu, a wasza mowa wdziera się do mojej głowy, wypycha ostatki

dawnej, podchwytuje każdą myśl i ubiera w swoje barwy, śmiejąc się z moich żalów i oporu. Jedne po drugich mrą drogie pamiątki; jakaś tam przepaść jest, co czyha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje, stracony od waszych twardych, nieużytych, zawziętych. To męka, to rozpacz — płaczę hurysso moja!“

I tu uderzył o naczynie. Maryna nie zdołała wstrzymać się od krzyku.

„Zniosę to jednak dla ciebie, bądź mi łaskawą, a niechaj przepadnie język moich ojców we mnie. Bądź mi łaskawą, a stanę się polskim rycerzem, lub moskiewskim bojarzem do woli twojej. Kochaj Agaj-Hana, rzuć mu półksiężyc pod stopy, a on depcąc przejdzie po nim; kochaj Agaj-Hana, a on ci drzwi lochu postawi otworem.“

Po tych słowach nagle zagasła lampa szyszaku, ciemność większą część więzienia zagarnie: raz jeszcze zabrzmiały struny, ale przypadkiem, nie naumyślnie; potem nic już się nie odezwie; ni stępań ni oddechu nie słyhać, jedno kroki po schodach wieży, gdzieś daleko ślizgają, a podwoje nie skrzypnęły, ni rygle zabrzękły.

Maryna wątpi o sobie, wreszcie poznała, że na jawie, o czarach coś jej na myśl przyszło i piersi ścięrpły od przemijającego dreszczu.

Tak co noc bywa, kiedy zaśnie, budzi ją pieśń Agaj-Hana, wtedy więzienie pełne światła i dźwięków, on do niej przemawia jak kochanek, ona mu jako pani odpowiada, potem gaśnie światło, mdleją dźwięki. Strażnicy znać śpią głęboko, kiedy on między nimi tak cało przejść potrafi.

A rozmaite jego śpiewy bywają, to o zemście napomyka:

— Nie spodziewaj się, by ten, który dumny był z sajduku na plecach, uwolnił ciebie, pierwej nim tu dostąpi, z grobu wstać mu trzeba. Tyś zapadła w sen podobny Azraelowemu, ale mój kindzał wtedy się obudził i cały w uśmiechach radości z pochwy zabłysnął; poznałem, iż cierpi pragnienie, iż krwi mu trzeba, bo tak nasze handzary jak nasze wielbłądy długo wytrzymały, ale kiedy miara cierpliwości przebrana i wielbłąd i handzar domaga się napoju. Jeśli go nie dasz, pierwszy zdechnie w szaleństwie, drugi zardzewieje i na zawsze się przytępi! Nie chciałem ja tego, więcem go napoił w strudze czerwonej, która wy-

trysnęła ze zbroi wroga, jak źródło niegdyś za uderzeniem; nikt już nie stanie między mną a huryską moją!

Marynie się wierzyć nie chce, aby tak dziarski mąż zginął od ręki pacholęcia.

„A czemuś nie patrzała. Czyż moja wina, że w tej chwili perła rozumu roztopiła się w tobie, że gwiazdy twoich ocz zagasły? Ha! ciepła krew była w nim, iż mi ścierpłe ożywiła dłonie.“

To czasem znów o dziwacznych baje powieściach: „Patrz, jakim potężny i wielki: przedemną schylają głowę strażnicy i nie podnoszą jej, aż ranek zabrzasknie. Letarg jest moim niewolnikiem, i gdzie go posyłam, tam idzie, żelazne rygle usuwają się pod moimi palcami, jak pierścienie włosianego naramiennika, więzienie anielskiemi wystroiłem ci blaski. Ja sam, jak duch z piątego nieba zstąpiłem do ciebie. Tajemnice ojców dochowały się w moich piersiach. Żyjący niechaj mnie się lękają, bo i nad umarłemi rozciąga się moja władza. Z złotemi gwiazdami i z czarnemi chmurami mam przyjaźń i spółkowanie.“ A kiedy spostrzega niepewność lub drzenie na twarzy Carowej, sądzi, iż chwila nadeszła w serce jej ostatni raz uderzyć.

„Hurysso moja, kiedy senną cię zastaję, lubię wbijać się wzrokiem w twoje lica. I długo stoję przy tobie, dopóki cię struny moje nie obudzą. Lecz mi żywszej trza roskoszy, to początkiem pieśni dopiero. Czyż ja końca nie doczekam się nigdy? Rzeknij ono jedno słowo: kocham, a wnet ztąd wyprowadzę cię. Zawiodę na rozległe pola Kiafelu, tam już cynamon wonieje nad mogiłami, tam już migdały zielenią się znowu i kwiaty wyrosły z popiołu, tak, że motyl siada na nich i nie domyśli się wśród gęstwiny tego, co leży pod spodem.“

Na to Carowa, gdy milczy z pogardą, on gaśnie w ciemności i oddala się pocichu.

V.

Ciemno po tych kurytarzach, ciemno po tych lochach, któremi młode pacholę wiedzie niewiastę o poważnem licu; światło kagańca wrzącego w jego dłoni skacze do murów,

zlatuje w dół i rozbija się; czasem też poigra z pajęczyną, lub wystąpi jak czerwona kresa między ciemnymi pasmami, a ciągle cień dwóch osób przesuwają się po ścianach, gnie się w dwoje na zakrętach, płaszczy się dalej, i zawsze postępuje czarny, olbrzymi; zawsze ten sam, bo ręce niewiasty pod płaszczem zakryte, bo ramiona pacholęcia równo się trzymają.

Jego twarz pochylona, jakby czuł, że uległ po walce, że zgnębiony na zawsze. Jej oczy płoną, duma we dwójnasób jeży się na czole: niktby i na chwilę nie zwątpił, że ona królową.

— Agaj-Hanie! azaż oddałeś list Uświackiemu Staroście? — Oddałem — głos odpowiedział zwątlony, jak zwykle bywają głosy po silnem wzruszeniu.

— Agaj-Hanie, iżaliż pewno czekają mnie u drzwi? — Czekają. — To słowo jedno tylko, ale wymówione, jakby konającymi piersiami.

— Dobrze, wiedz nas Waszmość dalej, a kiedy sprawisz się wiernie i dobrze, na naszej łasce polegaj.

Odwrócił się giermek i pojrzał na Carowę wymawiając jej wzrokiem, że tak szydzi z niego. — Czyż nie dosyć, żeś podbiła mnie na służalca, żeś mnie dzieckiem swej woli uczyniła? O nie mów o łasce.

Pół uśmiechu zawisło jej nad ustami — i znakiem ręki, by szedł dalej oznajmiła.

Jak może najciszej ślizga po bruku, ażeby zbroja nie zachręściła, sztylet lub pałasz nie zadzwonił o zbroję, bo z zewnątrz dochodzą często głosy zaspanych strażników i hasło, które sobie odrzucają nawzajem; niekiedy w przełocie wstąpi po za mury i cichaczem zaszepota w uszy Marynie, wtedy lekkie znać wzruszenie, na jej twarzy, a na Agaj-Hanie inny to wywiera wpływ: podnosi trochę czoła, bo czuje, że w tej chwili jest jedynym jej obrońcą, i rozumie przeto, że ma wyższość nad nią.

Ale ona nie daje mu się ukrzepiać w zarozumiałości: jednym słowem, jednym skinieniem umie dumę jego na proch zetrzeć. Znać, iż tyle przewagi nabrała, iż on już nie zdoła przemawiać po dawnemu. Drżą mu ramiona i piersi jak członki zdeptanej gadziny, w której jeszcze pozostało dość życia na czołganie się wieczne, nie dość mocy na jeden podrzut, na jedno ukąszenie.

Agaj-Han ręką zdrową dobył kindżału i oddalił się w bok, gdzieś przepadł w rowie.

Z krzaków powstałi męże, z najbliższego wyskoczył rycerz w zbroi i ledwo krok postąpił naprzód, już schylił głowę przed Maryną; aliści nie takim przywitaniem tylko znać że pragnąłby ją pozdrowić; nie wiedzieć, co go wstrzymało, może towarzysze, którzy rzędem za nim stanęli.

Rozmawiał po cichu z nią; w poruszeniach jego przebijają radość namiętna; ona, nie spuściła nic z głosu, ni z obyczaju pani; po chwili przywiedli młodocy dwa konie; poddał jej ramię mąż, ona strzeżenie chwytła.

W tej chwili krzyk przeraźliwy, nieludzki, podobny mieszaniu z wilczych skowyczeń i nocnego ptasiego pisku, przeleciał powietrze; wnet po nim zawarczał kindżał i utkwiał w pancerz męża, pełnią księżyca oblany. Znać, iż długą drogą znużony, głęboko wwiercić się nie zdołał. Sahajdaczny go bowiem strącił na ziemię ze zbroi, jakby pająka lub pszczołę, w milczeniu, z uśmiechem pogardy.

Nie odstępując zdumionej Carowej, gwizdnął na młodców — oni się rozbiegli, ale nim doskoczą rowu, już bieży po smugach człowiek, który w cieniu murów się oddalił, i dopiero wyszedł na czyste, kiedy go już dognać niesposób, bo ich daleko ma za sobą, i co chwila susami ranionego jelenia jeszcze dalej osadza się od nich.

Więc jęli z powrotem do wodza, wódz wskoczył na siodło. Uzdę Carowej obwiązał na około ramienia i puścił się z nią stepowym lotem.

Biegną, biegną, przy księżycu, wiosenną nocą, nie na pobitej drodze ni po gładkiej ścieżce, ale między parowy, doły i chrusty; czasami kłęb śniegu rozbijają podkowy, a on z dołu w górę lunie białym tumanem; czasami o głaz uderzą; a głaz ogniem się odgraża; szybę lodu trąca, a lód pęknie z traskiem, gdyby szklanna szyba; teraz przelatują łąkę, w młodą murawę grzęzną kopyta, a wilgoć kipi i smocze pod spodem; dalej zgnieciona gałąź zaszeleści, kamyczki odskakując głucho zapadają w trawę. To znów szorują po roli, głębokie ślady po grzędach wydrażają, rozplaszczone bryły spychają w bruzdy. Zaruckiemu i od biegu i od namiętności serce gwałtem bije. Marynie chłodne powietrze rumieniec po licach rozlało. Teraz obszar tych

plaszczyn jest jej więzieniem, księżyc wśród błękitów jej lampą. Rada i pełna otuchy, słowami drażni towarzysza, mówi mu o Kremlinie, o bitwach i sławie; a jemu tylko tego słuchać, bo za nic waży trudy, byleby dorwał się panowania i chwały, a przed śmiercią snu krótkiego w objęciach Maryny.

Do lasu wpadli, przesadzając zasięki z powikłanych krzewów. Ciemność i uroczystość boru dreszczem przejęła Marynę, ale Sahajdaczny raduje się, że się dostał pod dęby i sosny, miło mu pomiędzy nimi, jakby w domu ojca. Lecz pod sklepieniem z liści, między którymi tu i owdzie czołga się promień księżycy, a wiatr szumi głosem tysięcy gałęzi, niezrozumiale, choć co chwila zda się, iż z tego zamętu pewniejsze wydobędą się tony, na które czeka przez długie godziny młodzieniec zakochany, lub pielgrzym dumający o Bogu, na które i chwili nie czekał Sahajdaczny, bo rozumiał natychmiast tę mowę.

— To wiatr północny tak hasa, miłościwa pani, on na jutro napędzi chmury, więc gońmy co żywo do spławu i czajek, by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę. I jedwabnym kańczugiem konia uderzył. Ten wyskoczy co tylko sił mu staje, a Maryny koni, porwany ramieniem męża, równie pędzi szybko. Znów na pole czyste się dobyli, powietrze zdaje się kipi około ich głów, tak głowami i piersią sieką powietrze; ogony ich z tyłu płyną jak ślad pienisty od rudła, kiedy statek pruje wodę wśród burzy; podkowy podnoszą się i zniżają bez ustanku, jak iskry, co raz błysną, znów zagasną i znowu zabłysną; one pędzą w zad, świat cały naprzeciw nich wali, a rozstępuje się, by przejście wolne im zostawić. Jeden księżyc tylko niewzruszony panuje nad nimi z wysoka, ależ i on czasami znudzi się pokojem, więc sam się zerwie i bieży ku chmurom, przerzuca się z jednej w drugą, swawoli jak znarowione dziecko, to znów poważniejszą postać przybiera, zasepia się wśród mgły i jakby w ciężkiem zadumaniu niknie coraz bardziej: wtedy posępno na świecie do koła.

A oni bieżą, czy chmury, czy jasność nad głową; wkrótce się rozwidni i wzrok podzięwa się nie wiedzieć gdzie, tak jak promienie podzięwały się przed chwilą. Ale cóż to zabłysło w oddali? zda się, gdyby kopuła cerkwi blachą obita.

— Miłościwa pani, to Pratwa, już na niej nikt nam nie zajrzy w oczy; byстрыm nurtem oddzielim się od Kaługi, a jeżeli w pogoń za nami do brzegu przybędą, my z czajek zaśmiejemy się im w oczy, i życzyć będziemy dobrej nocy strzałami.

Ledwo domówił tych słów, ściągnął cugle i zatrzymał konia, przechylony, z głową i pół ciałem wiszącym od siodła, zdał się słuchać czegoś, potem zagwizdał na konia, ostrogą i kańczugiem popchnął w bieg i rzekł zimno, jak na męża dostatniego przystoi, kiedy godzina niebezpieczeństwa dobija nad głową: — To mściwe pachole pobudziło straż zamku i bojary tuż za nami w lesie.

— Nie słyszałam żadnego tententu, a jużem przywyknęła uchem do wszelkich głosów, i do tych, których lękać, i do tych, z których weselić się trzeba. Waszmość się pomyliłeś.

— Nie, miłościwa Carowo, nie, hoża Maryno, na piezrach wiatru przyleciały do mnie szelesty, które są gońcami tententów. Lecz, ażeby je schwycić, kiedy drobne cichaczem przelatują w około uszów, trza wprzód przez całą młodość przysłuchiwać się nieprzyjacielskim podkowom. Dostaniem li się do rzeki, nim oni ukażą się z boru? Jeślim się nie oszukał na kupnie mojem w Krymie, tośmy bezpieczni, odparł spozierając z dumą kozacką na biegnące rumaki, ale, miłościwa Hospodarko, ostatnia to ich gonitwa. Dolecą rzeki, bo wiedzą, iż taka ma wola, wdzięczne za owies i napój, za bogaty rząd, którym zawsze ich grzbiet stroilem i głowy. Dalej i kroku nie postąpią, rozciągną się na murawie. Na czajkach, miłościwa pani, spuszczałem się Dnieprem i Wołgą i Dniestrem — Sułtan z Seraju mnie widział i kłął mnie, zem mu tak wsie palił, rozwalał pałace. Na moskiewskiej wojnie wzrosłem za króla Stefana i pięć ran w upominek od niej noszę na piersi. W Niemczech z rycerzami posągami z żelaza rwałem się za pasy, więcem napatrzył się dosyć mordy; nad człowiekiem nigdy łzy nie wylałem na polu bitwy, a to konie, że zdechną, to mnie boli. Sam ich chodowałem, uczyłem napaści, odwrotu, ucieczki, w dzień i w nocy latałem na nich po stepach, one były mojemi orlemi skrzydłami.

Tententy się odezwały, Marynie mowę przecięły, ale też już nie daleko. Jeszcze staj kilka, i zatoka wylanej Pratwy tuż przed nimi. Już rozeznać mogą jej nadbrzeża.

Rzeka na wiosnę wystąpiła z brzegów i łoże swoje rozprzestrzeniła jeziorami; nie dojrzeć przeciwnych nadbrzeżów, tylko tu i owdzie z łona wód wystaje krzak, drzewo, głaz, język zwiru, który nie dał się pochłonać, smug, co wysoką trawą jeszcze na świat wyziera; to wszystko mgłą obwiane, cieniem lasów po tej stronie rosnących kratkowane, wydaje się błędnym archipelagiem. Pośrodku słychać szum, ale nie dojrzeć nurtów pędzącego koryta, które bieży jak zwykle, gnuśniejąc tylko po bokach, kędy się pomknęło za swoje granice.

W zatoce, u której stanął hetman z Carową, księżyc w pełni się przeglądając srebrnym ogonem udaje kometę, a że gęstwiny nie ma w tem miejscu, swobodnie rozsyła promienie, które pośród koła z wyziewów wszecz i wzdłuż oświetlają wody; na nich stoją łódki, każda na wyspie własnego cienia, niewzruszona, z śpiącymi wiosłami, z łańcuchem od kotwicy spuszczonej w dół.

Było coś fantastycznego w tym widoku przypominającym morze we śnie widziane, w flocie milczącej, bez żywego ducha, tententach grzmiących coraz bardziej, w larwach biegnących od lasu na rozhużdanych rumakach.

Jeźdźcy i konie czarne, czasem tylko broń zamignie, jak śniady płomień, co wśród nocy krząta się po mogile; podnieś oczy w górę, a księżyc jasny, okazały, wyda ci się mało co mniej od słońca—spuść je w dół, a równina i topiele i drzewa mieszają się z sobą, nie rozpoznasz, gdzie się wody kończą, a piasku początek, gdzie krzaki przepadają, a czyste zaczyna się pole; jak gdyby gwiazda nocy była marą, na którą spojrzeć pięknie dopóki w niebiesiech, ale z której mało pociechy na ziemi.

Zarucki gwizdnał jak strzelec na sokoła w chmurach, wnet z każdej łódki podniosły się dwie postacie, w milczeniu porwały za wiosła, a że biją niemi o wodę, to nie przerwało milczenia, bo tak cicho fale odpychają, że ni ciosu wiosła, ni jęku fali odpływającej nie słychać. Snują się statki ku brzegowi, srebrnymi kręgami się obtaczając, ruszając wiosłami, jak orzeł skrzydłami, kiedy zawiśnie w powietrzu, a miesiąc, który patrzy na nich z pod toni, ciągle odsadza się od nich, jak nurek od łódki strzelca na stawie.

Pierwsza czajka wodza dotknęła się lądu, wszystkie inne długim rzędem w poprzek zatoki stanęły, na każdej

powstają maszty z rozczochranemi linami; w mgnieniu oka lekkie żagle zadrgnęły, bujając w powietrzu na wyścigi z wiewami nadbrzeżów, a bojarzy goniący w oddali, dziwią się owej mgle wznoszącej się tak nagle ze środka jeziora.

Zarucki podał ramię Marynie, by pomódz wstępującej na statek, potem miał sam wskoczyć, bo już i była pora ktemu. Kiedy odwrócił się z nienacka i dobył czerkaskiego tasaka, konie podług przepowiedni wodza leżały na zwirze, zdyszane, opruszone pianą jakoby śniegiem, robiąc bokami, tarzając się czasem w swojej niemocy, z żalem krwiste rozszerzając oczy za łódkami i odchodzącym panem: on spojrzał na nich, jak dziki spoziera na przyjaciela rannego, by ostatnią wyświadczyć przysługę — dobieciem.

— Ukróćę wam męki, niewoli oszczędzę i tobie, moja Gienzo, i tobie, Istambule mój — rzekł głosem stłumionym od wzruszenia, i nachylił się nad Gienzą, pechnął raz tylko, nachylił się nad Istambułem, gardło poderżnął, a wyrwawszy garść włosów z grzyw obu, na kołpaku zawiesił.

— Wy mi to nie dziś, ni jutro, ale odplaciecie kiedyś — zawołał do nadbiegających żołnierzy, sam jednym skokiem od ciał koni odrzucił się w czajkę i kazał młodcom gnać śpiesznie za łódką Carowej, która odpłynawszy na czele innych, zbliżała się już do koryta Pratwy. Cały brzeg czernieje od jeźdźców wrzeszczących za Maryną i Hetmanem. Księżyc za nimi wiszący na niebie, ciska ich długie cienie na przestrzeń zatoki, które to zwążając się, to rozszerzając, garną się za uchodzącym statkiem, w środku którego stoi Zarucki. Podjął burkę i zarzucił na piersi, w jej szorstkich kudkach mięknie żelazo strzał rzucanych z brzegu, a on szydząc z nich potrzasa ręką na znak pogardy. Kilku próbowało puścić wplaw konie, ale uwięzli w mule, więc nazad pierchają. Jeden tylko wyprzedził wszystkich, niemiłosiernie kalecząc rumaka zmusił go do przejścia brodu, a kiedy dna nie stało, po szalonymu odważył się płynąć, wprost ku łódce Hetmana, puściwszy cugle, jedną ręką tylko ważąc włócznię, drugiej ręki z pod szaty nie wyjmując wcale.

Już minął cienie od hufców, wypłynął na czyste, gdzie księżyc twarz ma całkiem objaśnia. Usta ścięte, jakby zęby, raz zgrzytnąwszy, już rozprzegać się nie mogły i zmartwiały w tem zgrzytnieniu.

Rysy boleścią stargane — hełm, twarz i piersi wystają nad wodą, reszta zanurzona, ale po ruchu piersi znać, że nogami wciąż bodzie rumaka, który głowę niesie jak może najwyżej, parska z rozpaczy wśród mroźnej topieli, tracąc na mocy i na krwi co chwila; już krew wypływa na wierzch w bąbelkach, znać jeździec szeroko rozpruł nieszczęsnemu boki.

Ale młodocy odsunęli się daleko, nie ma nadziei ich dognania, więc Agaj-Han odkręci się nazad, i szląc wściekłym wzrokiem za łódkami, malejącymi wśród wyziewów nad korytem Pratwy, zaczyna wracać do brzegu.

Lecz koń mu już nie służy, ledwo że rusza jeszcze nogami bezsilnemi na odparcie dość wody, by posunąć się naprzód. Stoi na miejscu, nie idzie w głąb zaraz bo pracuje jeszcze, ale ktokolwiek nań patrzy, nie wątpi, że już po nim. Kilka minut trwała ta walka, wreszcie on spuścił głowę, wciągnął ostatnim oddechem pełno wody z nozdrza i poszedł na dno. Młodzieniec splątany w strzemionach i cuglach zniknął również, a krzyk przerażenia, który bez dołożenia się ludzi w takowych chwilach z piersi im wylatuje, tak, że sami zdumiewają się, przysłuchując się jego dalekim echem, rozległ się po brzegu.

Nieco dalej od miejsca, gdzie koń i jeździec zapadli, zamąci się woda, głowa pluśnie na wierzch, jedną tylko ręką fale rozcina i sunie przed głową. Nikt z patrzących nie wierzy, by Tatarskie pacholę zdołało do brzegu się dostać. Ciekawie wyszczerzają oczy, patrzą pilnie tak jak w innych krajach lud patrzy na aktora, grającego w okropnej sztuce.

On szczęściem pozbył się szyszaku, włosy zroszone polyskują w promieniach miesiąca, twarz jego do trupiej podobna, wszystkie mdłości konania na niej się odbijają; pasuje się rozpacznie w czystej srebrnej wodzie, która go otacza do koła, w której głębi księżyc się złoci, ozdoba grobu zgotowanego na dnie, ale on w tej chwili na nic już nie zważa. Jeszcze zostało się drzenie zazdrości w piersiach, lecz zapchnięte w głąb, bo dreszcz śmierci wziął górę, instykt życia jedyną stał się namiętnością, pełną energii, wzywającą każdego muszkuł, każdą żyłę do działania, rządzącą siłami ciała, tak jak miłość rządzi myślami mózgu; ostatnią zbawicielką w godzinie niebezpieczeństwa, kiedy rozum uie-

przytomny sobie ustępuje z własnego tronu, z głowy człowieka. Coraz prędzej, coraz mocniej, potem coraz wolniej, coraz słabiej darł się ku brzegowi. Z początku przebiegały mu na licach konwulsyjne bóleści, teraz już tylko omdlenie, a czasem jeszcze podrzut życia wyskoczy na nich. Głowa chyli się pociągnięta ciężarem namokłych włosów. Drugą rękę dobył, ale ta bezsilna błąka się po wodzie w tę i ową stronę, jak sucha gałąź na nurtach potoku. Już dwa razy fala pokryła mu czoło, dwa razy podźwignął się ostatkiem sił, a dziwno wszystkim obecnym, że tyle ich w tem wysmukłem ciełe.

To nurzając się, to podskakując jak raniona ryba, jeszcze upłynął kilka kroków.

Już nie daleko do lądu, powiązali rzemienie od siodeł, od kołczanów — rzucili mu na czas właśnie, bo za ledwo uchwycił się zębami i dłonią, aliści zemdłał zupełnie; ale choć bez zmysłów, trzymał się sznura, jak trup trzyma się trupa, z którym waleząc, razem upadł na wieki — i tak dociągnął się aż do brzegu między towarzyszyszy.

VI.

Już nie mało czasu ubiegło od tej nocy miesięcznej, w której wojewodzianka Sandomierska uszedłszy z więzienia, odpłynęła na kozackiem czółnie.

Wielkie państwo moskiewskie pali się wciąż i dymi pożogami Polaków. Rozbiegli się hussarze i potrzęsając skrzydły, jako drapieżne orły ulatują po nad gruzami i gęstym trupem; wycieczki straceńców nie wstrzymane u Kaukazu, w głębie azyatyckie się zapuściły, każdy rabunkami pnie się do bogactw, rycerskim czynem do chwały; miasto zburzyć, wieś spalić, jest ich chlebem powszednim. Z niewolnicami płasają nad stosami popiołów, grzeją się pośród mrozu na zgliszczach pałaców, winem i miodem sączą się wąsy — tem lepiej im potem usta kleić z ustami Azjanek.

Jak wiekiem wprzód na drugim końcu ziemi Hiszpanie hasali po odkrytym świecie, tak dziś Polacy wysypują się na Moskwy obszary. Patrz, Korteż Montezumę ściąga

z tronu, Żółkiewski Szujskich prowadzi. Meksyk płonie ka-
gańcami wśród czarnych jezior i wzywa pomsty za skrzy-
wdzonych Bogów. — Moskwa o tysiącu kopuł burzy się za
świętych swoich i znieważone cerkwie.

Nowy to świat był Polakom: wschodni, szeroki, otwarty
na stratowanie końskimi podkowy. Co tylko spało w Lechji
hartownych dusz i dzikich serc, to przyszło obudzić się i żyć
zażarcie na niwach od Moskwy do Astrachanu. Żyją więc
bez spoczynku, walcząc dniem i nocą, z hełmem wbitym na
czoło, z bechterem przykutym do piersi; wolni, śmiejąc się
z próśb i rozkazów, nie dbając o dom, rozmiłowani w goni-
twach i żeglugach, swobodni przez wszystkie dni swoje,
póki śmierć nie zaskoczy. Jej, jako pani, czołem z siodła biją
o ziemię. Towarzysze przesadzają trupa i lecą dalej.

Ciągnącym z cieplic nieraz zima zajrzy w oczy, z sza-
łów przewieszonych na plecach, z winogron u siodła wiszą-
cych, z kamieni wschodu, szydzi sobie mścicielka północy,
mróz im członki ćwiertuje i powieki spuszcza nad oczyma.
Tak wśród wozów i koni całe padają hufce, a Moskwicin,
który jeszcze wczoraj o południu lękał się ich wąsów, kiedy
przejeżdżali obok chaty, dziś śmiało klaszcząc w ręce, depce
po nich i błogosławi niebu.

Ginęli prędko w onych czasach książęta i hetmani
z rozkoszy i z bojów. Ale nad świeżą ich mogiłą powstawali
drudzy, równie dzielni, równie zapaleni, by z życiem wcze-
śnie się rozstać, w kilku latach zawrzeć wiek cały chwał
i rozpusty: nie szło im o to, dziś, jutro li padną, ale pragną
umrzeć królami; dalekim niwom dać w znaki polskie imię,
zapuścić się w kraje bajeczne, pomiędzy góry i morza,
innych widzieć ludzi, za niebezpieczeństwem ścigać, tchu
mu nie dając i zapchnąwszy w ostatnie schronienie, tam
ostatnią ogromną zwieść walkę, jak z tygrysem w jaskini.

Przed wieki takimi bywali bohaterowie, zwycięzcy
Rzymu, którym wolność wrzała w piersiach, tak, że od niej
wypędzeni naprzód, kochali się w błędach, zjawiskach i wiecz-
nej walce ze wszystkim, co ich otaczało, z ludźmi i żywio-
łami, zmagając się z burzą po oceanie, tratując po gruzach
na lądzie, a kiedy ludzi i burz nie stało, klnący w rozpacz,
że odetchnąć im trzeba.

Patrz na Aleksandra z Lissowa: nie ujrzysz go nigdy całkiem, bo zawsze ci go stos ciał lub kłęb dymu z przed oczów wyrwie w połowie. To mignie szabla wśród ogniów, to poła burki zakręci się na rozwalinach; to głowa czasem wyjrzy, broda, wąs, zroszone iskrami, czoło zwęglone, oczy pełne żaru, a reszty ciała nie widać, bo gdzieś zanurzone w gruzach i popiołach.

Tam na łożu w namiocie umiera książę Rożyński. I jemu też piękne dni świeciły kiedyś, ale teraz przyszło do ostatniej chwili, w kwiecie młodości, wśród niesfornych huców. Ich krzyki i odkazywania dochodzą uszów wodza, jak muzyka pogrzebowa, w trapiącym śnie słyszana; na twarzy jego coś miększego przymieszało się od wyrazu odwagi twardości. To nie gladiator starożytny, konający z energią rzezi na licach, z groźbą i natrząsaniem się z ludu, który piętrzy mu się nad głową i oczami krew z ran jego żłopie; ale bohater żegnający życie bez żalu, z żalem żegnający złudzenia żywota, dziarski i nieugięty, póki chwała mu kochanką wierną była, a w westchnieniach rozplywający się za tą, którą tyle cenił i lubił pieścić na łonie, a która go wśród uścisków niemiłosiernie zdradziła. Rozpamiętywa on teraz marność ludzkich zamiarów, na nowych powzięcie już nie staje czasu, a wieczność mało znana jego duszy. Ziemi już prawie się nie trzyma, a do nieba ramion wyciągnąć nie umie. Łoże śmierci jest własnym jeszcze ostatnim jego światem; w tych kilku belkach lamparcią skórą zarzuconych, ściągęły się królestwa, o których marzeniem upijał się długo. Jeszcze hełm i buława stoją niedaleko, ale już może sięgnąć ręką do nich nie potrafi! Ich połyski w promieniach słońca szydzą z umierającego. Więc smętno tej żołnierskiej duszy na progu nieznaney krainy, gdzie myśleć i modlić się trzeba; a władać ludźmi i gonić po bitwach, tam gdzie wie dzie serce, nie sposób — pierś jego coraz bardziej, coraz bardziej mdleje!

Ale postrach Azyi, ale rycerz dawnych wieków, chrobrych i śmiałych dziediec, w spuściznie sławy, na arabskim dżanecie, w słonecznej zbroi, jeszcze panując swoim rotom, z chyżością Tatara przelatuje pustynie, z głęboką sztuką zachodnich wodzów bitwy wygrywa, nigdy zwycięstwu nie dając się wymknąć z rękojeści szabli, gdzie go więźniem

trzyma od pierwszego dnia, w którym wystąpił na boje. Nie spodziewaj się śladu słabości na licach Uświackiego Sapiehy, smutek go nie zwałi. Do ostatniej chwili będzie tłukł mieczem o bechtery wrogów; do ostatniej chwili, będzie się pasował z ludźmi i przeznaczeniem, z swoimi i cudzymi; a kiedy zgon przed nim stanie, powita go ze zgrozą na twarzy, ze zmarszczonymi brwiami, jako przystało na męża, który nie wie co trwoga i co ukłon komu, ale wie, że go się lękają i że po bojaźniach ludzkich wdrzeć się można do tronu. Pełny myśli swoich, obojętnie poczuje, że śmierć już w nim i dumając o zamiarach, dzierżąc hardo głowę, bawiąc się rękojeścią miecza, dla nauki, jak berło trzymać przystoi, dech wyzionie w postawie króla zasiadającego na tronie. Ta ogromna burza, co z Lechii ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszechówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamoce się w kącie widnokręgu. Gdzieś między niemi gwiazda ich zniknęła.

Od dawna nie słyhać już o Carowej, inne imiona pną się na stolicę Carów.

To Zygmunt wskazuje na syna, a myśli o sobie. To Władysław słyszy zewsząd przysięgi narodu i drży niecierpliwy dostać się do berła. To w Kostromskim Monasterze, przy szlochach Matki, synowi Filaretowemu czołem próg zmiatają bojary, prosząc, by objął jarzmo nad ich karkami, by ocalił wiarę błahoczesną i państwo Ruryków.

Zamięszanie, jakby w dzień sądu ostatniego, powstaje wśród tyłu wojsk i pokoleń. Nie ustają pożary i mordy, ale nie wiedzieć już, kto daje do nich hasło po nocach. Każdy szlachcic, każdy młodziec, wodzem się mianuje. W ostatnich chwilach chce się każdy nacieszyć, choćby jedną godziną władzy, nie już jako prosty żołdak, w dzikiej prostocie płasnąć we krwi i zataczać się w perzynie, ale jako pan siedząc na dżanecie, patrząc z ubocza jako gród się pali, użyć spokojnie rozkoszy pożóg.

Języki, orężę, obyczaję, powikławszy się, zgiełkują z sobą. Ciura obozowy wschodnie śpiewa powieści; na hełmie hussarza półksiężyc złoty połyska; mową polską Tatar się odzywa; Moskal nie wie, komu służy; hufce Władysława i hufce Pożarskiego pełne jego.

Na błoni otworzystem biegnie rota zbrojnych i wrzeszczy o dwa razy zabitym Dymitrze, że on zmartwychwsta nie jeszcze. Tam naprzeciwko sunie zbłąkany tłum, jak gromada leśnego zwierza i o Szujskim wspomina. Aż tu rycerz stałą okryty, nadbieży i kopiją wysuwając, w pędzie zawoła: — Niech żyje Laszka Maryna. — Z boru wystąpi pułk Straceńców i śpiewa żale o umarłym wodzu Aleksandrze z Lissowa. Ze wzgórza spuści się chmara perekopskich, na plon zajadła, sobie żołądująca nie komu. Aż tu nadjedzie hufiec sędziwych panów, zbrojny jak inni, poważniejszy od innych, z pacholętami z tyłu, z sztandarem koronnym i surowemi głosy wzywają przed stopnie Władysławowego tronu.

Na rzece, co płynie w pobliżu, na czajkach, błysną młodcy lecący ku Czarnemu morzu. Nurty ich podchwycają i fale przerzucają sobie. Oni pędzą gdyby na stepie, radośni nadzieją łupieży, śmiejąc się ze skał, co czasem ku nim wyskoczą z pod wody, z dłonią przykutą do steru, z dumką w ustach, z czołem wypogodzonym na burze, przeciw którym spieszą. Na grobli wykręcającej się wzdłuż tego jaru, ciężkim pochodem zbliża się szwedzka piechota, w milczeniu idąca do boju, pilnująca swoich szeregów, jak swojej płacy, z zapalonemi lonty, berdyszami najeżona. Między temi kępami i krzewy czołgają się szkockie strzelce z łukami, które jedno wyspiarskie ich dłonie naciągnąć potrafią, z strzałą, co gałąź leszczyny rozczyknie w gęstwinach boru i pióro z każdego hełmu strąci w dół nieomylnie.

Tymczasem po drodze środkiem równiny, odezwą się hymny; w mitrach i ornatach postępują czerńcy z krzyżem, co jaśnieje rześnistemi połyski, z obrazami świętych, od których woń cedrów się roznosi, z gromnicami w dłoniach, a dym gromnic baldachimem wije się nad nimi; na siwe brody, nagie czoła, na drogie kamienie i szaty, na lamowane chorągwie promienie słońca padają i mgłę jasności z nich słońce ciągnie ku sobie, tak, iż wydają się boskiem zjawieniem, co zstąpiwszy na ziemię, przesuwa się zwolna przed oczyma ludzi, śpiewając o wielkim patronie moskiewskim i o zbawieniu Moskwy przez kapłańskiego syna.

Nagle trąby i bębny zagłuszą pieśni kościelne: tu chmura strzał wyniosła się, tam las z dzid wyrósł nad

głowami, owdzie szable, jatagany, kindżały kręcą się w powietrzu. Owi taborem się opasują, tamci wołają zdać się na chyżość stóp swoich. Inni głaszczą koniom grzywy i śmieją się z pieszych. Każdy do walki się gotuje podług wrodzonego obyczaju. Polak nuci o Boga-rodzicy, pokręca wąsa i długą szablę pieści w dłoni, by mu dobrze służyła. Przybyley z azyatyckich puszczy trącają łuków swoich stróny i ich brzękiem dodają sobie wściekłości. Niemcy na cel biorą wrogów i mierzą w nich długo, spokojnie, wparłszy kolbę w obojczyk. Kozacy zeskakują z siodeł i za niemi gotują rusznice. Owdzie Tatarzyn kładzie w usta kryształki opium, by mu bitwa przeszła jak sen, a śmierć jeśli ją spotka, wydała się wstępem do Edenu. Aż tu huk, wrzaski dadzą się słyszeć. Dym pełźnie nad głową walczących i poległych. Z hufców dotąd spokojnych, porobiły się wiry ze stali, które się kręcą po równinie.

Wszyscy jedni po drugich, to zwyciężą, to przegrają, to się cofną, to znów pomkną się naprzód, a każdy walczy za kogo innego. Sto hasel buja w powietrzu i głuży się nawzajem; sto imion, sto zamiarów wcielonych w głos, ulatuje po nad walczącymi, mięsza się w nieładzie; żadne wygórować nad resztą nie zdoła, i wreszcie wszystkie opadną w dół na martwe głowy tych, z których ust wyszły. Głucho, smutno, chyba że słyhać jeszcze pluskanie krwi z żył trupów.

Takie codzien po całej Rusi odbywają się boje. Rozsypała się już wieża Babilońska Dymitra, a jeszcze ci, którzy ją dźwigali, nie mogą dać sobie pokoju, rozbiegli się na jej gruzach, miotani szalem, to sławy, to plonu. Ten, który dziś naspętał więźniów gromadę, jutro poczuje ręce krzepnące w kajdanach nieprzyjacielskich. Ten, co dziś tratuje po ciele wroga, jutro sam dostanie się pod czyjeś podkowy i stratowan będzie. Cieszą się całą noc marami państwa; o brzasku już odleciały, a samym głód dokucza lub miecz wisi nad głową.

Tak wyginał cały ród bohaterów!

W ich ślady mało kto już ważył się wstępować, bo w tych śladach krew czarna krzepnęła i prochy z starych buław książęcych leżały. Zdawało się, że już usypiają bałwany tej powodzi, która z polskich równin wylała się na

moskiewskie błonia; bo jedne wyschły, drugie cofnęły się w zad od tłuczonej nadbrzeży, kiedy krzyk usłyszano podobny do tych, które ucichły niedawno, grożący burzą, krzyk męża wyciągającego szablę w własnej sprawie. — Z tej szabli mojej tak cienkiej musi wylecieć dla mnie królestwo. — I wnet ujrzano jak młodców hufiec pędził ku wschodowi za wodzem i niewiastą precudnej urody, trzymającą dziecko w ręku, nad siodłem rączego rumaka.

Właśnie w tym samym dniu dzwony cerkiew Moskwy, rozrywały chmury swojemi brzękami, bo syn Filareta tron Kremlinu zasiadał wśród Bojarów krzyżem leżących.

Ten krzyk nagły z dziarskich piersi wypuszczony wpadł im na głowy leżącym, a w uszy młodemu Carowi:

— Kto — zapyta — mięsza naszych państw spokój?

Ej! Carze, to Igar Sahajdaczny Zarucki, to wódz dużej ręki, rozkochanego serca. On czekał długo, póki padną wszyscy rówiennicy w około niego, póki nie zostanie na stepach i w miastach ruskich nikogo, coby śmiał zajrzeć mu w oczy; bo takich było kilku przed laty, ale dziś, kiedy sam się zobaczył panem nad trumnami Rożyńskiego, Sapięhy, Strusia, Aleksandra z Lissowa, po odwrocie Chodkiewicza i Żółkiewskiego, ostatnim człowiekiem z pokolenia, co rodem z Polski żyjąc wśród pożarów i bojów przeszło prędzej od pokoleń ludzkich, ale też głębsze ślady za sobą zostawiło niż zwykły ludzkie pokolenia, puścił cugle na grzywę koniowi i popędził w zawód, na którym groby poprzedników służą mu za słupy drogowe. Nic go nie wstrzyma póki wróg stałą nie osadził mu serca; bo dumny, że sam jeden został na starem pobojuwisku, świeżą krwią odmłodzić go pragnie, wierząc głęboko, że gorączka, która nim rzuca, jest przeznaczeniem nieba; a zresztą przestałby i na tem, że to chęcią Maryny, tej Laszki cudzoziemki, nieznużonej trudem i klęskami, która dotąd z pychą rozpamiętywa dzień, kiedy jej i Dymitrowi mężowi cała Moskwa przysięgała na wiarę. Ku stepom, ku górom, ku Azji leci więc z dobytą szablą, a pochwa gdzieś się usunęła i w biegu zgruchotały ją końskie podkowy.

VII.

Kto i razu nie oglądał miasta panującego nadbrzeżem Kaspii, ten chyba sny miał okazałe, ale przepychu nie widział na jawie; niechaj więc porwie za kij pielgrzymi i pójdzie oczy nacieszyć przed śmiercią!

Wołga jak matki ramiona obtacza Astrachanu mury i u piaszczystych piersi go trzyma. Z pomiędzy jej nurtów podnoszą się dachy, nad niemi królują wieże, minarety, półksiężyce pogan i greckie krzyże, a kiedy słońce o południu jaśnieje, owe blachy srebrne i złote żywym ogniem płoną, rzekłbyś, iż nad każdym gmachem zawisł meteor nieba!

A po ulicach, korytach, rynkach, dzieci stref rozmaitych biegną, w łódkach płyną, gwarzą, krzyżują się tłumnie; owdzie Tatar z Aidoru przesuwają się w czołnie, z rozwartym kaftanem, z wartkim wiosłem, któremu żaden z innego plemienia nie podola. Tam Gheber z pasem narodowym na piersiach gibko przemyka pomiędzy ciżbą i wchodzi do świątyni, kędy wieczne płomienie goreją. Perscy kupcy w deljach stąpają poważnie, zamyśleni, głaszcząc sobie brodę, odwracając się groźnie kiedy Turka spotkają o białym zawoju, o kindzale przy boku, szemrzącego modlitwę do proroka; ówdzie na krużganku stoi Hindus z Lahoru, słodycz żarzące oczy mu cukruje, rysy twarzy przesłicznej łagodności, zaciągnięte miedzianą barwą, w jednym ręku trzyma jaśminu gałązkę, w drugim złote medale, na kwiat i na złoto spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z rozkoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi, co w rozsypkę po wnuku Tamerlanowym się rozbiegli, i ci, którzy osiedli w Krymie, by hołdować Sułtanom, i ci, którzy dotąd wolni pasą konie płożunem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie, jako chrześcianom i panom godzi się w obec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśnieje przepychem, a zatknięty krzyż na nim, wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. Rzadziej zdarzy się spotkać człowieka przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej, w czapce z piórami, z wstąż-

kami u trzewików, z szpadą u boku, krokiem sążnistym, wie spiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy w około, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistemi oczyma, z kurtynem na nodze, z sztyletem zatkniętym u brudnej koszuli; a na odnogach Wołgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecjanina po kształcie łódki, którą sobie przypomnieć chce adryatyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które chęć zysku i bojaźń ojczystych sądów na czole wyryła. Niekiedy na zakręcie kanału ozwie się dźwięk gitary i wschodnich grzechotek, czasem też zabrzmiały cymbały i naczynia ze spiżu, o które biją wonnemi różkami Iranu dziewice. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzanie, przepychem azyatyckim wystrojonych. Pomędzy niemi tu i owdzie stoją chaty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się, jakby od krużganków, od okien, leciały hurmem kwiaty i zatrzymane kołysały się w powietrzu — nad galerjami, nad płaskimi dachy, rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiędzy ich rysunki i hafty, promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu pełnego róż i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrążają miasto.

Świat to z tysiąca kolorów i uczuć złożony, pełny życia, brzmiący setnemi języki; okazała tęcza wszystkich narodów Azyi, jaśniejąca wiecznie nad falami Wołgi, a od reszty ziemi pustyniami odcięta i morzem.

Ale czem są pustynie, kiedy lotne rumaki młodców spragnione kurz miasto wody piją, i lecą dalej z wodzem na czele; wplaw tumany piasku przepłynęli, Tatarów i Moskali rozbili, na ich trupy nie oglądali się nawet i nad Wołgą stanęli.

Tu Sahajdaczny kazał ściągnąć wodze i odpocząć ludziom swoim; potem spoziera ku północy, z kąd Wołga płynie i czeka; nie długo czekał, bo tam, gdzie nurt rzeki mięsza się z oddalą, zda się, że czarna chmura przysiadła na wodzie i nie roztapiając się w niej, pędzi jak gwałtowna burza.

Im bliżej tem prędzej bieży, aż słyhać jęk fal. —
To czajki nasze! — krzykną kozacy.

Wódz nie nie odpowie i skinał ręką, by zachowali milczenie. Potem zbliżył się do lektyki przesłonionej kosztownemi franki, nad którą korona Carów z szczerego złota się wznosi i odsunął boczną zasłonę.

— Hospodarko — rzekł.

A ona obudza się ze snu i w rozmarzeniu jeszcze, blaskiem kopuł na przeciwnym brzegu olśniona, pyta się, czy to Moskwa i Kremlinu szczyty.

— To nowa twa stolica, królowo Azyi — odparł Hetman i wskazał na wody okryte czółnami — w tej chwili wzrok jego pałał dumą, zdobywcy i szczęściem kochanka.

— A więc każ Waszmość do szturm, bom strudzona podróżą wśród piasków i w pałacu odpocząć mi trzeba.

— Słońce ku stepom się spuszcza, ale mniejsza o to: Astrachan moim dziś będzie — krzyknął Zarucki i ku swoim zdąża.

Ze statkiem doświadczonego męża dawał rozkazy nie zbyt doniosłym, ale stanowczym głosem: każde jego słowo głęboko zapada w pamięć towarzyszy; nie długo też przemawiał, bo tyle bojów razem przewalczyli, że oni już teraz wprawili się do jego chęci i celów.

— Jak tylko wpadniecie, a już mrokiem, podpalić dom jaki u wnijsia, pierwszy lepszy hyleby gorzał jak smolna beczka na stypie; przy nim snadniej obaczyć, izali nieprzyjaciel zginął na prawdę lub dyszy jeszcze. Łupy sam wam rozdzielę, a znacie mnie, żem sprawiedliwy. Tej pierwszej nocy nie tknąć mi się ni dziewczki ni wina, ale strzedz się zasadzek i rąbać dopóki sił tanie. Starcom, dzieciom i białogłowom zda się przepuścić, przecie my nie Bisurmany.

Potem wsiadł na czółno i podobnie mówił do nowo przybyłych. Lektyka złocona kołysze się już na Wołdze, przy niej on stoi, to czasem spojrzy na Marynę, to znów spogląda na szyki swoich: konie ze spętanemi kopyty zostawili na brzegu, jutro, jeśli Bóg da, po nie się przeprawią, a one skaczą i rżą za odpływającymi jeźdźcami.

Na wyspie przed nimi, w zmierzchu gmatwają się Astrachanu wieże i mury dziwacznie się łamią, to wyskakując, to cofając się w tył; słyhać brzmienie wieczornych

modlitw, gdzieś tam gdzie światło zamigie, to lampa wej-
dzie na szczyt minaretu, to latarnia gdzieś błysnie na
wieży, z nad okolicznych trzęsawisk mgła się podnosi i le-
niwo wlecze się w górę; na brzegach wichur się zakręci
i wzbije tumany białawego kurzu, gwiazda zalśni wśród
błękitu, poniżej meteor przeleci nad wyziewami; choć robią
cicho wiosłami, czasami się pożali uderzona fala. Niekiedy
pomiędzy tyłoma zbrojnymi, chrzęst pancernia się ozwie,
szmer takowoż słychać, złożony z przytłumionych głosów,
podobny brzękowi owadów nad błotami; czółna się zetrą
z sobą w pędzie i stukną, na każdego z tych odgłosów rysy
wodza pomimowolnie zadrgną, bo jemu dreszcz biega w pier-
siach jak młodzieńcowi, który się skrada pod okno lubej
kochanki.

I zbliżyli się do wyspy: już mieliżny podchwytują
spód czajek i one więzną w mule. Wtedy z owego mil-
czenia, zgodnie, razem, wydobyło się ogromne „hurra“
które nad wodami się rozległo i pędzone wichrem uderzyło
o mury Astrachanu.

Wnet cała tłuszcza wali się ku miastu, wśród kilku-
nastu zbrojnych statków została lektyka, a wódz pożegnał
jej panią obietnicą zwycięstwa i poszedł do walki; nie
uszło chwil kilka aż tu buchnie pożar, Wołgę ozłoci,
niebo luna rozkrwawi; ogień to wesela, przy którym ha-
sają młodocy.

Kopuły, księżyce, krzyże, jako gwiazdy mordy, czer-
wono zabłysły nad miastem, między niemi pędzą kłęby
dymu, które je przesłonią, to odkryją na przemian. Burza
to pełna dziwów między niebem a ziemią; poniżej czarne
postacie płasają wśród płomienia, co chwila znikając jak
duchy, to znowu wracając na widok, podług tego jak wi-
cher przesłoni ich kurtyną z popiołów, lub obwiedzie krę-
giem z ognia. Wciąż grzmi wrzask najeźdźców i nie daje
krzykom broniących się, jękom rannych przedrzeć się aż
do uszu Maryny, która stoi na przodzie statku otoczona
swoim dworem, starając się utaić wzruszenie, udając męskie
oblicze, by nikt nie wątpił, że zrodzona do berła. Czasami
jednak zdrzą jej kolana i słabe westchnienie wydrze się
z piersi. Królowa tweja, o Astrachanie! płacze nad tobą,
pierwszej nocy panowania swego.

W tem z pośród wyziewów drzemiących nad zatokami Wołgi, od morza nagle się ukazały i suną po wodzie jak mary po darni smętarzów, na odsiecz miastu znać spieszą, majtki wracające z kaspijskich połowów; a że miasto już płonie, by zemścić się wprost pędzą ku czajkom Carowej.

Wtedy ona do młodców się odezwie, bez drżenia, z powagą i wdziękiem niewieścim pospołu; kazała podać sobie kolczugę i zarzuciła przez piersi jakby chustką jaką, i stanęła pod koroną złotą, przy śpiącym synie; pośród błyskawic lecących od pożaru zaczęła się walka; ale wnet zupełna ciemność walczących ogarnie, to znów luna ich oświeci.

Ale na czajkach kozackich błysnęły gromnice, straszne to gromnice, od których dalekiego połysku Stambuł drżał nieraz, matki tysięcy iskier i węzów z płomienia skaczących do oczu, pełznących po drewnie i żelazie, niezgaszonych niczem. Z rąk młodców wyrzucone, spadły na pomosty rybaków i pożar na falach Wołgi syczy i bucha w odpowiedzi na szumy pożaru, którym Astrachan płonie.

Cała przestrzeń się rozwidniła, słupy dymu nad wodą się wzbijają. — Wieher gwizdże pośród masztów i lin, coraz wyżej, coraz szerzej pcha ogień, który wdziera się od pokładów, liże krwawymi języki białe żagle i na perzynę je roznieca. Tymczasem młodocy przyklękli na swoich łodziach, ale nie do modlitwy, choć milczą tak uroczyście, jak przy podniesieniu Bożego ciała. Milczą i celują, razem wypalili, świsnęły kule; słychać jęki zrazu; czarny kadłub tu i owdzie pluśnie w nurt i pójdzie na dno. Nastąpiła cisza głosów ludzkich na przeciwnym okręcie; nie wyginęli jednak do ostatniego; ale ci, którzy zostali przy życiu, niemieli z przerażenia.

Ich wysoki okręt na wolę Wołgi i wiatru się kręci, już ludzkie ręce nim kierować nie zdołają, bo maszty węglami się stały, płótna w dym poszły, na około niego jak drapieżne ptaki, krążą małe czajki, usuwając się zręcznie i nagle z pod wałających się belek i masztów, a jak tylko owa zawieja przeleci, wracają do szturmu. Maryna ciągle rozdawa rozkazy, tysiączne blaski łamią się w pierścieniach jej kolczugi, kołpak z ukosa leży na skroniach, pół tylko włosów zakrywa, reszta buja sobie wśród iskier i burzy. Ktokolwiek na nią spojrzy, radby rzucił się do stóp i ucecił

panią, a potem skoczył ku wrogom i dał gardło w jej sprawie, by jutro nad tem pięknem czołem weszła korona.

Po łoskotach i po jękach wielu, łatwo poznać, że nieprzyjacielskiego okrętu ostatnia dobija godzina; na pół zgorzałe ciała czołgają się na pomoście; czasem dym się przeredzi i widać oczywiście ostatnie podrzuty umierających. Wtem zerwał się wichur ogromniejszy niż przedtem i popędził pałacy się ogrom precz od czajek. Jako piramida z ognia wirem się kręci i odsuwa, od jego boków leją się strugi roztopionego ołowiu i z głuchym szumem padają w wodę; słyhać też po jakim czasie, jako wpędzony na brzeg rozłamie się do szczętu. Jeszcze kilka czołen od niego błąka się po Wołdze, bez wioślarzy; bez sterników, jako męczenniki dawne, zataczające się po drogach z wypalonemi oczyma.

Wtedy czajki znowu skupiły się na około Maryny i stoją w milczeniu; wszystkich oczy zwrócone ku miastu, ale dym rzucił zasłonę między miastem a nimi. Z za tej opony słyhać wrzaski i szczęki; niekiedy strzelbę i łoskot walących się murów, ale nic nie widać; niewieścia niecierpliwość przemogła w Marynie, ręką znać dała, by płynąć ku miastu. — Już późna godzina, za długo u bram naszej stolicy stoimy — rzekła z uśmiechem i poprawiać zaczęła rozwiane pukle, głaszcząc je i trefiąc, jakby na gody spieszyła. Wpłynęli w dym i znikli wśród niego.

Owóż jest wam powinszować czego Igarze Sahajdaczny Zarucki, żeście w tak przewaźnej potrzebie górę wzięli i pod swoje stopy cisnęli miasto najwspanialsze po Moskwie, wznoszące się wśród pustyń jako czarodziejskie zjawisko. Dobrze wam tu odpoczywać będzie po trudach i jedwabiem perskim i muślinem Indji znój obcierać z czoła. Ale gdzież się podziało to plemię, które niedawno skakało i polyskiwało wzorem lubieżnych jaszczurek po twoich ulicach, Astrachanie! Dziś wśród zgliszczów leżą pomięte winnice, a z nich dym czołga się w niebo nie już kłębami, ale niciami, jak zwykle bywa nad spalonemi gmachy, w których głębi tleją węgle jeszcze, przysypane gruzem i deszczem przemiękłe; na rynku obcy żołnierze od progów Dniepru przybyli, ciągną na los szaty twoich mieszkańców i twoich domów obicia, a w sali zamkowej zdobywca roz-

daje kosztowności towarzyszom; twojego wojewodę spletanego w łańcuchy kazał stawić przed sobą — biada jemu, bo nie umiał zginać jako na walecznego przystało.

Przez okno widać rozwaliny, przeszłej nocy dzieło, i pół miasta i Wołgę w oddali; na podłodze tarcze, sajdaki, spisy, włócznie, hełmy, zawoje, siodła perskie, rzędy płonące od rubinów, leżą w nieładzie, a między orężem i zbrojami połyskują tu i owdzie szaty niewieście, welony gwiazdkami przetykane, naramienniki, wachlarze z drogich piór, futra, kobierce, makaty, roztruchany ze srebra, misy, dzbany miedziane, meszty wschodnie, zdarte z cieniuchnej nóżki oplątane kwieciem ze złota i kwieciem z jedwabiu; bursztyny, kanaki, korale. Pośród owych łupów to walających się na posadzce, to ułożonych w stosy, siedzi w krześle wódz młodeców, otoczony swoimi i patrzy z pogardą na jeńca, który stoi przed nim wśród strażników z głową schyloną, ze spuszczonej ramionami, bo je ciężar kajdan ciągnie ku ziemi.

Grek to, co się urodził żebrakiem na Archipelagu wyspie, a spanoszył się na dworze Carów i wczora jeszcze panował nad Astrachanem, jak trzytulny basza. W oczach tleje ostatek piękności naddziadów, ale na twarzy wśród pryszczów od wina i zmarszczków lubieżności, lata bojaźń śmierci. Dotąd suknia wojewody na nim połyska, wprawdzie jej hafty rozerwane, podziurawione rękawy; pas osunął się na piersiach zgruchotaną klamrą turkusową, czarne włosy kręcą się nad czołem, z kąd zesła pycha: ona do tego czoła już nigdy nie wróci.

Zarucki namyśla się w milczeniu, rysy z początku surowe wypogodniały, znać, że litość, czy wzgarda, przemogły nad prawem zdobywcy, nad zwyczajem owych wieków. Już usta się jego roztwierają, wnet wyrzeknie, by jeńca wypuścić. Wtem spojrzawszy przypadkiem na poduszkę przy krześle, na niej leży jego bułat, karacena i kołpak się wznosi, czarny, stalowemi obsyty pierścieniami, sobolowym rąbkiem obwiedzion, nad którym świeci topaz w złoto oprawny, i u owej klamry dziwnie wygląda zatknięty kędzior jakowys, spiekłą krwią i brudem zmazany.

Wyrwał go syn stepów i skoczył z siedzenia, w pochwyceniu czoła zagasł już wschodzący nań brzask miło-

sierdzia; pomiędzy łupami przechadza się żywym krokiem deptając zawoje, szaty, klingi, mnie w dłoni sierść ową i ciągle milczy wśród towarzyszy, którzy zadziwieni i przełękli usuwają się przed nim.

— Widzieliście — wreszcie zawoła — widzieliście sami jako ręce były na suchym i na mokrym polu, w trzęsawiskach nie grzęzły, ale z kępy sadzały na kępę w nurtach rzek pływać umiały, gdyby dzikie wydry. Iwanie, byłeś ze mną, kiedy Istambuł uniósł mnie z pożaru Kolumny, wszak on potu nie żałował wtedy, by ocalić pana; od dymu i iskier nie odwracał nozdrzy. Leciał na zabój przez płomienie i rzał z odwagi. — Tu się zatrzymał i zdał się szukać kogoś wśród stojących kozaków. — A ty Sobolewski — mówił dalej, wskazując na jednego z nich — służyłeś mi za giermka w owej potrzebie z Achmetem Gierajem; pamiętasz li jako biedna Giemza dokazywała podemną. Trzy razy wskrósł przez rzędy Bisurmanów przebiłem się wtedy, a zawsze tak chyżo mnie niosła, że czasu nie miały ich oczy dobrze mierzyć, ich dzyryty dolatywały mnie. A mur on wysoki na uboczu łąki zielonej, dobiegła, przesadziła, spadła na wszystkie cztery kopyta, parsknęła i biegła dalej.

A dziś, z nich obojga białe kości na brzegach Prawy; przeklęta owa noc, owa pogoń, owe Tatarskie pachole, przekłęci Moskale niewierni Marynie, zmienniki, służalce Michała popowskiego syna, oni mnie pozbawili najlepszego konia, najlepszej klaczy mojej!

I tu przestał, po chwili się odezwał, ale już gwałtowniej.

— Ja wam powiadam, słuchajcie młodocy, słuchaj i ty Greku, choć nie rozumiesz i słowa, boś nigdy nie biegał po stepie, jadłeś, piłeś, ssałeś winogrod na sofach. Ja wam powiadam, że już nigdy nie zobaczycie nic równego. Jako psy do mnie przywiązane były; a jaka maść, a jaki polot ogona, a jaka falista grzywa, oczy gdyby węgle, szczery ogień buchał z nozdrzy. Istambuł miał gwiazdkę białą między uszami, ale Giemza cała czarna była; kiedym świsnął przybiegały do mnie, kiedym pogłaskał z radości taczały się w piasku, a krzyknąć, to klękały, by łatwiej wsiąść było; nie raz, ale sto razy ostrzegły mnie rzeniem, że nieprzyjaciół za borem, za wzgórzem,

w borze; nie raz, ale sto razy życie im winienem. Cóż powiecie na to?

Nikt nie śmiał się ozwać. — A ja wam powtarzam, że lepszych rumaków świat już nie zobaczy. — To mówiąc porwał za puhar z kryształu, stojący wśród łupów i rzucawszy o ziemię, rozłukł na drobne kawałki.

— Przysięgłem owej nocy, odpływając na łódce, przed patronem moim Św. Igozem, że Bojara moskiewskiego gardło przypłaci śmierć Istambuła i Giemzy: wojewoda astrachański za Bojara ujść może.

Umilkł i zdawał się dumać głęboko; kiedy po czwarty raz się ozwał, znać było drzenie w głosie. — Chciałem przebaczyć. — Tu przez chwilkę mowę i oddech zatrzymał: — Żołnierze, prowadźcie go na śmierć.

Zemdlonego wynieśli z komnaty; a wódz niepewnym krokiem poszedł ku siedzeniu, siersć z grzyw końskich na nowo zatknął u kołpaka, ale zatłoczył głębiej, pod klamrę, by już nie wyzierła więcej.

VIII.

Przez całe lato gody w Astrachanie odprawiali młodcy; czasem na wycieczki wylatują, lecz nie długo bawią, z plonem i moskiewskimi głowami wracają; plon dzielą między siebie, głowy pokażą Sahajdacznemu, potem w Wołgę rzucą, zawiesiwszy kamień u szyi, miasto kijowskiej relikwji, która gdzieś, na pobojowisku została. W pałacu, na wzgórzu zelonem, nad rzeką, przesiaduje pan i pani. Tak bowiem ich zowią od zdobycia Astrachanu.

Po salach, po galerjach, nieraz widziano jako się przechadzała Maryna oparta na ramieniu Zaruckiego, jako on do niej przemawiał już nie kłaniając się jak dawniej, jak ona odpowiadała bez zwykłej dumy. A jednak w owym żołnierzu, który więcej nocy przespał pod niebem niż pod dachem, który w obozach ssał pierś mamki, nauczył się imienia Boga i mordowania ludzi, pozostało uszanowanie dla piękności, która w nieszczęśliwej godzinie powierzyła się jemu. On, choć dzisiaj wszechwładnym jest panem w Astrachanie i rozkazów żadnych już nie słucha z ust,

które niegdyś krótkiem witały go i żegnały słowem, a później do jego własnych się zbliżyły; choć wie dobrze, iż imię Carowej jest marą bez znaczenia, choć mógłby, koczujących wojowników obyczajem, znudzić się jej wdziękami i wypowiedzieć jej wierność, a niktby się za nią nie ujął; dotąd jednak słucha jej słów jako dawniej bywało, kiedy w pokorze zbliżał się do tronu Dymitrów. Dotąd namiętnem spojrzeniem rozkoszuje w jej lieu i gotów zapomnieć, o chwale i łupieży, byleby zyskać uśmiech dziękczynienia i słowo miłości.

Przepych Wschodu ich otacza. Sułtańskie sofy i wezgłowia, kobierce Seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły na około błyszczą. Światła się palą w wazonach z przejrzystego alabastru i barwę rozkoszy po ścianach rozwodzą. Makaty tkane w kwiaty ze złota i srebra kształtnie się fałdują u okien i u drzwi; z piór ptasich u sufitu rozwieszona tęcza; na stole całkie krzewy róż i jaśminu, a w ich cieniu napoje azjatyckie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, Archipelagu wina; po kątach palą się w misach pustyni balsamy; u stóp Maryny walają się porozrzucane po jedwabiu i atlasach korale, wachlarze, naramienniki i muszle.

Gdzieś w dalekich salach odzywa się muzyka, której tony wpływają do komnaty i jak ostatnie fale u brzegu, zwolna pluskając dźwiękami, umierają w jej i Zaruckiego uszach; owym nutom nie nie zrówna w słodyczy; a jednak jest w nich siła ukryta, co powoli jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje, wsiąka w mózg i piersi, pierwszy zawraca, drugie mdłą rozkoszą rozlewa; przy nich dziecko płakać przestanie i usnie, a wojownik szablę opuści na ziemię; przy nich pamiątki przerabiają się w poezyę, chwila terażniejsza staje się wszystkim, a o przyszłość się nie dba; bo gdzież już szukać milszej nadziei nad to, czem teraz napawa się serce? Aż wreszcie człowiekowi zacznie się marzyć o harfach aniołów i zachce się konać. Przy takowych dźwiękach wódz młodeców opowiada swoje wyprawy, zwycięstwa i klęski; jako na lipowej czajce przesuwiał się między Dniepru wiry i śmiejąc się przepływał nad bezdennym grobem, skałom się umykał i z fal przeskakiwał na falę, przy grzmotach gromów lejących się z wysoka. Jako na szerszej łodzi Morze Czarne

nawiedzał i żagle rozdarte od burzy w odłamkach padające widział w około siebie, a jednak płynął dalej z janczarką w prawej, z lontem w lewej ręce, a przybiwszy do brzegu, wsie palił niewiernym i zdartemi z turbanów szalami pierś gołą okręcał; jako do boju sprawiał rotę swoje kiedy wodzem został i na czele ich z bułatem nad głową pędził w sam środek nieprzyjaciół. Pożary miast ludnych, odwroty o głodzie i zimnie, kiedy co krok w słupy przemierzali towarzysze, a on chuchał w palce i śpiewał dumkę stepów. Gonił po stepach na rączym koniu, przy świecie wichru i targającej się burce u szyi, w nocy, kiedy gwiazdy jednej nie było w górze ni robaczka jednego świętojańskiego na ziemi, tylko piasku tumany, a czasami trzepotanie się wrony nad głową, w oddali skowyczenie wściekłych wilków. Pochody w bagnach, kędy murawa nad topielą zwodzi żołnierza, grunt trzęsie się za każdym stąpieniem jakby zapasć się miał, woda zielona i żółta dyszy pomiędzy kępami, na których leżą gadziny, serdecznie splecione z sobą. Rozpaczne szermierstwa z napotkaniami wrogami z potu i krwi niemałym przelewem; ran odniesionych boleści; nudy leż długich podczas niemocy, mdłości w konaniu, bo on już kilka razy konał, to w lepiankach na słomie, to na polu bitwy między trupami. Trudny powrót do życia nim siły znów się zjawią i konia się dosiędzie; a wtedy na nowo gody i uroczystości przy buchających płomieniach wśród szczęków i łoskotów, krzyku i tententu za sztandarem powiewającym w powietrzu; dniem i nocą szturmy, harce, błędy, ówdzie chwały, ówdzie złota dla siebie, a obroku dla rumaka się nabędzie. Tu zginie przyjaciel, tam kochanka się zdarzy; a niebezpieczeństwo w każdej chwili, a rozkosz idzie za niebezpieczeństwem, bo wtedy dreszcz luby gra po sercu, drażni piersi, podaje mocy i pędzi wśród zgliszcz, wplaw przez rzeki i piaski na zabój środkiem hufców, zawsze naprzód. Takim życiem bodajby żyć wieki całe i nie umrzeć nigdy, mogąc umrzeć codziennie.

Podczas tych słów twarz jego pałała uniesieniem, a jednak nie nie było dzikiego ni w mowie, ni w tem uniesieniu; ani razu nie spojrzął wzrokiem, którym patrzył w bitwie lub wśród pożaru; ani też głos się nie wznosił

Jeśli szczęście mu posłuży, po żmudnej drodze wyjdzie z labiryntu i znów ujrzy pustyni obszar — za nim już zielone błonia.

Nuradyn zdąża ku owym skałom, bo mu szpiegi doniosły, że lew pustyni tu szuka schronienia; ale czyż on za sobą, by drogi nie zatracić, tak liczne porozstawiał czaty? Co kilka staje koń przyległ do ziemi i jeździec na siodle niewzruszony się trzyma; zdala miga zbroja, zdala marsowa postać wojownika; ale przystap, ktokolwiek jesteś wróg li czy przyjaciel, on cię puści bez szkody, bo ramiona przymarzły do piersi i już od niej się nie oderwą.

Ani raczy się młodzieniec obzierać na towarzyszy, którzy z głuchym stękiem padają, potem już milczą na wieki. Mgły się rozeszły gdzieś niegdzie, słońce wyjrzało. Tysiące udanych iskier błyszczą nad śniegami i przepadając pod kopytami, trzeszczą jako prawdziwe iskry gasnące w powietrzu. Nuradyn bez litości hufce swoje porywa za sobą, tak jak chmura w burzy, która wyskoczywszy z ogromu wyziewów zaprzęgnie się do nich i ciągnie je po niebie.

Wreszcie oparł się o skały i wrzasnął z radości. Bułat wyrывa z pochwy, śmiga nim w powietrzu i okręca w około szyszaku.

— Naprzód, woła, naprzód, oni tu i hurysa moja, i przekłety jej mąż, potępieniec mojego gniewu!

Ale Tatarzy ściągnęli wędzidła, kroku dalej nie postąpią, zaklinają się na grób proroka, że im na siłach zbywa, oczy odwracają i wyciągają ręce ku stronie, od której przybyli. Tam czarne słupy wyzierają z białego śniegu: — To bracia nasi. Nurydanie Murzo, odpoczynku wołamy! Nurydanie Murzo, przespąć się noc jedną pod namiotem daj sługom twoim. Dozwól, by na pół zmarzłym ogień zajrzał w oczy, skórę oblizal ciepłym językiem.

— Ha! nikczemniki, zawoła młodzieniec, zkąd wam śmiałości takowej przybyło? żeście tu na pustyni wszyscy, to mnie jednego zastraszyć myślicie? Snem to, snem, niewolniki moje, a nie prawdą, niechaj który przystąpi, a głowę zdejmę mu z karku, tak jak dziewczica Serajów pączek róży z gałązki odrywa; pierwszy lepszy. I ty Abadzie Sahali — ot! zginięsz jak marny owad. I ty Mecha-

mecie! już mój koń drży niecierpliwym; lepiej mu deptać po tobie niż po śniegu i lodzie. Zbliź się Akbareju! a dusza twoja nieboga na mróz się dostanie; mrugnij okiem, kiwnij palcem, nogę wysuń z strzemia Hadżadynie! ruchem ust tylko mi się nie spodobaj, a ztąd kindżał wświdruję ci w czaszkę.

I to mówiąc damasceński tasak wysuwał z dłoni i chciał naprzemian, jakby zabierając się do jego rzucenia.

Głowę schylili przed wodzem w milczeniu, ale nie ruszyli się z miejsca.

Nuradyn szablę wyniósł do cięcia, konia spiął ostrogami, by wpaść na nich, w tem klinga w drobne kawałki się rozłamała, rękojeść tylko zostanie w prawicy, huk od strzału janczarkowego zagrział pomiędzy skałami, kula leży na śniegu wśród szczątków pałasza.

— Przez Allaha, za mną — krzyknął i nie obzierając się nawet czy go usłuchali — za mną, to Zarucki. Ale kiedy dopadł skał, rumak na nie mu się zdać nie mógł, skoczył na ziemię i z tasakiem w dłoni szedł dalej, kilkudziesiąt ochotnika pospieszyło śladami jego. Reszta została w około wielbłądów i namioty ściągając z ich grzbietów.

Od tego dnia, szczękiem szabel, strzelbą janczarek, rozlegają się wąwozy, pośród skał i filarów z lodu ścierają się mężowie; hurmem Tatarzy walą w bezdroża, ale źle im na nogach, do siodeł wzdychają; o siodłach ani myśleć, bo gdzie tylko spojrzeć, przepaść lub cypel, pieczara lub pochyłość. Dzielnie broni się Zarucki w ostatnim przytułku. Znać jego wszędy na czele młodców wychudłych od znoju i niedostatku, ale serca w ich piersiach nie zdrobniały. Garstka pozostała przy wodzu, reszta wojsk co niegdyś Moskwę zbiegły pod jego rozkazem, Pereasław w perzynę rozdmuchnęły, Astrachan zdobyły, uciera się jak może; każdy z nich śmierci niechybnej dniem wcześniej, dniem później się spodziewa; ale nie żał ginąć w obec tak dziarskiego hetmana; on trupa uczci spojrzeniem żalu i słowem pochwały.

Prochu jeszcze wystarczy im na dni kilka, żywność ściągają z pod chmur, strzelając w dzikich gęsi stada; mech przyczajony pod szronem z głazów zdzierają, kłębkami śniegu odwilżają usta, opatrują rany, a czasami jeszcze

wśród bitwy dumkę stepów zaśpiewają; śpiewaka nie raz pocisk wskrós przeszyje, on pada ze skały w przepaść, a pierwszy bliższy zaczęta zwrotkę donuci.

Tak różnym losem wiodą wstępne boje — to nagle wpadają na Tatarów i chmura nieprzyjaciół w krew się roztapia, to przyciśnieni rozsypują się; owdzie stali hufcem przed chwilą, a teraz już żadnego nie masz. Tam gdzieś, z tamtej strony opoki odzywają się szelesty, jakby sto wężów razem pełznąć szurowało piersią po ziemi.

Nuradyn pieni się od wściekłości, wyrzuca swoim, że bić się nie umieją, i hojnie ich życiem szafuje to w ciężkich pochodach, to w codziennych harcach. Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych. Tak jak wielki człowiek, co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysięcy dopnie myśli swojej ogromnej! — Ale w nim owa myśl nie w głowie, jeno przesiaduje w sercu, nie wyrze ona skutków na cały naród — może zginie razem z nim w pustyni; ale dusza jego się spieszy, by się jej pozbyć i walkom swoim koniec położyć, nie dbając o to czy piekłem czy rajem, byleby ustały, byleby pokój, rozkosz lub kara nastąpiła; przynajmniej już dzisiejszych uczuć w niej wtedy nie będzie.

A zatem śmierć bliźnich na sumieniu jego nie ciąży. On by kraj cały rozniósł końskimi kopyty, wszystkich ogniem i żelazem wygubił bez zgryzoty, bez bojaźni, nie opowiadając się ni szatanom ni aniołom, byleby mógł usiąść na rozwalinie i raz tylko do piersi przygnieść tę, która go pozbawiła litości, rozumu, sumienia.

A potem niechaj przed sądem Boga niemowlęta drobniuchne rączki wyciągając, dziewice zalewając się łzami, skarżą na niego: on gotów, on nie wie co to jest sąd Boga, ale wie i czuje co płomień, który piersi mu pożera.

XI.

Na łożu z mchu do piersi ciśnie dziecię niewiasta. Sklepienie jaskini zakraża się nad nią, tu i owdzie drągnięte blaskami płomienia dogorywającego na szerokim ognisku, zasypałem popiołami, zasiana węglami.

Niekiedy połysk i na nią padnie, a wtenczas z cienia wychodzą na chwilę rysy wyniszczone chorobą ciała i duszy. Jednak uroda ociąga się, nie chce opuścić twarzy, którą tak długo krasiała, woli chronić się do oczu, których jasność chyba wraz z życiem zemdleje.

Ale czemuż synek uściskom matki nie odpowie uśmiechem, nie wyciągnie rączek do niej, lub jeśli mu zimno i słabo, nie pożali się westchnieniami i płaczem; może to sen głęboki? Nie — onby się obudził na pocałunki tej, która go trzyma! Ot! błyskawica konającego ognia oblała twarz maluczką; rysy skrzepłe, drobne, ciało sztywne, gdyby drzewa kawał, opuściła go matka, ono spadło na ziemię, potoczyło się trochę i leży jak szary posążek. Nieszczęśliwa skłoniła głowę na piersi i kilka chwil przebyła w zupełnem otrętwieniu, potem wstała i poszła ku ogniowi. Rozciągnęła ręce nad węglami by się rozgrzać. Szaty jej zawianie płomień wzbudziło i ten wyskoczył ze środka popiołów, złotym słupem podniósł się ku jej twarzy.

Znać w rysach walkę ducha z cierpieniem; stopniami jednak wyraz rozpaczyny ustępuje miejsca wyrazowi tkliwszego żalu, uroczystszej powagi; pamięć o Bogu zda się rozciągać barwę pociechy na czole, powoli kolana naginają się ku ziemi, uklękła, a w czarnych oczach spuszczonech w dół cichą modlitwą odmawiają spojrzenia, ostatnie głosy duszy, której boleść przymknęła usta. Potem wzięła ciało w ręce i znikła w ciemnościach jaskini; niedługo wraca z zawiniątkiem i znów siada przy tlejących żarach; na kolanach złożyła dziecię, zawiniątko rozwiązała, połysk drogich kamieni wyjrzał ze środka, słychać pod jej palcami szelest szmat jedwabnych; taśmy złote i srebrne wysliznęły się i pełzną na około.

W jej ręku cienki sztylet błyszczy, raz jej za igłę, drugi raz za nożyce posłuży; różne kosztowności spaja, wiąże z sobą razem, to rozdziera, pruje, dziurkami przesywa; czasami też bierze miarę ciała, ramion, nówek; wstażką piersi, główkę, szyję obwiązuje i odejmując, zważa pilnie na długość i szerokość. Z ostatków dawnej carskiej pychy, giezłeczko lamowane srebrem na trupa uszyła Maryna.

Nie łatwo odziać niem skościale członeczki, nachyla się matka, całuje zimne powieki: — Pozwól, niechaj matka

Carowa ciebie, dziedzicu Dymitra, ubierze jako na cię przystało. W jednym grobie i ty i nasze państwo legniecie razem, na wieki synu mój, synaczku mój drogi. — I chwyta za rączkę, rączka gdyby z marmuru, i tchnieniem stara się ją rozmiękczyć, i twarz pociera i trze piersi, a kiedy się zmęczy, znów całuje, przyciska i prosi.

Wreszcie suknią błyszczącą przyoblekła syna, i zaraz do nowej bierze się roboty, z czarnej szkatuły wyjmując koronę, nad płomieniem trzyma — a kiedy złota oprawa topić się zaczyna, odrywa z niej szafiry, dyamenty, rzuca w popioły gdyby iskry nowe, potem coraz to okrąg ścieśnia i niekiedy przykłada do skroni dziecięcia; ale jeszcze za duża, więc znów nad ogniem ją topi i sztyletem wygina; teraz już pasuje mu do skroni. Następnie rząd pereł nawlecze, i zawiesi u szyi wraz z krzyżykiem rażącego blasku.

Uśmiech smętnej rozkoszy na chwilę usta poruszył, kiedy go ujrzała otoczonym mnogiemi połyski: chwala Kremlinu, jak wspomnienie dzieciństwa we śnie dorosłego męża, myśl jej drasnęła; złożyła ciało na pościeli z mchu i marząc, że śpi jej Carewicz, naciesza się okazałością jego.

Ale śmierć na twarzyczce szyszcząc z kamieni i pereł, ze złota i srebra, na przekor ich barwom, sine plamy coraz głębiej wyciska. Kroki wchodzącego męża ocknęły ją z dumania. — Dopełniają się losy Igora — twoje pójdą za nimi, rzekł głosem pełnym stałości. Dziś ostatni moi towarzysze polegli, kilku ranami okrytych zostawiłem w jaskiniach po drodze. Ah! ty płaczesz moja luba?

I spostrzegł leżące dziecko.

— Błogosław niebu, że na anioła go dzisiaj wezwało do siebie. Jutro byłby cara niewolnikiem.

— Boże, bądź pochwalon, krzyknęła Maryna, podnosząc się nagle; masz prawdę Igorze, on umarł spokojnie, z cicha, bez cierpień; osłabione ciało nie pasowało się z odlatującą duszą; a ona teraz suto promieńmi uwieńczona przyśpiewuje w chórach anielskich i spogląda ciekawie na gwiazdzistą koronę przenajświętszej Dziewicy. Śpij, śpij synu mój. Ty wrzkomo znaku życia nie dajesz i co chwila na twarzy czarniejszym się robisz, ale ty żyjesz po nad temi skałami! Śpij, śpij synu mój; hańby nie poniesiesz,

pogardy nie doznasz. Sługi twoje dawne nie przyjdą pętać cię w łańcuchy ni urągać się tobie, królewicu mój; żyłeś w kolebce jako dziedzic potężnego pana i umarłeś, nim dzień poniżenia zaświtał. Igorze zapal pochodnię, grób mu wykopiemy w głębi jaskini, tam gdzie leżą twe zbroje. Dziś ja synowi twemu, a mnie jutro kto — rzekł wódz posępnie i łuczywo porwawszy z ognia szedł naprzód, ona z tyłu niosąc dziecię w ramionach.

I szli milcząc przez długie przejście, kędy sklepienie wyrobione trzęsieniem ziemi i pracą czasu w dziwne to zwięza się to rozgina otwory, to zdaje się lecieć ku ziemi i w słupie wiszącym zatrzymuje się nad nią: to znów wzbija się w górę i ginie w ciemności, to prosto gdyby wykute się ciągnie, to co kroków kilka łamie się kątem, zakręca się kołem.

Wreszcie doszli miejsca podobnego okrągłością swoją do kaplicy, ztąd wstecz się tylko wrócić można, dalej iść nie sposób, bo wszędzie zakrąża się opoka. U sklepienia przyczepione stalaktyty naśladują gotyckie ozdoby, krzyże, filary, arkady: a pomiędzy nimi przerwy dziwaczного kształtu, to połamane jak gdyby kamień się rozprysnął, to znów haftowane; znać, że długo kropla po kropli tu spadała z wysoka, ale dziś nie słyhać kapania i wyschło już źródło.

Niżej w wydrążeniach ścian Zaruckiego rynsztunek wojenny starownie ułożony: kordów kilka, sajdak i łuk, skóra niedźwiedzia i druga lamparcia wiszą u żelezców strzał; dwie janczarki leżą na kamieniu, przy nich bechter stoi, a dalej hełm na siodle, obok siodła karacena nabijana srebrem z rzędami drogich kamieni.

Sahajdaczny wyciągnął z głuchym brzękiem pałasz, szeroki, obosieczny, prosty i nim zaczyna w srodku jaskini dół kopać. Matka nad ciałem tymczasem odmawia modlitwy. Jej drżącemu głosowi wtorują bryły ziemi rozsypujące się pod żelazem. Niedługa praca, domek ostatni małemu mieszkańcowi rychło stanął w pogotowiu; rączki na krzyż złożyła Maryna, rączki przyłgnęły do piersi; w całun go potem obwinie, a nim twarz zaciągnęła, jeszcze raz kończąc Zdrowaś Marya, pocałunek złoży i wyrzeknie: Amen. Teraz go troskliwie obwiązuje i drogą suknią okrywa, lęka się, by

madzą się do kupy, to rozechodzą: to ciągną jednym szeregiem, to małemi oddziały, znać, że wodza szukają. Jemu spoglądającemu z wysoka zda się, jak gdyby ludzie owi nagle tknięci ślepotą zataczali się, drogi znaleźć nie mogąc.

— To orszak naszego pogrzebu — rzeknie z cicha i zaśmieje się gorzko, szablę wyciągnie z pochwy i położy przy sobie, kindżał przymocuje, by nie zleciał w chwili zapasów — i oczy utopi w Marynie, by przed zgonem nacieszyć się jeszcze ową gładką twarzą, na której niebezpieczeństwo i jednego zmarszczka wycisnąć nie zdoła.

Wrzask nagły podniósł się od dołu, wnet strzał chmura i garść kul rozbiła się o skałę pod stopami Zaruckiego.

— Zobaczyli nas — rzekł spokojnie. Wzdrygnęła się pomimowolnie Maryna i krzyknęła w obłąkaniu: — O Polsko, Polsko, gdzież jesteś o Ojczyzno moja! — Ale ta słabość chwilę trwała tylko, podniosła się i promieniami słońca oblana, spogląda na zbliżających się wrogów, oni wdzierają się któredy mogą i znów milczą tak jak chmury przed burzą.

Wdzierają się i po ślizkich tarzają się głazach, nie-jeden runie w dół, by nie powstać więcej, odwalają gruzy, czepiają się wystających słupów, rozbijają ostrza lodu, pasują się z urwiskami dobywając sił wszystkich, jak gdyby na polu bitwy z wrogiem: napróżno; co ujdą kroków kilka zsuwają się nazad na kłębach śniegu — wyginają ciała, rozciągają ramiona by się utrzymać, klną proroka od złości i bólu. Napróżno, napróżno, skała odpiera się ciągle; obchodzą ją i szukają z innej strony przystępu, nie znając drogi, którą przeszedł Zarucki. A on siedząc na wysokości, spogląda na nich jako człek zwyczajny pracom ludzkim w pocie i krwi odbytych, a które długo na nie się nie zdadzą. Zresztą nie znać w jego oczach, by się unosił weselem, dla tego, iż oni męczą się i konają; on wie, że wcześniej czy później po wielu trudach i zgonach, dojdą cyplu, na którym ich czeka, a nie tyle kocha się w życiu by cieszył się przedłużonem o godzinę.

Wrócili się i u stóp skały stanęli niewzruszeni; słychać głos jakiś, co do nich przemawia; a w ostatku jego dźwięków, które wiatr przynosi do Zaruckiego, znać jeszcze wyraz gniewu i pogardy, potem przerywane wołanie, niby

rozkazy, niby odezwa do każdego po imieniu. Teraz już wszystko ucichło; ale z pomiędzy czarnej ich masy występują meże i w mały hufiec się gromadzą, jak odrywająca się chmura od gęstwiny zbitych obłoków, kiedy się jej zachce własnych lotów spróbować po niebie.

I w mgnieniu oka, rozsypawszy się na szereg długie, zaczęły się wdzierać — wszyscy czarni po białym śniegu — co chwil kilka przerzedzają się: ów zniknął i śladu po nim nie masz, tamtemu głowę jeszcze widać nad śniegiem, ten potknął się i leży bez ducha; ale kto zręczniejszy, ten wspina się w górę, już zbroję na każdym rozeznac można, rysów jeszcze nie.

A ten, który drze się na czele, dziwnie szybko uwija się pośród przeszkód niebezpiecznej drogi. Skacze na zabój i nie padnie nigdy, ślizga po lodzie i bieży po śniegu, jak gdyby anioł stróż trzymał go za włosy; rzadko spojrzy pod się, ciągle oczy w cypel skały wlepia, a gdzie otchłań z boku, on nachyla się ku niej, a gdzie doły, tam nie odwraca się od nich, ale pędzi prosto i przesadza je w pędzie. W rękę trzyma szablę; towarzysze podpierają się na włóczniach i bułatach, on jeden swojej klingi śniegiem zmazać nie chce, ale wstrząsa ją nad czołem i poi w słońca promieniach. Zawój łśni mu się futrem i połyska djamenty, koleczuga to samo; a co chwila woła na swoich ostrym, przeraźliwym głosem, każe spieszyć za sobą, szydzi z ich ostrożności, a kiedy się kto obali i zlatuje w dół, on jeszcze głośniej się urąga.

— Bądź mi zdrowa na wieki — rzekł Zarucki podnosząc się z siedzenia i przykładając rusznicę do oka; ale wnet ją spuścił w dół.

— Czas jeszcze przypomnieć się Bogu.

Przykląkł, strzelbę odsunął, pałasz złożył na ziemi, kindżał odpasal i rzucił o dwa kroki od siebie. — Słyszałem, że Zbawiciel, który dał się ukrzyżować za nasze winy, nie lubi tych, co go oręźnie wzywają. — Przy nim w milczeniu uniżyła się także przed Stwórcą Maryna.

Modlitwa Hetmana krótką była: w pokorze schylił czoło, dłonie ścisnął, gorąco prosił o przebaczenie w duchu, ale mało słów wyrzekł, jako przystało na żołnierza, co przewalczył życie i pacierzy zapomniał wśród bojów.

A kiedy powstał, z lepszą otuchą pojrzał ku następującym wrogom i wziął się do broni. Dwa razy wystrzelił — dwa razy jęki usłyszał, i dwa trupy ześlizgnęły się na dół, jak pnie ścięte, spuszczone z góry; nie ma już czasu nabić rusznicy, a zatem rzucił ją w przepaść, ona to głucho szoruje po śniegu, to z brzękiem rozbija się o głązy.

Szablę wyciągnął przed się, Marynę własnem ciałem zakrywa; w tej chwili bił mu z oczu blask płomienia, jaki boje w sercach wojowników zapalają; nie była to wściekłość, ani też krwi pragnienie; nie był to zawrót mózgu w niebezpiecznym razie, ale wyższość umierającego bohatera nad zwycięzcami: ale przeświadczenie duszy u progu wieczności, iż nie napróżno błąkała się po ziemskim wygnaniu. By stanąć przed tym, który ją zesłał, jednego trzeba podrzutu jeszcze. Patrzcie jak z nieustraszonem sercem zabiera się do niego! Piersi wystawił na groty, nogę wrył w ziemię i posągiem stoi; lewą ręką z tyłu dłoni ukochanej trzyma, chwila jeszcze, a osaczą go wrogowie.

Wódz ich dochodzi już cypla, ale żadnemu strzały ni kuli wypuścić nie daje. Znikł pod wysuwającą się opoką, uchwycił się wiszaru i wnet ukazał się na niej.

— Poddaj się, Igorze Sahajdaczny Zarucki.

I to mówiąc, szablę spuścił w dół, swoim przykazał to samo, ale nie miłosierdzie ni uwielbienie ku zwycięzonymu przebija z jego liców; zasępiłone ma czoło, a namiętność jakowaś goreje w źrenicy.

Hetman zbył go milezieniem i wynosi ramię do cięcia; wtem uczuje drętwiejące palce Maryny i pomimowolnie się odwróci, a ona blada oczy przesłoniła ręką i powoli nachyla się mdlejąc. Rozśmiał się Nuradyn Murza i klasnął w dłonie. — Ha! poznała, bierzcie go, bierzcie ją; dla niego męki, dla niej czwarty mąż.

On spuścił głowę na piersi i rzekł głosem rozpaczki: — Bóg wie czem karze grzechy mojego żywota, śmierci się nie lękałem, aż on zesłał na mnie hańbę niewoli.

Jak mogli tak zmykali Tatarzy od skał, od wąwozów — już też pogodniejsze niebo, słońce przygrzewać zaczyna, śnieg topnieje i wsiąka w piasek pod spodem. Nadzieja, że u brzegów Jaiku zastaną gońców z Astrachanu i ojuczone wielbłądy, dodała im ducha.

Przebyli rzekę po lodzie — na tamtej stronie wódz kazał położyć się obozem, wielbłądy i gońcy z Astrachanu już czekali na nich — a zatem rozbijają namioty, ognisko rozpalą, biorą się do mięsa i ryżu, wina i wódki nie żałują sobie, wrzeszczą, a kiedy godzina modlitwy nadchodzi, bluźnią Bogu, śmieją się z proroka i piją dalej.

Na piaszczystym wzgórzu, z którego wiatr zmiotł śniegi, stoi namiot Nuradyna podparty słupami długi i szeroki, obity skórami, z kopułą malowaną w połyskujące barwy, z półksiężcem nad nią.

Ztąd widok na cały obóz się roztacza, na pustynię aż do krańców widnokrzęgu i na brzegi Jaiku, snujące się w bezustannych zakrętach ku morzu, i na szare morze w oddali.

Dotąd wódz nie rozmawiał z swoimi jeńcami, przynajmniej nikt nie widział go razem z nimi; on jechał na czele swoich hufców, ich prowadzono z tyłu, męża w łańcuchach, niewiastę w taśmach z jedwabiu, jako był przykazał na cyplu skały.

A kiedy stanął na miejscu, krótkim słowem oznajmił swą wolę, by każdy odpoczął i hulał; sam wszedł do swego namiotu i już nie ukazał się więcej; nadedniem tylko kilku śpiących u stóp wzgórza Tatarów w około ognia, wśród rozrzuconych resztek biesiady, przebudził nagle hałas jakowys; ciekawie na pół rozmarzeni, wyteżyli uszy, brzęk kajdan słychać było i głos Nuradyna; ale słów żadnych nie można rozeznać — potem głuchy jęk nastąpił. Wzdrygnęli się słuchacze i wszyscy razem pomimowolnie zawołali: Allah! — łoskot padającego ciała na nowo przymknął im usta.

Wszystko ucichło, oni czekali jeszcze, ale niczego się nie doczekali, zatem każdy wychyli czarę i znowu oprze głowę o siodło by zasnąć.

Teraz to południe, słońce na niebie z chmurami się zabawia, to do tej piersi je tuli i na pół świeci tylko, to rozgania je i błyszczy w całej okazałości. Środkiem obozu zbrojni strażnicy wiodą niewiastę, długim zasłonią welonem, broniąc ją od ciekawych spojrzeń zagrodą z dzid i szabel, spiesząc się o ile tchu im stanie; przeszli obóz cały i wstępują na wzgórze, zakolącą do namiotu, podniesie się opona i wypuszczą z pomiędzy siebie tę, którą dotąd trzymali; potem za usłyszanym rozkazem, oddalą się nazad i rozsypią na różne strony. A ona weszła z głową schyloną, jako przystało królowej bez królestwa, niewieście bez towarzyszki, chrześciance wśród pogan, Polce wśród służalców Moskwy. Ale czyż to sen objął nagle jej zmysły? Czy już świat pożegnała i zapomniawszy o śmierci dostała się do krainy czarów? Zewsząd wiązki światła różnobarwnych krążą, zlatują, śmigają, woń kadzideł oblewa ją, raj kwiatów otacza do koła.

Pod jej stopami kobierce naśladowują zieloność murawy, djamenty rosy przejrzystość i krople; u ścian piętrzą się obicia przetykane wieńcami róż, fiołków, jaśminów i gałęzi, na których malowane ptaki przesliczne roztańczają pióra, a z góry pada światło dzienne, ale nim dojdzie oczu, przekrada się pośród muślinów i jedwabów, długo błędzić musi po haftach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, wyssać błękit z ametystów i z rubinów purpurę: a wtedy całe pijane od farb i połysków na dół się stoczy i płasa w drżące łuki, którym końca nie masz. One biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie kręgi, iskry, rozkwitania i życia pozór owym udanym haftom nadając, a promienistemi sieci cały namiot kratkują, od góry do dołu zalewają potokiem jasności, która płynie szkarłatem i błękitem; zieleni się jak szmaragd, to złoci jak pomarańcza i do oka wpływa mile, bez rażenia, bez olśnienia, gdyby tysiąc motyli igrających razem po trawniku, kiedy słońce już nie parzy a zachodzi w złocie; księżyc zaś naprzeciwko się podnosi lamowany srebrem, a między niemi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo: o takowej godzinie chciałoby się zasnąć z rozkoszy na wieki.

Jakoż temu, który leży na owej sofie w głębi pod oponą z jedwabiu znać z oczu, że marzy o miłości i śmierci;

bo choć lubieżny uśmiech usiadł mu na ustach, bo choć tyle wzruszony, iż bliskim rozczulenia się wydaje, dosyć raz przebiegnąć owe rysy naciągnięte, rozognione rumieńcem gorączki, by wyczytać, iż śmierć niedaleka mu grozi, a to nie łagodna, na spokojnem łożu, ale taka namiętna i rozpasana w boleściach, jak rozpasaniem było jego życie w chuciach i czynach.

Leży na posłaniu, ale trudno mu doleżeć jeszcze chwili na niem, choć pragnie się wstrzymać i krwi zimnej dowieść, bo wie dobrze, iż spotkał się z duszą pełną i statku i hartu; bo chce inakszym się pokazać niż był przed laty; nie już po dziecinnemu i prosić i domagać się, ale jako na męża przystało znagłać i rozkazywać.

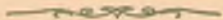
Napróżno, napróżno; jakąż siłą potrafi zaprzeć w siebie ten dreszcz, który po nim bieży? Krwi bijącej nie odpłoszy od serca, od skroni, żadnym sposobem; on syn pustyni ssiał promienie jej słońca w kolebce i z nich spieka na zawždy została się w łonie; a zatem zgrzytnie i rękoma uderzając o łoże odeprze się od niego; skoczył, stoi wśród namiotu na przeciwko niej. Tu jeszcze walczył z sobą samym, ale nie zdołał wystroić liców w pogodniejszą barwę. Tu jeszcze drżąc załamywał dłonie, chcąc im nadać pozór niewzruszoności, ale krew coraz zażarciej wre mu po żyłach; by zmąsły odzyskać, głowę na chwilę odwrócić usiłuje. Ale niepotrafił, bo siła namiętności trzyma źrenicę jego wlepioną wprost naprzeciw. Poznał, że nie poskromi ognia, które zeń bucha — a zatem rzucił się jak wściekły, zasłonę rozdarł i oderwał z jej skroni i zatrzymał się dysząc, z potem na czole, obłąkanym wzrokiem, do szczytu znękany.

A ona wciąż zachowuje milczenie i z zwykłej powagi nie nie spuszcza; wprawdzie na jagodach znać ślady łez i smutek, ale kiedy te łzy wylała, o tem nikt nie wie; a teraz suche ma powieki i oczy posępne od wzgardy. Nuradyn wpatrywał się w nią i długo i długo. Dziwna, że tak nagle się uciszył, głos mu zasnął w twarzy i ramionach, jedno spojrzenia zawsze równie mocne, sypią iskrami na lica Maryny, i z czoła mu wyczytać snadno, iż w duchu głęboko się namyśla: zapewne nie trybem ludzi, którzy ważą na szali roztropności zamiary i doszedłszy brzegu przepaści wahają się nad nim, ale tak jak godziło się je-

podniósł głowę i to nie z namysłu — przypadkiem, nie wiedzieć dla czego, a nad sobą dojrzał gwiazdę, z którą biła się czarna chmura. To mu przypomniało, że kiedyś bywał w okolicy zkąd takie gwiazdy i takowe chmury widne bywały, że w tej samej okolicy urodziwa postać przechadzała się niegdyś, i chciał dalej przypomnieć sobie, ale gwiazda zniknęła, rysów tej postaci doszukać się nie mógł — i głowę spuścił na piersi.

Ku morzu, ku morzu kra Jaiku pędzi i z nią Agaj-Han. Żegnaj mi na wieki dziecię mojej wyobraźni, za chwil kilka pochłoną cię fale i przerzucić sobie twoje ciało będą. Życie ci przeszło na mękach, a mściłeś się zbrodniami na tych, których nienawidziłeś, na tej, którąś kochał. Teraz ty i ona jednym jesteście porwani pogrzebem; a wasze dusze kędy się podziały? Nie słychać było jako z waszych wykradały się piersi, nie słychać było ich lotu w przestrzeni, ale ona konając modliła się Maryi.

Królowo Polski! daj jej zasiąść u stóp twoich, bo korona carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie jej długą pielgrzymką, daleko od Ojczyzny, wśród obcych i zawistnych. Królowo Polski, zlituj się nad córą Twoją.





I.

W S T Ę P.

(Góry w okolicach Wenecyi. — Wschód słońca. — Na skałe Aligier i Młodzieniec w stroju myśliwskim).

MŁODZIENIEC.

Patrz przyjacielu! w jakiej purpurze Bóg dnia się zrywa. Bodaj by tak się rodzić człowiekowi i kiedyś tak ziemi panować! Patrz! jak ta biedna, ostatnia gwiazdeczka umiera — mówią, że tkliwe serca tak zwykły konać przed światłem geniuszu. O! słońce bywaj, bywaj! zajrzyj w te jary kędy dotąd lęgną się ciemności i mostami tęcz połącz brzegi tych bladych potoków. Tak mi świeżo — tak mi dobrze — tak bystro — ostro — tak daleko widzę — czuję, że dzisiaj nie chybię ni razu. Głęboko co na tamtym wierzchołku mech gryzie, niedożyje południa. — Ot! trąbki naszych od góry jodeł się odezwały — chodźmy!

ALIGIER.

Ja tu zostanę —

MŁODZIENIEC.

Aligier! co tobie dzisiaj? od kiedy słońce zaszło wczoraj, tyś do mnie nie przemówił słowa. Gdyśmy o północy zaczęli wdzierać się na skałę, w milczeniu stąpałeś stroną przepaści, znakiem ręki tylko ostrzegając mnie o niebezpieczeństwie. A teraz gdy łowy się rozpoczną, gdy od grania psów zadrżą wszystkie kory sosen, i ziemia i skały i duch w nas — ty się ociągasz, ty niechcesz być z nami?

ALIGIER.

Czy nie wiesz że o tej godzinie zwykłem modlić się do Pana? —

MŁODZIENIEC

To poczekam.

ALIGIER.

Czy nie wiesz że w samotności zwykłem modlić się do Pana?

MŁODZIENIEC.

To powiedz kiedy chcesz a wrócę po ciebie.

ALIGIER.

Wieczorem zastaniesz mnie na tem samym miejscu.

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego, człowiecze chodź ze mną, proszę cię, chodź — bez ciebie nie będę umiał celować. Aż na tamten szczyt nagi dostać się musim — tam kryształły rosną i dzikie zawieszają się kozy — chodź! strzelcy mówią że ztamtąd świat cały widać!

ALIGIER.

I ztąd można świat cały zobaczyć!

MŁODZIENIEC.

Jak?

ALIGIER.

Zamknąwszy oczy i ukorzywszy ducha przed Panem!

MŁODZIENIEC.

Znowu zatrąbili — bądź zdrow! teraz z góry na dół, potem znów w górę, w górę aż pod te obłoki. Aligier! serdecznie mi żal że nie chcesz iść zemną!

ALIGIER.

Nie podawaj się tak naprzód — czepiaj się gałęzi — widzę przecież — widzę — tylko nie oglądaj się ku mnie — ostrożnie tam, koło wodospadu! —

Już on mnie nie słyszy — lotem ptaka leci jak gdyby nie ciężał do ziemi — płocho, wysmukle, niedbale o pierwszej zorzy życia buja dziecię śmiertelne, podobne duchom, które już nigdy o śmierci nie posłyszają. Ale one znają tajemnice życia. Ono i o życiu nic nie wie. Jak eter, z którego błękitny uwite, zrość się może w bryłę ciemną lub

w jasne słońce lub w nikłą parę igraszkę powiewów, tak i ono wszystkiem być może lub niczem! — wybranym niebios lub ofiarą piekła!

(Wznosi ręce.)

Ojcze Niebieski! onych dni, zaciemniły się drogi Twoje na tej kuli ziemskiej. Twarz Twoja zakryła się obłokiem. Znów Cię ludzie szukają i znaleźć nie mogą. Ty wscho- dzisz. Ty wejdiesz — czemu oni patrzą w sam środek niebios? czemuż nie na widnokregi? — Ojcze Niebieski! ta chwila przejścia to straszny zmierzch oczom, to straszna pokusa myślom, to straszny ból sercom ich! Jeśli jej nie skrócisz, to wielu z nich poginie!

(Klęka.)

Za tym Cię proszę, Panie, któregoś duszę mi powie- rzył — wysłuchaj o niej świadectwa mego. Ona bezustan- nie, sama o tem nie wiedząc, ku niebu twemu się wy- dziera. Zaród wszelkiej piękności, iskra Twoja pali się w jej głębiach, tylko że ciało jako mgła wielka obeszło ją zewsząd — przez mgłę, duch, którego strzegę, szuka Ciebie!

I nie przejrzał dotąd, że Ty nietylko wysoko nad nim, nietylko głęboko pod nim, ale też i wewnątrz niego sa- mego przebywasz. Daruj mu więc Panie, że tęskni za Tobą.

I oto smętno mi aż do śmierci, Paoie, bo pora jego niewinności przemija — bo serce mu wkrótce rozedrze walka dobrego i złego, jedyna straszna matka cnoty. Wspomnijże i o mnie, Panie! — zmiłuj się nademną, miłując się nad nim!

(Zniża czoło do samej ziemi.)

A nie proszę Cię, Ojcze Niebieski, byś mu ujął co z trudów życia — wiem, że na wzór wszystkich wygna- nych w świat, a przez świat wracających ku Tobie, on próbę fałszu przebyć musi, gdy pokusy wybije godzina. Stań się wola Twoja — chłostaj go gradem boleści — poniz go wśród ludzi — niech mu włożą kajdany na ręce — niech ciało jego wycierpi męczeństwo. Jedno uskap mu hańby podłości, jedno zbaw go od wiecznej nocy Ducha! —

— A na to dozwól mi, bym go ostrzedz mógł w tej przedostatniej chwili.

— Niech dzisiejsza noc mnie słucho, gdy ją zaklnę Twojem Imieniem — niech wyziewy dolin i pary potoków

zlecą się do mnie, a ja z nich stworzę wiotkie postacie, natchnę je myślą Snu który jutrzejszej nie dożyje Zorzy!...

Ale w nim będzie prawda wiekuista Twoja i prawda doczesna tej ziemi.

A ten, którego miłuję, wspomni kiedyś o wiekuistej Twojej, i za to, Ty go zbawisz, o Panie!

(Długie milczenie).

MŁODZIENIEC (wchodząc).

Cóż to? dotąd na tem samym miejscu, pod tą samą jodłą, i dotąd się modlisz? daj mi rękę — wstań.

ALIGIER.

A ty tak prędko wróciłeś, Henryku?

MŁODZIENIEC.

Czy śni się tobie? wszak porzuciłem cię o wschodzie słońca, a teraz, patrz! ono z tamtej strony nieba za cypłe skał się chowa — Tak prędko! — a od kiedym cię opuścił trzy razy wzdłuż i wszerek przeszedłem Lodnik Hewaldyny, byłem na wierzchołku tych gór i po trzykroć trąbką odzywałem się z parowu — musiałeś mnie słyszeć?

ALIGIER.

Prawda — już wieczór.

MŁODZIENIEC.

Dzień ci więc przeminał jako jedna chwila?

ALIGIER.

Szczęśliwy komu tak całe życie mija — znać, on żyje w wieczności! — Lecz cóż się z tobą działo? co ta krew znaczy na twoich piersiach i na rękajeści noża?

MŁODZIENIEC.

O małym nie zginął — to nie krew lekkiej giemy lub niewinnego daniela. Słuchaj tylko, a zarazem idźmy drogą naszą, bo strzelców wyprawilem naprzód i nim ich dogonimy, noc będzie.

ALIGIER.

Zstępuję za tobą.

MŁODZIENIEC.

Otóż słuchaj! — strzeliłem do dzikiej kozy; spadła z urwiska, potoczyła się aż na samo dno przepaści. Wołam więc moich tyrolczyków, powiadam, wskazuję, ale żaden

nie był, nie widział, zatem sam muszę iść do jaru po zgubę. I poszliśmy we trzech, obchodząc daleko, szukając przeprawy, coraz niżej na dół, aż w bory ciemne, wielkie bory sosen. Czarno tam, a taki szum, jakby się każde drzewo modliło do Boga — idziem, a tu coś łamie się po gęstwinie, tuż przed nami, nie dalej jak na strzał — może sarna, jeleni może — ja do strzelby — patrzę — zapomniałem nabić — sięgam więc po nabój — aż w tej samej chwili niedźwiedź się wydobywa z zarośli — i stanął i wietrzy i ujrzał nas! — Moi od razu, razem oba wystrzelą — kule gdzieś po skórze tylko drasnęły niedźwiedzia. Stanął dęba i rycząc sunie ku nam — oni krzykną na mnie i pierzchnęli — krzyczą jeszcze i co tchu na bliskiej sosny wdierają się konary. Sam jeden zostałem — nie wiem czemu, bo jakiejże chwały człowiek dorwać się może w boju ze zwierzęciem, niewiem czemu, ale wstyd mi było uciekać. Ojcie moi nigdy czy z łowów czy z pola bitew nie uciekali. Strzelbę rzuciłem — nóż wyrwam z pochwy — a już kudłaty król boru siedzi mi na piersiach — jak człowiek chciał mnie opasać rękoma — pazury w żywe mięso mi cisnie. Natychmiast go pchnąłem w pierś i w pierś go pchnąłem raz drugi. Za trzecim się dopiero obalił — padłem z nim razem ale on już leżał podemną, bez ducha! potem strzelcom w oczy plunąłem i darowałem im skórę zakłutego — na pamiątkę podłości.

ALIGIER.

Pan cię obronił — za ocalenie podziękowałeś Panu?

MEODZIENIEC.

Może nie słowami, ale całym sercem czuciem, kiedym się zerwał, otrząsł i rad że żyję, wznosił ręce do nieba!

ALIGIER.

Są chwile, w których Pan więcej nie żąda od nas!

MEODZIENIEC.

Dziwna! anim o tyle nie opadł na siłach — takim rzeźki jak z rana. — Uważaj Aligier jak prędko schodzimy — już mieszkania ludzi niedalekie być muszą, kiedy to dziewcze tędy przechodzi. Hej! dobry wieczór śliczna! — czy nie słyszysz? czy się boisz? zatrzymajże się i daj mi konwalije, które trzymasz w dłoni!

DZIEWCZYŃKA (przechodząc).

Nie dam ich tobie, ale tamtemu —

MŁODZIENIEC.

A to dla czego?

DZIEWCZYŃKA.

Bo całkiem wygląda jak ten biały Anioł co stoi po prawej stronie Bogarodzicy nad naszym wielkim ołtarzem — ale ty z innych stron zapewnie, tyś nigdy nie był w kościele naszym, tyś nie widział tego Anioła — (do Aligiera). Dobry wieczór — proszę cię weź te kwiatki paniel

ALIGIER.

Dzięki ci, dziecię — bądź szczęśliwem, dziecię!

MŁODZIENIEC.

A zatem ja brzydki panienko?

DZIEWCZYŃKA.

I ty piękny, lecz nie tak jak Anioł!

(Przechodzi).

MŁODZIENIEC.

Daj mi połowę tych kwiatów, zachowam je na pamiątkę, że proste dziewczę uczuło to samo co ja, kiedym pierwszy raz w życiu cię ujrzał — prawdę mówi, prawdę — i nie tylko lica twoje urodziwsze ale i duch twój wznioślejszy od mego. Aligier, czy pamiętasz tę pierwszą chwilę naszego spotkania? Ona mi stoi w oczach gdyby terazniejsza —

ALIGIER.

I mnie również, bo o tej chwili stałem się przyjacielem twoim —

MŁODZIENIEC.

Ot! widzę ten stary budynek, w którego salach tysięcy rówienników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węża załamane wschody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny, na którym mi się sam objawiłeś — nie prawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorośle i wątle na siłach. Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! krzyczą „panicz, panicz,“ jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie

za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół, za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał — schodziłeś z góry taki sam blady, taki sam wysmukły jak dzisiaj, tylko że z okiem w płomieniach. Nikt cię nie znał — widywali cię tylko czasem i pamiętali wyraz twego czoła — krzyknąłeś — oni odpadli odemnie — jak liście suche odpadli odemnie. Daj rękę, Aligier, ja nigdy tej chwili, nigdy nie zapomnę.

ALIGIER.

O nie możesz, Henryku, ale słów, którem wtedy wyrzekł, pierwszych słów moich do ciebie nigdy nie zapomnij!

MŁODZIENIEC.

Tak — czuję jeszcze twój ucisk — słyszę jeszcze głos twój: „Oni niesprawiedliwi. Ty bądź więcej niż sprawiedliwy — przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach,“ potem zeszedliśmy razem, a tyś przechodząc wśród nich spokojnym czasami powtarzał głosem, „hańba wam.“

ALIGIER.

I od dnia tego nierozdzielni byliśmy —

MŁODZIENIEC.

I będziem do śmierci — bo od dnia tego wiem, żeś wyższy odemnie i za to Kocham ciebie.

ALIGIER.

Do śmierci mówisz?

MŁODZIENIEC.

Tak —

ALIGIER.

Ja umrę przed tobą —

MŁODZIENIEC.

Nie szpecę takiem przecuciem tej cichój godziny. Raczej okiem całym pijmy to światło złagodniałe — piersią całą to letnie powietrze, woniami róż dzikich natchnione! patrz! te ostatnie promienie na śniegu gór, ta gwiazda wschodząca nad szczytem skał, to uśmiech Boga nad nami — a ty zemną, a ty przy mnie — czegoż więcej nam trzeba?

ALIGIER.

Jeszcze raz ci mówię: Ja umrę przed tobą. —

MŁODZIENIEC.

Nie dobryś — przecież już ojciec mi umarł — i matka i siostra śpią w trumnie — i wielu z tych między którymi wzrosłem odeszło na wieki — groby ich marzą o mnie w biednej, dalekiej Ojczyźnie. Sam jeden żyję ostatni z rodu mego — a tybyś miał opuścić mnie także, pójść tam gdzie lepiej, nie zostać się zemną! nie — nie, Aligier!

ALIGIER.

Zaród śmierci czuję w tych piersiach — ale czyż żywych tylko umiesz kochać a umarłych nie? Duch mój wszak nie umrze w tobie choć postać moja odleci? Z serca do serca przeskrydła się myśl! — czegom pragnął, o com się modlił, ty wykonasz — a pragnąłem byś był mężem wśród ludzi — wśród duchów niebieskich Aniołem! Kiedy już na te góry, na to niebo, na ten wieczór patrząc, radbyś czas w biegu zatrzymać i wołasz: „Piękny, piękny,“ Henryku! pomyśl jakim cudem na tym świecie dusza, na którą patrząc każdy wołać musi: „Ty piękną jesteś.“ Braciom twoim daj szczęście takie. Bądź wśród nich arcydziełem!

MŁODZIENIEC.

Czy mi ostatnią wolę zapisujesz? Aligier daj pokój — niechcę słuchać tego — zwiąłeś mi wszelkie przezrocze z błękitu niebios — zasłona jakaś roztacza mi się przed oczyma; powiedz, gdzie jesteśmy? co to się znaczy? przecież już nam blisko było doliny? Dziś jeszcze, kiedyśmy razem o brzasku tędy przechodzili, krzyż, tu na prawo, gdzieś widziałem! gdzież się podział?

ALIGIER.

Idź za mną.

MŁODZIENIEC.

Alboż znasz lepiej kraj ten odemnie? ot! wschodzi księżyc, przyjaciel mój — on mi rozwiąże zagadkę.

ALIGIER.

Czekajmy więc.

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego! im więcej światła przybywa, tém bardziej niewidzianą nigdy wydaje mi się okolica — niech

tylko opadną te wyziewy — tam, tam bieli się droga — nie — to mgły wstęga na łące. Hej! czy niema tam kogo! Hej! hola! odezwijcie się — wystrzele — może nas usłyszą!

ALIGIER.

Góry usłyszały i odpowiadają.

MŁODZIENIEC.

Jaki grzmot echowy! — czy pojmujesz jakim my sposobem zablądzieli? zdaje się, szliśmy wciąż jak się należy — w tem, jedną razą, czy uważasz, potrojone skały — same niebo się odmieniło — tam morze z chmur jar zalało i jak niewzruszony Lodnik świeci. Ztąd wstają wyziewy, snują się, snują aż w mózgu się zawraca. Teraz ciemno choć oczy wykłuj — ot! znów księżyc górą a taki jaskrawy, przykry! Aligier! ja już nie trafię do ładu.

ALIGIER.

Czego więc czekasz? — idź za mną!

MŁODZIENIEC.

Na lewo tym ciasnym wąwozem?

ALIGIER.

Takie natchnienie moje!

MŁODZIENIEC.

Pójdę, gdzie chcesz, szukaj, kraż, wstępuj w górę, schodź w dół, wszystko mi jedno — nim zorza zejdzie, musim błądzić wciąż — nigdym takiej nocy nie widział — kto wśród niej mądry będzie, ten albo wielkim tych puszczech dziedzicem, albo giemzą, tych skał panią — Hej! gdzie ty? odezwij się!

ALIGIER.

Tu obok.

MŁODZIENIEC.

Przeklęta mgła, buchnęła mi z pod samych stóp — zamęciła oczy — a teraz sobie w górę płynie do tamtych siostr — patrzaj! czy to nie stary król na tronie z brodą, z berłem w ręku — za nim zaraz wąż ogromny — nie, smok raczej — nie, już teraz czteroskrzydlny Cherubin — a tam, ot! tam w przedziale między skałami, widzisz cały naród cieniów spieszy na sąd ostateczny! — a to co? na czymże się ja tak potknąłem?

ALIGIER.

To, wywrócone wrota za któremi stary cmentarz leży.

MŁODZIENIEC.

I właśnie księżyc teraz zaświecił jak blady czyściciel dusz nad tym cmentarzem ciał — przed chwilą jeszcze taki rzeźki byłem, lżejszy od powietrza, a w tej chwili tak mi ciężko, tak serdecznie źle — nie wiem czemu i z kąd — chyba mnie te stare nieboszczyki urzekły. Gdybym usiadł na tem kamieniu, zdaje mi się, zasnąłbym.

ALIGIER.

Oprzyj się na mnie.

MŁODZIENIEC.

Dobrze, bo kleją mi się powieki i chciałbym tu zostać.

ALIGIER.

Dalej jeszcze trochę — aż do tej białej kaplicy!

MŁODZIENIEC.

Dobrze — ciszej nam będzie pod dachem, niż na tym wietrze!

ALIGIER.

Czemu więc stajesz? idźże!

MŁODZIENIEC.

Boże! czy wzrok mój oszalał od jadu tych wyziewów? albo czy śpię już i śni mi się?

ALIGIER.

Co widzisz?

MŁODZIENIEC.

Czoło twoje dziwnie żółkło w tych miesięcznych promieniach — oczy tak ci zapadły — wychudłeś — zdajesz mi się coraz starszy, wyższy — czy to ty?

ALIGIER.

Ja, Henryku!

MŁODZIENIEC.

Głos twój tylko jeden podobny do ciebie. Teraz marzy mi się, że wieniec laurowy błysnął koło włosów twoich i krąży i znika i znów się pokazuje — odpędź go — ja się boję ciebie — nie pójdę dalej. Sen mnie tłoczy ku ziemi — pa-

dnę — daj mi upaść! Bóg widzi żem twarz gdzieś podobną
oglądał — gdzieś....

ALIGIER.

Jeszcze kroków kilka.

MŁODZIENIEC.

Gdzie to było? — gdzie?... A znam ten wieniec, znam
ten podziemny ogień w oczach, z innego świata przynie-
sion! — Taki obraz w sali godowej, w domu ojca, na obiciu
w gwiazdy srebrne, na obiciu zielonem, w domu ojca.....
Tak. I ojciec mawiał, że przed laty człowiek ten zwiedził
piekło i czyściec i w raju był..... Mistrzu, mistrzu, gdzie
mnie wiedziesz?

ALIGIER (wnosząc go do kaplicy).

Teraz możesz zasnąć.

II.

SEN. *)

Zdało się młodzieńcowi, że się postać Danta ku niemu odwróciła i rzekła: „Kędy wiekuista Miłość i Rozum i Wola, ztamtąd mnie posłano bym ci pokazał piekło dni „teraźniejszych — zbadź więc trwogi wszelkiej i kędy idę, „idź!“ I jak słup bladawy uniosła się postać w przestwór ciemny i po mglistych stąpała wyziewach, gdyby po falach nadpowietrznych. Czasem z pod jej stóp wyrывał się nikły meteor, a ztąd i zowąd podnosiły się szare brzaski i przepływały i gasły w oddali; — a duszy młodzieńca stało się bardzo smętno, bo nie wiedziała dokąd idzie, a szła w nieskończoność i czuła, że w nieskończoność złego.

Postać zatrzymała się na szczycie góry jakiejś i niby we wnętrza jej zstępować zaczęła, a rozwidniało się stopniami i z obu stron drogi stały kute w skale ściany — przez ciasne strzelnice śniady świt się wdierał — przy ścianach, na prawo, na lewo, zbrojni, w jednakim stroju, wszyscy równi wzrostem, wszyscy jednakowi tym samym liców wyrazem, a ciągłym ruchem to garbią się, to prostują, czyszcząc żelazne lufy, które trzymają w ręku. Postać dotknęła powiek młodzieńca znikomem dłoni powiewem, mówiąc: „Przejrzyj — boć tu zaprawdę wstęp do piekła na ziemi.“ A wnet obaczył dusze onych wszystkich, na pół z ciał wychylone, nie mogące ani wstąpić do nich napowrót, ani też w pełni się oderwać — i targając się, płakały: „Nam ni żyć, ni umrzeć — gdzie każą, iść musim — przeciw Bogu, a idziemy, przeciw braciom, a idziem — biada nam!“ — I płacz ich był nieukojony. Postać stanęła, pytając: „Mówcie czem wy i jakie imie wasze?“ — Lecz usta onych ciał wszystkich nie nie

*) Ułamek ten pierwszy raz był drukowany u Günthnera w Lesznie w 1852 r. pod tytułem: SEN, pieśń z niedokończonego poematu.

odpowiedziały, — „Gdzie ojczyzna wasza?“ — A oczy onych ciał wszystkich podniosły się w górę pełne podziwu. „Gdzie dom wasz?“ a wśród ócz tylu niektóre tylko upuściły łzę jakoby mętnego wspomnienia. Lecz ramiona wszystkie coraz żywiej się ruszały, gładząc wciąż lufy i ostrząc kolce bagnatów; — aż z nad niemych ciał odjękły wszystkie dusze razem: „Dziećmi nas jeszcze zagnano w świat — kazali nam zapomnieć o sobie, a drugich zabijać — kto się opierał, ten sam jak zdrajca, kulą zabity, legł — a teraz nie pamiętamy zkądeśmy wyszły, ni wiemy gdzie pójdziem.“ A na to im blada postać: „Dawniej, kiedy męże stawali do boju, znali jakiej sprawie służą i czemu trzeba umierać — oni jako Bogi wojny, a wy jako jej bydłęta.“ I jednym skinieniem rozerwawszy łańcuch zbrojnych, poszła postać ku wschodom co się wiły w głąb.

Za wieszczem zeszedł młodzieniec w ciemne podziemia — nagle potop światła roztoczy się przed nim; ujrzał mury czarne i kraty i obręcze z łańcuchami wpojone do murów i w lampach alabastrowych lubieżne płomienie i jedwabie kobierców na ziemi — i mnóstwo ludzi koło jednego człowieka, który na wyniosłem krześle, biały i wysmukły jak niewiasta, przewraca kartki księgi czarnej. Przed nim krzyż marmurowy, olbrzymi, pod same sklepienia — i rozpięty na krzyżu posąg Chrystusa. Od stóp do głów wzdrygnął się cień Danta i rzekł: „U starych potępieńców nie spotkałem tego świętego znaku. Oni przynajmniej nie umieli bluźnić Bogu, Boga samego imieniem — ale patrz i słuchaj.“

Przełożony nad mnóstwem, schylił się i ciągnął z pod stóp krzyża ciężkie wory złota. Wszyscy, którzy tam stali, kołem przystąpią do niego — wszyscy wyciągnęli ręce, pot chciwości kapie im z czoła. On im płacę rozdając uczy ich, a głos jego piszczący i drgliwy jak zgrzyt ryłca po szklannem zwierciedle: „Gdziekolwiek się wkradnicie, bądźcie uprzejmi i słodcy — w domu starożytnego pana sypcie dumie pochlebstwa — w domu ubogim przymilajcie się nędzy. Gdzie mąż nęka żonę, pocieszajcie ją — gdzie ojciec synom skąpi, pożyczcie im grosza. Wszędzie gdzie silniejszy słabszego uciska, bądźcie słabszemu obroną, a wszystkie ich skargi i nadzieje, jak skarb ukryty, staną przed wami otworem. Jeśli kto ponury i milczący, sami

zaczniście rozpaczać, a krzyk wasz obudzi głos jego. Jeśli gdzie młodych spotkacie drżących niecierpliwie do czynu, zwiążcie ich zaraz strasznemi przysięgi — dajcie im pod szaty tajemnicze oręża — bo z ludźmi jak z kłosem — im pełniejszy, tem prędzej wykruszon! — A pamięć wasza niechaj będzie chciwa, ostra, nieskończona. Gdy wiatr trąca liście po drzewach, obzierajcie się za tym szumem — szpilkę gdy znajdziecie na drodze, podejmcie ją i przynieście tu, więcej ona warta niż miecz — bo gdzie miecz leży, tam już nie czas! — Kochajcie dzieci i bawcie się z niemi; — jak motyle na kwiatkach, tak na ustach niedorośłąt siadają czasem ich rodzin tajemnice. Wiedza jest darem darów. Ciała wszystkich, w jednym się nie zmieszczą więzieniu, ale głowa jedna zdoła objąć myśli wszystkich i jak wieczne więzienie sklepienie zawisnąć nad niemi! — Idźcie w świat.“ A owi wszyscy ciężarni złotem poznikali jak mary.

Z drugiej strony lochu, zwinęła się różana makata, drzwi się za nią roztwały. Weszli posługacze, wiodąc pod boki człowieka w łańcuchach, który się wyprostował i ryknął jak zwierzę: „Dajcie jeść, dajcie pić — wczoraj ojciec umarł z głodu — dziś rano matka skoła — a mnie pali gorączka, i ja umrę w nocy.“ Skinął przełożony, a wnet podniosła się naprzeciwko lazuruwa makata, za którą błysnął stół gnący się pod srebrem mis i kryształem czar. Rzucił się zgłodniały — ale wstrzymali go: „Wprzódy przysiąż nam na wierność.“ „Jeść, jeść! a przysięgnę potem.“ Na to rozśmiał się wysmukły i wskazał na krzyż, a konający padł na kolana przed krzyżem.

I zdało się młodzieńcowi, że głos przełożonego wzbił się jak syk węża: „Na Trójkę świętą i na mękę Pańską, co obaczę, co usłyszę, czego się domyszę, donieść tu przyrzekam, choćby jęk brata, choćby siostry westchnienie. Jeśli co przyjaciele, jeśli co krewni knują wypowiem, a niech ich gardło pod nóż kata się dostaje. Gdybym co zataił, niech sam zginę przybity do deszczek i rwany kleszczami, palon ogniem i pojon trucizną.“ Ale klęczący nie chciał powtórzyć słów onych i padł na ziemię wołając: „Umieram!“ a wysmukły odrzekł mu: „Umieraj!“ i założywszy ręce czekał.

Nastąpiło wielkie milczenie — i zdało się młodzieńcowi, że się sam pyta postaci: „Mistrzu! gdzie są dusze tych ludzi, że nie widzę ich, choć wzrok duchów od ciebie przyjąłem.“ A postać: „W sprawiedliwości Boga nie znalazło się dość srogiej kary na nie — zatem w wiekuistą puszczone pogardę, ztożsamiły się ze swemi ciałami. Im tylko wśród wszystkich świętych dar żywota odebran, i gdy te ich pierwsze ciała się rozwiążą, ich samych nie będzie już nigdzie.“ W tem podrzucił się zgłodniały w stronę zastawionej biesiady — „przysięgnę,“ szepnął, sypiąc skry oczyma, a przełożony podał mu rękę i postawił go znów na kolana. On zaczął przysięgać!

I mara jakoby anioła, z zasłoną na czole, wyjrzała z przestrzeni, krzyż broniąc kręgiem skrzydeł swoich — i dopóki trwała przysięga, stał anioł rozpostarty przed krzyżem — lecz go nikt z tych wszystkich widzieć nie mógł. A gdy skołał ostatni wyraz przysięgi, gdy ciało zgłodniałe wstawszy wlokło się dalej, twarz anioła pokryła się wielką śniadością — i zasłonę rozdarł wołając: „Dusza jedna, Panie, zginęła!“ Ten krzyk na wskrós przeszył serce młodzieńca i zdało mu się, że musiał spuścić głowę z nieznośnego bólu.

Gdy oczy podniósł, wszędzie ciemności, a środkiem ich płynęły blade cmentarze, pełne sterczących rusztowań i kości niepogrzebanych, płynęły jedne za drugimi jak nawalne chmury. Z nad nich wzbijały się jakoby tumany liści jesiennych z szumem żałobnym — pełno tam głosów męszowało się razem, a wszystkie skarżyły na donosicieli — i niewieści szloch i dziecienny płacz i mężów donośny jęk. A cień Danta rzekł do nich: „Przyjdzie na was czas niebożęta i żyć będziecie podwójną wiecznością — waszą własną i tych, którzy was zgubili — bo z nicości im przeznaczonyj wycofnie się duch i przejdzie do was. Uciszcie się więc, o nieszczęśliwi!“ — A gdy tak mówił, zapłakał sam!

I napowrót szedł ku powierzchni ziemi, aż znów wstał pomiędzy zbrojne, którzy już stali teraz pod bronią jak rzędy posągów. Dźwięk trąb i bębnow odmierzał im spadkami czas i tryb życia. Jedni odchodzili na spoczynek, drudzy jak glazy na ich miejsca się wbijali, inni wzięwszy na cel leżących na ziemi więźniów, strzegli ich wiecznie

z palcem na cynglu, z kolbą w piersiach, z okiem bez ruchu, nie oddychając. Czasem, gdzieś z tyłu, gdzieś po bokach, odzywał się huk rozstrzelania; — a w miarę jak młodzieniec za wieszczem się posuwał, rozstępowały się ściany wykute w skale, coraz szersze chwytając przestrzenie, aż pobiegły każda w stronę swoją, na wschód i na zachód, póki dosięgną zdoła oko.

Pobiegły — cały przestwór, zda się, ogarnąć chcą — i rosną w szerz i rosną w górę, lgnąc do widnokręgu kamiennem obiciem — sklepieniu niebios podścielając się kamieniem sklepieniem, aż stał się gmach ogromny jak świat; granitowy, szary, bez błękitów i bez zieloności. A w tym świetle ujrzał młodzieniec jakoby marę słońca w wielkiem oddaleniu, przybitą do pochyłych gzymsów i świecącą wiecznie ukośnemi promieniami. A blask ich wydawał się raczej jak choroba światła, niż jak samo światło; — i w tej śniadości przechadzały się tłumy niezliczone jakoby narody ziemi, — i jako huk mórz wielkich, gwar ich mowy tłukł w ściany świata tego i rozbijał się.

Dusza marząca, dusza młodzieńca zapytała: „Mistrzu, gdzie jesteście?” a on jej na to: „W świątyni, w której ludzkość zamieszkała na dzisiaj, ale w której Boga nie masz.“ I wstąpił zaraz między zgromadzone przy wejściu siedzących. Każdy miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki jak trumna — i nosił na głowie lampę, którą schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiosł narzędzia. I każdy z nich pracował rękoma, z osłupiałym wzrokiem jak u obłąkanych; — i ujrzał młodzieniec takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki — i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. A ile razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się na tem olbrzymim sklepieniu, ten i ów, tu i owdzie, spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się staczał. Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre obłoczki w kształcie kół zębatych, stęplów, lewarów, wznosiły się i płynęły równoległe do ziemi, wszystkie w stronę żółtego, odległego słońca.

A na widok wieszczki powstali ci ludzie, tłukąc lampy swoje i krzycząc: „Jeśliście Bogi lub czarty, a wszystko

nam jedno, o których slyszełiśmy kiedyś, złota dajcie, złota!“ I trzęśli się jak kościotrupy, z wyciągniętymi rękoma. Zapłonila się blada postać Danta krwią gniewu i odparła im: „Opętane najemniki;“ a oni poupadali na ziemię jak martwe bryły przed Duchem.

I zapłonila się powtórnie postać, lecz jakoby krwią natchnienia, mówiąc: „Iżali mnie zrozumiecie, gdybym wam o przeszłości prorokował? Kiedy ciało moje jeszcze z tamtej strony grobu w szczerym blasku słońca szło ku grobowi, byli także na onczas wyrobownicy na ziemi, a chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież. Szkarłatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku; — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na łądzie sypać niezdobyte szańce. Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew! — Co wy dzisiaj, z palcami jak wosk miękkimi poczniecie, wy, których usta nie zmówiły nigdy pacierza? wy bez sił na ziemi i bez nadziei w niebo, a łaknący złota?“ — A chłopię śliczne jak anioł, ale zwiędłe przed czasem od pracy rąk, przyczołgało się — i głowę kładąc na stopach widma, rzekło po cichu: „Zmiłuj się nad nami! Co w dzień zarobim, w wieczór pożywamy — a nazajutrz o świcie znów robić musim. Nie mamy czasu modlić się do Boga, jedno robić, by zjeść co, a nie umrzeć — i ledwo co zjadłszy, znów robić by jeść — zmiłuj się nad nami.“ A widmo stało się śniade, jak ten chłopiec, który mu włosami stopy obcierał — i wzniosłszy oczy w górę westchnęło: „Przeszłość nie powróci — dziecię! — módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiech.“ A chłopię odeszło szmerząc: „W niebiesiech może, ale nie na ziemi.“ — Tamci tymczasem zgrzytali, tarzając się w kurzawie. — I cień Danta przeszedł wśród nich jak nawałnica, unosząc się dalej.

A inne tłumy w środku świata tego stały pochylone nad ogromnym otworem. Twarze zazierających pływały w łunie czerwonej — grunt na około trząsł się od podziemnych huków — i zdało się młodzieńcowi, kiedy się przybliżył, że ujrzał jakoby łożę wyschłego jeziora, ocembrowane zewsząd kręgiem skalistych, prostopadłych ścian. A od głów ludzkich czarno tam w dole, od głów ludzkich miotanych jak fale w burzy — a od węgli palących się

krwawe światło tam, od węgli dymiących jak żuźle wulkanu — i nieustannie wzbijały się ztamtąd groźby i przekleństwa!

Jak matka dziecię przytula do piersi, tak widmo ogarnie młodzieńca rękoma i zleci aż na ciemne dno otworu. Tam wrą i kipią dzikie postacie — ich lica zarosłe kudłatemi brody — rękawy podkasane, ramiona sine od nadbiegłych żył — naprzemian kupią się i rozsypują — czołgają się po ciemnicy jak żmije, to w blasku ognisk zrywają się jak męże gotowi do boju. Koło najbliższego płomienia dwunastu rosłych jak olbrzymy, ukłękło — do pół ciała zdarli szaty z siebie; trzynasty przybył z sztyletem w prawej ręce, z czarą w lewej ręce, i rzekł: „poświęcę was.“ — Olbrzymy nabożnie pochyłili głowy, a on na ich barkach nagich, kędy odbłysk żarów się płomieni, ryje ostrzem puginału głoski krwawe. Z nich żaden ni jęknie, ni zadrży. Słowo „Równość“ i słowo „Wolność“ na każdego plecach ranami wykwiła. Wieszcz wtedy: „Patrz, jak ten człowiek zbiera w tę czarę krew kipiącą z ciał braci, zbiera każdą kroplę jej. Może myślisz, że on ją zachowa jako świadectwo męki, lub okaże ludowi jako godło zemsty?“ — A młodzieniec po cichu: „Mistrzu! czyż inaczej będzie?“ — Głos widma rozległ się jak łoskot podziemny: „Zaprawdę! on tę krew sprzeda kupcom na miejscu i o godzinie targów — przejdź więc i nie patrz na niego.“

A gdy szli dalej, rzesza jedna czarna wołać zaczęła, zataczając się wśród węgli gasnących: „Ehej, ehej! czyż na zawsze ciemny padół mieszkaniem naszym? nigdyż się nie dostaniem na powierzchnię ziemi, do przybytków kupców?“ — A druga rzesza powiewem rąk budząc śpiące żary, przejęła głos pierwszej: „Do świątyni złotego słońca, kędy dostać i słodkich win i smacznej strawy i cienkich szat, — do giełdy, kędy człowiek grą zdobywa potęgę, a od kolebki do śmierci rąk ni razu nie kaleczy pracą.“ A trzecia wylała pełne flasze oleju na ogień, krzyząc: „Bądźmy odważni, a wstąpię do giełdy narodów — przecież i u nas znajdują się piersi jak mur i kły jak u drapieżnych lwów; — a długie gwoździe weźmiem z sobą, bo nie mamy szabel.“ Wtedy wszystkie zgraży razem klasnęły w dłonie, rycząc: „Choć opierać się będą inne plemiona, my się we-

już dochodzą do stóp wystawy. Żołnierze zagrzegotali bronią i broń wymierzili ku mnóstwom; na chwilę wielka cisza nastanie — a inny kupiec wstał i zawołał: „Oto się targi rozpoczynają“ — i dzwony bijące, raz jeszcze uderzywszy razem, oniemiały w przestrzeni.

Wtedy kupiec zapytał się ludzi o wypadki dnia zeszłego — a w miarę, jak mu z dołu głosy przełożonych nad ludami książąt i mędrców odpowiadały, donosząc o waniach i rzeziach, o odkryciach i wynalazkach, stojący za nim wspólnicy radzili i układali się — i znów wielka cisza nastąpiła. Słychać tylko szept głosów kupieckich w granitowym świecie. Łuna nadpowietrzna zbladła, wszystkie dusze ludzi razem pobladły od oczekiwania!

A po chwilach kilku kupiec mówca ogłosił o ile się podniosły jedne, a zniżyły drugie ceny na ziemi. Wtedy z mnóstwa nieoddychającego wzniesie się nawałnica poklasków i złorzeczeń, krzyku i płaczu. Jedne zgraże wołają: „Z głodu pomrzemy!“ — a drugie: „Niech żyją kupcy wszechmożni!“ Jedne płasają wrzeszcząc: „My wygrali! wygrali!“ a inne: „O kupcy, o Bogi nasze! zmiłujcie się nad nami!“ I znów zaczęły się swarzyć i bić i mordować; znów jedne ciała poszły w dół, a drugie w górę, deptając po tamtych!

Trupów wiele ujrzał młodzieniec tratowanych przed wystawą; a po tych trupach porządkiem przechodząc, zaczęli żyjący wstępować na marmurowe wschody. Pierwsi szli książęta z berłem w ręku, z mieczem u boku, otoczeni wielkimi urzędnikami narodów. Sklepienie z żołnierskich bagnetów wzniosło się nad ich głowami i strzegło ich od stóp wystawy po pół olbrzymich wschodów; a tam kupcy zstąpili ku nim i ścisnąwszy im ręce, wiedli ich wyżej.

Za nimi wstępować zaczęli wszyscy przemysłni świata — rękodzielnicy i wyrobniki — lichwiarze i kramarze; jedni nieśli towary, drudzy wory spore, inni jeszcze powiewne papierów zapisanych zwoje. W miarę jak dochodzili połowy wschodów musieli stawać, a grzmiący głos z góry pytał się o imię każdego z nich. Oni odpowiadali nazwą rzemiosła lub towaru, lub rękodzielni, albowi też liczbą jaką — bo własnego, ludzkiego imienia żaden już nie miał na świecie.

A za nimi, z morza czarnego ludów, oto wydobył się orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w rękę, dzwigający na plecach, dawne jakieś miecze, koleczugi i hełmy. W tej samej chwili młodzieniec usłyszał w powietrzu: „Patrz na starej szlachty ostatnich potomków.“ I obejrzawszy się, ujrzał znów widmo za sobą.

Orszak wstępował po wschodach czarnych aż doszedł ich połowy i tam na szerokim stopniu marmurowym zasiadł. Każdy z tych ludzi wtedy zaczął nożem i młotem pracować koło zbroi, którą przyniósł — tłuc ją, rozrywać i łamać. A Widmo: „Patrz jak wybierają Damasceńskie złoto i Perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzone dyjamenty oddzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytnej chwały ponieść kupcom na sprzedaż.“ A gdy tak skarżył cień Danta, oni odłamki rozbitych zbroi rzucali na dół — i powstał chrzęst wielki tylu hełmów, pancerzy i kordów, zlatujących po marmurze i roztrącających się.

A syny dzielnych wstały i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem unizonym, by mogli wstąpić między książęta i handlarze. Dano znak z góry, że wolno im — wtedy podziękują i wzniosłszy głos zaczną się targować o cenę kosztowności onych! Scięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawołał: „Piekle dawnych ludzi nie bolało mnie tyle!“

I położył dłoń niedotkliwą na głowie młodzieńca mówiąc: „pamiętaj...“ Ale w tej samej chwili zdał się znowu zniknąć i stopił się z przezroczem przestrzeni — i nie było go!

Od środka świata, z podziemiów przepaści, wzbil się teraz posępny, wściekły wrzask, który przeleciał po nad głowy narodom i rozbił się o wystawę. Książęta i urzędniki na chwilę pobledli — ale kupcom twarz się nie odmieni — rozśmieli się tylko, głaszcząc brody siwe.

Szły ztamtąd olbrzymie postaci samym środkiem mnóstwa czarnego — szły na przebój i coraz bardziej rosły w oczach młodzieńca, aż poznał owych dwunastu poświęconych i ich wodza trzynastego, który ich prowadził, sztylet w prawicy trzymając, a w lewicy czarę.

A gdy zbliżał się do wystawy, twarz jego, po nad głowami innych ludzi, zdała się pryskać iskrami, nabiegać potęgą. Przywiódł swoich aż na pierwszy wschód — tam kazał im posiąść i czekać. Sam, nie pytając o żadne pozwolenie, a ręką odginając bagnety żołnierzy, wstąpił i w górę szedł — ogromny, niewstrzymany, potrząsając grzywą włosów jak lew!

A jeden z kupców zeszedł ku niemu i wprowadził go aż na sam szczyt wystawy, w środek koła radnego. W tej chwili zdało się młodzieńcowi, że nagle oczy olbrzyma pozbyły iskier i że gniew czoła jego mięknieje. Jednak stanąwszy wśród kupców krzyknął głosem podobnym do grzmotu: „Od sponiewieranych, uciśnionych i nędznych raz ostatni przynoszę wam pozew; — równy podział wszystkim, albo zgon wam.“ I głosowi temu odklasnęły zostawione na dole męczenniki — i głosowi temu wtórowały zgraje niektóre — i głosowi temu w oddali, odkrzyknęła przepaść!

Olbrzym schylił się i obosieczny puginał rzucił na posadzkę — potem jeszcze niżej się garbił i spuszczał, aż czoło jego zniknęło z oczu narodów — i tak przełamany, siadł na jednym z tronów kupieckich i cichym głosem zapytał: „Mówcie prędko — za tę czarę krwi, wiele dajecie dzisiaj?“

A gdy mu kupcy oznajmili cenę, którą byli naznaczyli, on odparł: „Nie dosyć za tę krew dzisiaj. Alboż wy wiecie, co się dzieje w przepaści? Alboż wy śmieli kiedy zstąpić do niej? Teraz, tam zgromadzeni wyją i czekają na powrót mój, piersi sobie kalecząc i rwąc włosy z wściekłości! Dziś, po tylu już zawodach znów zawiedzeni, może się zbuntują; — może już nie pochlebstwem, nie wymową, nie obiecankami, ale tym puginałem będę musiał ich spokoić. A wy się tu ze mną targujecie! O kupcy i pany ziemi! czyż błogi ciąg dni waszych nie wart trochę więcej złota?“ Kupcy mu na to: „Alboż nie codziennie to samo nam mówisz? jednak, byś nie narzekał, krwi, którąś przyniósł, podwyższamy cenę.“ I radząc między sobą, ofiarowali mu więcej. Lecz on znów odparł: „Nie dosyć mi za tę krew dzisiaj!“ I wznosząc czarę do góry, udał że chce wstawać z tronu.

Wtedy jeden z kupców, z przepaski purpurowej na czole odpiął ogromny dyjament, i rzekł: To gwóźdź z krzyża na Golgocie, co się tak przekryształił tej nocy, w której Bóg wasz skonał. Nazajutrz zaraz z rana prapradziad mój oderwał go z drzewa. Odtąd chowamy go w rodzie naszym. Mów, czy ci dość tego dyjamentu za krew twoich braci dzisiaj.

Olbrzym spojrział — i wnet zniżył czarę — i krew z niej całą wylał na czarny marmur przed stopy kupcom, mówiąc: „Gwóźdź moim.“ Żyd rzucił mu dyjament do próżnej czary, która w jękiwy oddzwoniła dźwięk!

I porwał się wódz poświęconych i brał się nazad ku narodom świata. Zstępując złorzeczył i groził aż przybył do swoich, którzy się podnieśli, pytając: „A co? kiedyż?“ On dumnym głosem im odparł: Wy tylko za mną idźcie teraz — dziś nie czas jeszcze — lecz przyjdzie godzina! I pociągnawszy ich za sobą, przerzynał się przez mnóstwo, w stronę przepaści.

Wtedy kupiec mówca oznajmił narodom, że wielki pokój i wszelka bezpieczeńność na ziemi; że każdemu godzi się wejść i zejść, handlować sprzedażą i kupnem! Na tronach w górze zasiedli wszyscy kupcy i wszyscy książęta — u stóp ich, orszak szlachty pokładł się na marmurze — głowy oparli o brzęczące wory, z których dusze kupieckie jęczały — w garściach ścisnęli zdarte ze zbroie klejnoty — i tak leżeli niewzruszeni, bezbronni, ze zmarszczonemi brwiami, z dużą łzą w oku! A ludzie wszelacy tłoczyli się wschodami nieustannie to w górę, to na dół, jak dwa nurty przeciwpłynne — i powstał gwar waśniących się i godzących się; — a na dole mnóstwo, hucząc, sprzedawało i kupowało także!

A były tam zgraje ponure i wołające, że chleb dzisiaj na zawsze straciły, — ale nikt ich nie słuchał! Stały tam całkie rzędy ludzi, jakoby chorych i trzęsących się od zimna, a żebrzących, — ale nikt na nie nie spojrział. Leżały tam gdzieniegdzie ciała stratowane, ustami jeszcze ruszające i szmerzące: „ratunku!“ — ale nikt im ręki nie podał!

A gdy tak działo się na ziemi, owa łuna dusz wszystkich, pluskając krwawemi polyski, coraz bardziej w prze-

strzeniach siniała. Na kształt sere, co jedne po drugich pękają, gasły i przepadały wszystkie jej ogniska, światelka, promienie. Wreszcie czepiając się gzymsów granitowych, czarną kopułą dymu zawisła nad gmachu ścianami — i słońce ono żółte od niej się zaćmiło — i gmach ten niezmierny zczerniał widnokreźnie od podstaw swych po szczyty swoje. Kupcy tylko jedni na tronach wśród tej nocy błyszczą. I świat był jako Giełda ciemna — a oni, jako króle świata!

I wszystkie te obrazy zachodząc jedne na drugie, mieszać się i psuć zaczęły przed okiem młodzieńca. Z mgły coraz posępniejszej i gęstszej znów wyjrzało widmo z twarzą smętną, lecz pełną pokoju — i młodzieniec usłyszał: „Odwróć się od tego piekła podłych!“ i chłód orzeźwiający jakby powiew nocnego wiatru z tym głosem Danta przemknął mu po skroniach.

Widmo ujęło go za rękę i poszło przodem — i szło po chmurach jakichś białych i cichych, wśród zapachu niewidzialnego ziela. Szafir nieba tu i owdzie się wynurzał — gwiazdki jakieś migwały w oddali — aż znów jęk wielki przybiegł z za tych chmur i rozległ się po nich i skończył; — a ledwo skończył, drugi się podniósł — i trzeci — i czwarty. A srebrne chmury się rozsuwały jak stado potworków łabędzi.

I zdało się młodzieńcowi, że na jednej z nich został wraz z Wieszczem — i że ztamtąd jak z wyniosłego ganku patrzy na szeroką równinę i szczerych błękitów krąg, którym pełnia księżycowa przyświeca. I zdawało mu się, że przed sobą, na polach onych, widzi wszędzie jakoby las z samych chudych i wysokich drzew — niby to sosny, a dziwnie obcięte — każda o dwóch konarach tylko i każda na osobnej mogile — a jęki nie ustawały; — owszem, częściej zaczęły powracać — a każdego z nich trząśnięciem powietrzem jak grzmot — jakby tysięcy ludzi cierpiących razem, przedśmiertny, słysznokreżny krzyk! Cień zapytał się: „Czy widzisz czyściec dni terażniejszych?“ Młodzieniec na to: „prócz niebios tych i boru tego, nie widzę nic.“ Wtedy wieszcz, wznosząc powoli ręce: „Potwórny widzeń dar przejąć musisz odemnie, bo wzrokiem,

którym przenikałeś podłych, ujrzeć nie możesz szlachetnych. Lecz wprzód, coć powiem, wysłuchaj uważnie!“

„Śmierci niema — są tylko straszne marzenia o niej. Pan nigdy i nigdzie jej nie pomyślał, bo wszędzie i zawsze sam żyje. Własnym znikczemnieniem tylko, zadać sobie można wiekuisty zgon; — a kto umrze tak, temu życia ni grobu już niemasz — spodlił się do nicości i znicestwiał przez podłość. Chyba po milionach lat coś rozbudzi się z niego — taki nie oczyszcza się, ni zmartwychwstaje. Lecz kto odżyć ma, ten przemienić się musi; — każde przemienienie, do czasu nosi pozór śmierci. Oto próba grobu!

„A w niej pełno szyderstwa i łez i bólu i złudzeń. Osobniki i całkie plemiona i ludzkość i światy muszą ją wytrzymać — każdy nieśmiertelny musi się jej dotknąć. Kto jej nie zniósł, ten zginął na zawsze. Bądźże lwiego serca teraz, bo tych złudzeń kształty oto się rozwiodą przed tobą.“ I dłoń przykładając mu do powiek tchnął na nie.

I zdało się młodzieńcowi, że z każdéj sosny boru tego, wytryska przed nim postać ukrzyżowanego męża. Ujrzał mnóstwo ciał w powietrzu rozpiętych, krwawych, drgających; — coraz ich więcej. W widmowem świetle księżycy tłumy ich za tłumami występują tu i tam i owdzie i dalej jeszcze i dalej; jedne obok drugich, jedne za drugimi aż pod sam widnokrąg się ciągną — cała przestrzeń żywa, głośna, konająca niemi. I poznał młodzieniec, że to naród cały w Chrystusowéj męce rozwieszon nad własną ziemią swą, i lzy zalały mu wzrok!

A Cień wtedy: „Nie odwracaj się ale patrz, choć wstrętno ci! By zwyciężyć ból, w ból wwieźć się trzeba. Uważaj, w tym lesie niezmiernym, pracą umyślną, potężną, każda sosna odgałęźniona i przeciosana w krzyż! Uważaj, każda podparta mogiłą z gruzu — a gruz ten, to żywych niegdys kościołów i zamków dziś sucha kość. I uważaj jeszcze, wszędzie między mogiłami jednakie odstępny — krzewów ni darni nigdzie. Jak skały przebudowują w miasto, bory te przebudowane w jeden cmętarz mąk. Doskonały kat tylko tak odmierza ból, tak porządkuje śmierć!“

I spojrział znów młodzieniec i zdało mu się, że widzi po tych wszystkich mogiłach, jakoby wstęgi mgły miesiącem osrebrzonej — a choć wiatru żadnego niema, to pod-

noszą się, to zniżają naprzemian, jakby cierpiące także i bezspokojne. I poznał młodzieniec, że to szeregi niewiast i dzieci, w białych szatach pod krzyżami stojące. I widać było ręce ich wyciągnięte ku wierzchołkom drzew, gdyby mnóstwo skrzydeł bladych, chcących, a nie mogących wzlecieć — i z niemocy opadały na dół — a wtedy wszczynala się drżąca, modlitwiana pieśń, którą pochłaniał płacz!

A krew kapie i kapie z góry na te tłumy śnieżne, i przelewa się przez nie — i ścieka pomiędzy mogiły; — a ztamtąd słyhać jakoby strumieni wzbierających szum. I znów zdało się młodzieńcowi, że go Widmo upomina: „Nie odwracaj się od tych topniejących mnóstw i od tych czerwonych potoków. Teraz idzie na wszystkie ukrzyżowane śmiertelny, przepływny dreszcz — skonać nie mogą, ale muszą konać tak, a ty widzieć to! Rozkazując, patrz!“

A nim jeszcze spojrział, już usłyszał jęk z tysiąca tysięcy krzyżów, rozgrzmiewający się — i wszystkie drzewa od kończyn równiny zaskrzypiały — i wicher powstał od tyłu głosów rozdzierających i wiał tu i tam! Wszystkie ciała jakby jednym bolu podrzutem schwycione, trzęsą się i szarpia, każde na krzyżu swym — i jak po piorunie letni deszcz, tak wszędzie krwi gęstsze puściły się strugi. I zwolna przemija ta burza mąk — stopniami umilkła równina — znów na wszystkich krzyżach niewzruszenie, porządnie — wszędzie cicho znów — krwi tylko słyhać nieustanny spad!

I oto przez powietrze przeleciał śmiech rozrzynający je. I spojrział młodzieniec w stronę śmiechu tego, pod sobą zaraz; a tam na czystem polu przed pierwszym rzędem krzyżów, czernieje kopiec wysoki z samych rozwalin i węgli, jakby ostatek miasta po wielkim pożarze — a z warstw popiołu wyzierają szczątki dział i połamana broń — i snuje się dym siny, opasujący stojącego na tych zgliszczach olbrzyma.

I w tej chwili promień księżycyca wpłynął nań. Znać koronę ze stali jakby plecioną z łańcuchów — znać płaszcz żołnierski i kajdanami podpasan, tylko że zamiast miecza, bicz rzemienny wisi u kajdan tych i aż do stóp moczarsa spływa. A gdy jęk ukrzyżowanych się odezwie, on głowę wyteża, przysłuchuje się: a gdy załrzmie niewieści szloch,

on odpowiada nań dłoni poklaskiem. A cień Danta rzekł;
„Doskonały kat! Słuchaj teraz, on ich kusić zacznie!“

I zdało się młodzieńcowi, że przechylił się z nad kopca ukoronowany olbrzym i że rękę wyciągnął ku umęczonym mnóstwom, a drugą trzymał na pasie z kajdan i na biczu, jakby na orężu jakim — i wołał; „Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, i ojczyzny i Boga — uznajcie mnie przeszłością i przyszłością, ojczyzną i Bogiem — a jakom kazał was powbijać na krzyż, tak każę z krzyża zdjąć. Tłuszcze me przywołam i zdejmą — i naród szczęsny uczynię z was! Dam jadła i napoju i wszelkiej obfitości moc. Będą jeszcze ciała zdrowe, świeże, tyjące, z waszych nędznych, podziurawionych ciał!“

Ale tłumy ukrzyżowane nie odpowiadały nic — zwykłym nawet nie skarżą się jękiem — krwi tylko wystąpił aż po za pierwsze krzyże szeroki prąd — i jak bałwan morski w brzeg, uderzyła w kopiec, a w bryzgu tym usłyszał młodzieniec jakoby słowo: *nie*. I śnieżne tłumy niewieście nie odpowiedziały nic — tylko gdy fala od kopca wracała, schyliły się i zerwały z ziemi dzieciątka swe — a całe rzędy dzieci onych, trzymany w powietrzu, krzyknęły: *nie!* A ledwo rozległ się ten tysięczny drobnych głosów szmer, wielka się jasność rozleje w przestrzeni — i młodzieniec oczy w górę wznosił!

A tam wysoko, wysoko, na samym szczycie nocnych błękitów, zdawało się, że z ponadniebnych głębi zstępują dwie drogi mleczne, przecinające się z sobą w jeden ogromny, jasno-biały krzyż — i na krzyżu tym widać było rozwieszoną postać, w coraz dolniejsze spływającą przestrzenie, z rozpostartemi nad światem ramiony, których łuk się rozszerzał i olbrzymiał co chwila. I ujrzał młodzieniec na tem czole nadniebnem koronę cierniową, jakoby z palących się a cichych piorunów. I na tych dłoniach i na stopach tych ujrzał jakoby ran trzy, błyszczących jak trzy czerwone księżycy — i nieustannie z nich lały się jakoby tęcze krwi — i każda tęcza taka spadając, przekrapiała się na roje gwiazd, które rozsypywały się i świeciły po niebie. I tak, w chwale i krwi, ukrzyżowana i stwarzająca, coraz to niżej i niżej spuszczała się postać, rozsloneczniająca przestwory pod sobą — aż z dróg mlecznych, które ją

niosły, stały się jak dwie bezmierne obręcze ze srebra, od wschodu na zachód i od południa na północ okuwające widnokrąg, aż z krwi płynącej stało się milion gwiazd, jakoby welon gwiazd, który przesłonił jej kształty. I wzrok ócz Jej tylko przebijał, jak dwie żywe błyskawice, które nie rozchodziły się na wszechświat, ale szły prosto na dół od nieba do ziemi i padały w pełni na ukrzyżowanych las.

I w tem spojrzeniu bożem wystąpiły te wszystkie ciała blade i zbroczone — i wszystkie te głowy, jakby trupie już, ze zgasłemi oczyma. I zdało się młodzieńcowi, że widzi naród cały zamordowany, pływający w morzu niebieskiej jasności — i zawołał: „Za późno! za późno!“

Wtedy cień Danta przyklekły na chmurze, wstał i rzekł: „Zaprawdę! zaprawdę! tu czyściec dni terażniejszych, bo wszelkie ciało na tych równinach umęczone — ale nad duszą narodu tego czuwa Najdroższy Utajony sam!“ A gdy młodzieniec płakał i bił się w piersi i ukość się nie mógł, mistrz dodał: „Nie płacz nad nimi ale nad tamtymi, nad szarym światem z granitu — bo tam piekło i rozpad i sądny zgon — a tu ból tylko! Wszakem powiedział ci: z bólu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwstania nie masz!“ A gdy tak mówił, zasuwawała się kurtyna chmur — a równina i las i niebo i wzrok postaci niebieskiej znikaly.

Coraz to chłodniej i rzeźwiej i jawniej. Wieniec tlejący nad czołem Mistrza zaczyna się roztopiać. Młodzieńcowi się zdało, że widzi znów wewnątrz jakiejś kaplicy i pola i góry i wschodzące słońce — i wyciągnął ręce wołając: „O Mistrzu! Mistrzu! pokaż mi niebo — owo trzecie — na ziemi!“

Cień Danta jeszcze raz skupił się w kształt i objawił całkiem śród napływającego światła. Lecz głos jego był inny, jakby już daleki, już wracający w chwale tam, z kąd przybył. „Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyściec — ale duch Pana zamieszkał wam w piersiach, — wyście jak przepaści — a w głębiach waszych tajnie ukryte błękitu. Wiarą wzbudźcie je w jaśń — skrzydłem woli świętej wnieście je w górę, wynieście na zewnątrz; — przed sobą, nad sobą, w okół siebie rozwidnokrećcie je Miłości czynem! Wtedy ono trzecie zacznie widomieć na ziemi — lecz ba-

czcie pilnie — żaden doń inny nie powiedzie tor — ni ślepy traf, ni przeznaczeń mus, ni swawoli dąs, ni żadnej pychy kłam. A biada wiekom! jeśli gwałty niebożemi kusić się będą o dóbr bożych łup; — bo do tyła was uszanował Pan, Stwórca wasz, że wolno wam z Nim staczać bój i ztem waszem zwyciężać Go; — lecz skoroście wygrali tak, wnet zwyciężony Wszechistny ucieka z was, a wam pozostaje w zamian wiekuisty brak, wiekuista śmierć, wiekuiste Nic. Czuwajcie więc nad losami planety waszego!“

I mdlejąc śród światła poranku — srebrząc się ostatnim śladem w powietrzu — coraz to szerszemi kręgi — coraz to przejrzystsze — jak wiry wód poruszonych — jak powiewów uciszających się tchnienia — jak sen co przemija, poszła postać Danta w przestrzeń — w oddal — w blask słońca — poszła w niewidzialność nieskończoności!

III.

(Karnawał na placu Ś. Marka w Wenecyi. — Kościół Ś. Marka i plac Dożów w głębi. — Mnóstwo masek na placu pod portykami. — Młodzieniec. — Bankier-Książę, wchodzący.)

CHÓR GRECZYNEK.

Eulaloe-lana! My z Archipelagu uciekły — z seraju Baszy pohańca uciekły. Czy widzisz ócz naszych ogniki? Zdejm nam maskę, zdejm! *Eulaloe-lana!*

CHÓR WENECYANEK.

Na czarnej gondoli niegdyś Patrycyusz i Patrycyanka! Róże, aksamit i perły, miecz, gitara i puginał — w koło szmery fal!

Po dziś dzień gondola, po dziś dzień róże, po dziś dzień szmery fal! — a reszta gdzie? — i sama, pusta, czarna gondola po falach z tą wiązką róż płynie!

CHÓR CYGANEK.

Do nas tu, do nas! Za groszaka przyszłość — za groszaka przeznaczenie; — o groszak, o groszak prosimy cię!

JEDNA Z CYGANEK.

Stójże młody panie!

MŁODZIENIEC.

Czemu mnie zatrzymujesz maseczko?

CYGANKA.

Dajże rękę, daj!

MŁODZIENIEC.

Chcesz przeczytać mi losy me?

CYGANKA.

Co tu pokrzyżowanych ścieżeczek na dłoni téj! wszystkiego podostatkiem — miłość — rozpacz — samobójstwo — burze — klęski — szczęście — natchnienie — szal; — Strzeż się kobiet, strzeż!

MŁODZIENIEC.

Więc mnie puść bym dopełnił przestrogi.

Pan Hrabia pewnoś w życiu jeszcze takiego karnawału nie oglądał?

MŁODZIENIEC.

W istocie nigdy! co za pstrokacizn tłum? co za mruzenie i pisk!

BANKIER-KSIĄŻE.

Skorom też list rekomendujący mi Pana Hrabiego od Rothmana i spółki, prawdziwego króla giełd europejskich, zawczoraj odebrał — natychmiast sobie ułożyłem w myśli, służyć sam Panu Hrabiemu za przewodnika śród dzisiejszej uroczystości — wszak dobrzem uczynił? wszak zabawnie i miło, kochany Hrabio?

MŁODZIENIEC.

Co mi tu najmilszem, to że błękity bez maski, że słońce to bez maski, że taką wonią fiołków rzuczanych rozpojone powietrze, że deszczem róż wszystkie te poczwary między sobą się biją! A jaki ten kościół tęczano-mozaikowy! a jaką przepaską koronkowych filarów ten pałac obwiązany! a to morze dalej, jakimże puklerzem jednym widnokreźnym ze srebra.

BANKIER-KSIĄŻE.

Wejdzmy pod same portyki — tam najwięcej porządnych masek. Będę mógł Panu hrabiemu pokazać osoby z tutejszego towarzystwa.

MŁODZIENIEC.

Szkoda, że ztamtąd ni morza, ni tych niebios nie widać; ale, kiedy książe chcesz, idźmy!

BANKIER-KSIĄŻE.

Musisz Pan Hrabia mieć namiętność do malowania krajobrazów, kiedy tak ciągle się zajmujesz powietrzem i wodą?

MŁODZIENIEC.

Wcale nie; — lecz wzrok Boga mi z po za nich osobliwie w tych stronach, przebija!

BANKIER-KSIĄŻE.

Aha! tylko dlatego! Widzę, drogi Hrabia exaltacyi pełen — zwyczajnie młodość, wyobraźnia! i ja też taki sam byłem, tylko że mi czasu nie starczyło do takowych spostrzeżeń; — musiałem pod ojca okiem w biórze siedzieć do

kantorka przykuty od rana po wieczór — inaczej nigdy-
byśmy książętami nie byli zostali; ale zupełnie taki sam
byłem, gdy miał lat osiemnaście. Oto jeden z moich ajen-
tów mnie szuka; na chwilę przepraszam Hrabiego. A co
Petrucio?

AJENT.

Stoją metaliki sto dwa i ćwierć.

BANKIER-KSIĄŻE.

Wstrzymać się jeszcze aż dojdą stotrzy — wtedy pu-
ścić hurmem!

AJENT.

A jak nie postąpią tak wysoko.

BANKIER-KSIĄŻE.

Wątp o słońcu że świeci, ale nigdy nie wątp gdy ci
zapowiadam ruch giełdczany jaki; — za godzin dwie będą
sto trzy!

AJENT.

A Jaśnie Oświecony Książę, gdy wszystkie od razu
rzucim na targ, to mówią że dom Pignateli i Merecz ucierpi
znacznie, może upadnie.

BANKIER-KSIĄŻE.

Właśnie dlatego — właśnie dlatego! — ruszaj!

(do młodzieńca.)

To bardzo niedoświadczony jeszcze, nowo wzięty do
mojej buchalteryi pisarz — lecz się wykształci. I ja taki
byłem, zupełnie taki sam, gdy miał lat osiemnaście. Czy
widzisz, drogi Panie, tego arlekina?

MŁODZIENIEC.

Widzę.

BANKIER-KSIĄŻE.

Najpoufalszy mój przyjaciel, prawdziwy przyjaciel!
Markiz, grand hiszpański pierwszego rzędu, kawaler runa
złotego, komandor Moncenigo, najstarszy szlachcic z całej
Wenecyi!

MŁODZIENIEC.

Z tym pół łokciowym nosem, z temi brzęczącemi szmaty
i tym czarnym z tyłu ogonem?

BANKIER-KSIĄŻE.

Tak, ten sam, ten sam! Jak się masz Moncenigo?
zarazem cię pod maską poznał. A to, to przyjaciel mój,

Hrabia z Polski, zarekomendowany mi zawczoraj przez Rothmana i spółkę — zapoznajcie się panowie! Przepraszam cię, drogi Hrabio, takie imię twe sławiańskie trudne, że nie mogę..... Lecz już nas minął Moncenigo — poleciał za tą dziewczyną w różowym domino — na drugi raz zapoznanie! — Prawda, jaki piękny i gibki mężczyzna! — przewybornie mu w tym stroju pół djablim, pół arlekinowym!

MŁODZIENIEC.

U nas w Polsce, gdyby się tak przebrał, powiedzianoby że.....

BANKIER-KSIĄŻE.

Że co?

MŁODZIENIEC.

Ot, na ustach mi się rozpląnęło.

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale powiedz drogi — ciekawym nader!

MŁODZIENIEC.

Roztopiło się!

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale proszę cię!

MŁODZIENIEC.

Pozwalasz Książę?

BANKIER-KSIĄŻE.

Konieczniam wymagam — zabawnego coś być musi!

MŁODZIENIEC.

Konieczniam każesz Pan?

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale musisz, drogi! Mówże, cóżby powiedziano o najwytworniejszym z naszych elegantów tak humorystycznie zamaskowanym?

MŁODZIENIEC.

Powiedzianoby, Mości Książę, że ojców dziarskich znikczemniały syn!

BANKIER-KSIĄŻE.

A to czemu? nie stracił ani grosza z ich majątku — do-
tąd wszystko ma!

MŁODZIENIEC.

Powiedzianoby, że dopóki po waszych rynkach chodzą obce najezdzniki przy pałaszach u boku, a z pychą na czole,

to wam nie za arlekinów się przebierać, ale w milczeniu wybohaterzać się na dawnej Rzeczypospolitej mścicieliów!

BANKIER-KSIĄŻE.

Rozmaitość obyczajów narodowych! Hrabia i politycznie widzę exaltowany; — ja taki sam zupełnie byłem gdy miał lat osiemnaście! A tego, tego czy też widzisz, tego mnicha z kosturem i w sandałach? To malarz pierwszy tutejszy — dobry dzień, Arpeggiani! Nie zapomnij obiadu u mnie we środę, punkt o siódmej. Drogi Hrabio, ja sztuki, uważasz, proteguję ogromnie. Po trzy razy w tydzień zapraszam wszystkich artystów czy pędzlem, czy muzyką, czy rymami się odznaczają. Cóż chcesz Hrabio! gdy się miliony ma, trzeba być wspaniałym. Pieniądz dziś czem było papieżstwo dawniej — więc ma się obowiązki. Trza też sypnąć czasem! cha! cha! cha! Tak dalece, że ludzie, no, naturalnie pochlebcy, o mnie głoszą, że Mecenasem tego miasta; inni, że z Medyceuszów rodem chyba. Może też nasze rodziny kiedyś tam się i powikłały! cha! cha! cha! Spójrz się na lewo, Hrabio!

MŁODZIENIEC.

Co takiego?

BANKIER-KSIĄŻE.

Śród tych dwóch rzędów masek co się rozstały, najpiękniejsza kobieta z całej Wenecyi, idzie naprzeciwko nas!

MŁODZIENIEC.

Ta oparta na ręku onego wysokiego mężczyzny?

BANKIER-KSIĄŻE.

Ta sama w czarnej sukni, bez maski. Szkoda tylko, niepowetowana szkoda, że od jakiegoś czasu chudnieje wciąż. Przypatrz że się jej! *per Bachcho!* oto mi rysy! oto mi oko! oto mi chód! wielkiej damy chód!

MŁODZIENIEC.

W istocie coś królewskiego.....

BANKIER - KSIĄŻE.

A co!

MŁODZIENIEC.

Kolana moje proszą się mnie, bym przykląkł!

BANKIER - KSIĄŻE.

Drogi Hrabio, bledniesz — czy słabo ci?

MŁODZIENIEC.

Nie, nie! O słuchaj! chciałbym w tej chwili być tą wiązką fiołków co w twojem ręku; — wziąłbyś mnie i rzucił pod stopy te!

BANKIER - KSIĄŻE.

Widzę, żeś Pan brabia exaltowany i co do kobiet — taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście. Zatem obowiązuję się kochanego Hrabie zapoznać z księżną. Lecz teraz niesposób, gdyż znać, spieszy się, — a potem, książę z nią — a to pan całą gębą i mówiąc między nami, to..... to.....

MŁODZIENIEC.

Przeszła! tak przeszła jak sen!

BANKIER - KSIĄŻE.

Jakżeż to powiedzieć?..... to..... to człowiek niezmiernie poważny, przytem niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem. Głęboko też rozumny — wielka figura — rozumiesz? nie wiem jak ci to wytłumaczyć?... to straszny człowiek!

MŁODZIENIEC.

Jakto?

BANKIER - KSIĄŻE.

Tylko na miłość Boga nie powtarzaj nikomu, drogi Hrabio; — ja uważasz, szczerym, otwartym z tobą, — boś mi Pan Hrabia zarekomendowany przez Rothmana i Spółkę; mówię zatem, czegobym drugiemu nie powiedział, nikomu drugiemu zarekomendowanemu przez inny dom mniej kapitalny, nigdy, słowo honoru, nigdy nie powiedział! Ale też za to nie zdradź mnie przed nikim. Czy mi dajesz słowo honoru?

MŁODZIENIEC.

Spójrz mi w oczy! czym do zdrajcy podobny? Zważ przytem, Książę, żeś mi nic nie wykrył, wcale nic, powiedziałeś tylko, że to straszny człowiek.....

BANKIER - KSIĄŻE.

Za wiele już i tak! chodźmy dalej, nie stójmy tu, nie spoglądaj Pan tak za nimi; jeszcze powiedzą, że nie za

Panią, tylko za Panem patrzysz! że jego ruchów pilnujesz!
Bóg wie czego ludzie nie wyklamią.

MŁODZIENIEC.

Ale któż to, powiedźże mi Pan wreście?

BANKIER - KSIĄŻE.

Książę Rahoga, bardzo znakomity człowiek. Rusz się
Hrabio z miejsca, w zakręt wejdzmy ten!

MŁODZIENIEC.

A ona?

BANKIER - KSIĄŻE.

Księżna Rahoga, żona jego!

MŁODZIENIEC.

Żona jego?

BANKIER - KSIĄŻE.

Tak!

MŁODZIENIEC.

Czy pewno żona jego?

BANKIER - KSIĄŻE.

A jużciż! cóż za pytanie?

MŁODZIENIEC.

A więc żona, powiadasz, że żona?

BANKIER - KSIĄŻE.

Powiadam, powtarzam, przysięgam, tak jak że dwa-
dzieścia tysięcy sześćset pięćdziesiąt i jeden napoleonów
w złocie, ni mniej ni więcej, leży w tej chwili w prawej
szufladzie szafy mej bankowej! Roztargnionyś Pan Hrabia
cóż w tem tak dziwić cię może?

MŁODZIENIEC.

Dziwić, nie dziwi — ale boleć, boli!

BANKIER - KSIĄŻE.

A to dlaczego?

MŁODZIENIEC.

Dziwak ze mnie! nie lubię żon! Idźmy dalej! Ja już
gdzieś tę postać powietrzną spotkałem — ale gdzie, gdzie?

BANKIER - KSIĄŻE.

Zapewnie w Rossyi, bo Rossyanka.

MŁODZIENIEC.

Nie bluźń! nie prawda! być nie może!

BANKIER-KSIĄŻE.

Na pewno wiem, że ani Włoszka, ani Niemka, ani Angielka; ze słowiańskiego jest pochodzenia.....

MŁODZIENIEC.

Polka być musi!

BANKIER - KSIĄŻE.

A może być — podobno tak nawet niezawodnie! Tak, masz rację pan Hrabia; istotnie przypominam sobie teraz jak mówiono niedawno, że spadło na nią dziedzictwo jakieś w Polsce, ale w tej Polsce, co to Rosyją jest!

MŁODZIENIEC.

Zkądżeś więc był sobie Książę wyobraził, że Moskiewka?

BANKIER - KSIĄŻE.

Alboż to nie prawie jedno?

MŁODZIENIEC.

Tak jak Ateizm i Religia jedno! — tak, jak dźwięk twoich sztuk złota, a szczyk Napoleonowej szabli jedno mości Książę!

BANKIER - KSIĄŻE.

Dla nas Włochów nie ma różnicy — ogólną Russa nazwą wszystkich północnych mianujemy gości!

MŁODZIENIEC.

Ah! powiedzże mi jej imię polskie!

BANKIER - KSIĄŻE.

Co tego to nie potrafię!

MŁODZIENIEC.

Chihotania tych masek mnie zarzynają! Co tylko wiesz, powiedz mi Pan o niej.

BANKIER - KSIĄŻE.

Opowiadano więc, że dziedzictwo jakieś niespodzianie spadło na nią i to w pobliżu dóbr znacznych, które sam Książę posiada także w tamtym kraju; — podobno gdzieś niedaleko miasta Odessy. Nawet przydawano, że Książę z tego bardzo zły!

MŁODZIENIEC.

Czemuż zły?

BANKIER - KSIĄŻE.

Usuńże się z drogi tym pędzącym Mandarynom! Widzisz Pan słyhać, że Książę wziął ją bez posagu, choć ze znako-

mitego domu — zwyczajnie z takiego, co to uświetnion her-
bami i chwałą, nie pilnował interesów, nie przejrzał jak my
finansisci, że tajemnicą, która władnie światem, pieniądz jest!
Tak, drogi hrabio! Ja się nieraz siebie zapytuję, gdy po no-
cach się przebudzam, jak Bóg świat stworzył bez pieniędzy;
musiał mieć kapitał jakiś i sypnął nim! Czyż gwiazdy nie
dukaty jego? cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

O Księżnie, o Księżnie mówmy.

BANKIER - KSIĄŻE.

Zatem Książę który sam posiada ogromne majątki wszę-
dzie, w Austrii, Szląsku, Włoszech i tam koło Odessy, zły
był, że się ona dostała do czegoś własnego.

MŁODZIENIEC.

Nie pojmuję!

BANKIER - KSIĄŻE.

Rzecz jednak matematycznie jasna. Wszak majątek
przynosi niepodległość, obdarza siłą, rozwija nawet rozum,
pamięć, wolę, wyobraźnię! a wszystkie te dary boże w żo-
nach, plagami mężom. Miał, miał na honor z czego być zły
Książę! Teraz nią rządzić tak jak dawniej już nie sposób!
deptać po niej już nie sposób! zamykać na klucz już nie
sposób! Znajdzie przecie takich co wybiją drzwi! Patrz,
Hrabio, co to pieniądz znaczy!

MŁODZIENIEC.

Alboż ją tak uciskał? męczył? więził?

BANKIER - KSIĄŻE.

Ponure rzeczy opowiadają, a można wierzyć, bo zazdro-
śnik niesłychany i żelazny despota!

MŁODZIENIEC.

Chyba ten Rahoga szatanem!

BANKIER - KSIĄŻE.

Niedoświadczonyś Hrabio! Proszę cię, proszę i zale-
cam, ciszej mów, — imion własnych nie wykrzykuj tak
w głos na publicznem miejscu. Zmiłuj się!

MŁODZIENIEC.

Jemu samemu w oczy bym powiedział!

BANKIER - KSIĄŻE.

Możeby bezpieczniej było niż za oczy — bo gotówby
przebaczyć, — a tak, gdy mu powtórzą, nie daruje!

MŁODZIENIEC.

Alboż tu wszyscy jego krewnymi, przyjaciółmi, sługami?

BANKIER - KSIĄŻE.

Nie! ale — ale czemś innem może!

MŁODZIENIEC.

Czemże?

BANKIER - KSIĄŻE.

Przedstaw sobie, drogi Hrabio, że u dworu ma wzięcie nadzwyczajne, niewypowiedzialne. Choć żadnego urzędu oznaczonego nie posiada, gdy przychodzi, drzwi cesarskiej sypialni same z siebie odmykają się przed nim, — a gdy wychodzi, panuje — wszyscy bledną — wszyscy biegną, gdzie skinie!

MŁODZIENIEC.

Lecz tu nigdzie w około nas pod maską ni Cesarza samego, ni dworzan wiedeńskich niema, by mię podsłuchawszy, zaraz pobiegli mu donieść. Samych tylko widzę szalonych, zapustami pijanych, skaczących Turków, Indyan, bogów i poliszynelów!

BANKIER - KSIĄŻE.

Nachylno bliżej ucha, Hrabio!

MŁODZIENIEC.

Słucham!

BANKIER - KSIĄŻE.

A szpiegów nie ma może na tym rynku Świętego Marka?

MŁODZIENIEC.

Jakto? co mówisz? Tej kobiety maż policyntem?

BANKIER - KSIĄŻE.

Któż no bo takie rzeczy przypuszcza? zkąd? jak? czym co podobnego powiedział? Ale gdzież tam policyntem? alboż Cesarz naprzykład policyntem? alboż gubernator miasta Wenecyi policyntem? a przecież i Cesarz i gubernator czytują sprawozdania policyi!

MŁODZIENIEC.

Więc czemże ten Rahoga? raz mi powiedz już a nie męcz!

BANKIER - KSIĄŻE.

Opisać go dokładniej panu Hrabiemu istotnie nie potrafię. Wie wszystko — trzęsie wielą rzeczami w pań-

stwie — i prześliczną żonę ma, z którą pana Hrabiego zapoznać się będą starał. Na kiedy, Hrabio, mam zapowiedzieć cię salonowi jej? bo jeśli się nie mylę, jużś zakonchany! cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

Pan ani pojęcia o nas niemasz — Polska ojczyzna bajecznym ci krajem, — nie wiesz jakie kwiaty uczucia wyduje najrozdeptańsza ziemia Europy, orana lemieszem klęsk, łzami zroszona pokoleń! nie domyślisz się nigdy spójni, co łączy jej ziomek; — acz się nie znają naocznie, skoro los ich zetknie, wiedzą zaraz o sobie że równi i ciż sami bolem bezmiernym. Dość, że Polką ona, bym ja Polak, na obcej tej ziemi, zaraz siostrę w niej wyznał!

BANKIER - KSIĄŻE.

Broń się, Hrabio jak chcesz, ja twierdzę żeś zakonchany; cha! cha! cha! a dobrze robisz, choć to trudna sprawa — dobrze na honor! Jakaż to kibić! jakie nóżki! bravo! bravissimo! cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

Mości książe! muszę cię jeszcze ostrzedz o jednym narodowym obyczaju polskim.

BANKIER - KSIĄŻE.

O jakimże?

MŁODZIENIEC.

Polacy byli wesolymi niegdyś, ale dziś sponurzeli w grobie, nie lubią żartów. Za pierwszym tylko razem je znoszą — za drugim, przestrzegają — za trzecim zaś albo sami giną albo ginie żartujący z nich!

BANKIER - KSIĄŻE.

Ale się nie gniewaj, panie Hrabio, ale się nie gniewaj! Jestem na jego usługi! Jakżeż? przez taki dom poleconyś mnie! przez Rothmana i spółkę! dom wszechmocny, gruntowny, wiekuisty! anim myślał cię obrazić panie Hrabio! dajże mi rękę, daj! — kiedy zechcesz zaprowadzę cię do Rahogów — dziś, mów, o dziewiątej, chcesz?

MŁODZIENIEC.

Dzięki najuniżeńsze Księżciu składam; odłóżmy nieocenioną łaskę Księcia na później. Zresztą i sam trafię do nich, jeśli po myśli mi będzie!

BANKIER - KSIĄŻE.

Tylko rozkaż drogi — kiedy tylko ci się przyśni, o każdej minucie na twojem rozkazy!

MŁODZIENIEC.

Racz Książę pozwolić, byśmy o czem innem mówili. — Widzę, ktoś za Księciem goni.

BANKIER - KSIĄŻE.

Drugi mój agent — A co Gregorio?

AJENT.

Przed pół godziną do stu trzech się podniosły — natychmiast wszystkie sprzedaliśmy hurmem. Pignatelli i Merecz dołem — wasza excellencya górą!

BANKIER - KSIĄŻE.

Doskonale Gregorio! wiedziałem że stanie się tak! Pignatelli więc i Merecz niezawodnie dołem?

AJENT.

Knę się na wszystkich⁹ świętych co w raj, że dołem.

BANKIER - KSIĄŻE.

Jakże mi spać będzie miło tej nocy. Wracaj do kasy Gregorio! (do młodzieńca.) Czemus tak zasępił się, drogi Hrabio? przykro mi, prawdziwie przykro! We mnie owszem humor naradza się wyborny — zdrowie jakies mi bieży po ciele od stóp do głów. Zapusty, to pyszna zabawa, — miasto Wenecya, to najpiękniejsze miasto Włoch! na honor, Hrabio, że tak jest! Hrabio, bawże się! chodź zemną do mnie na obiad! ożywże się — obudźże się — odezwiźże się!

MŁODZIENIEC.

Raczysz Książę się na mnie nie gniewać, że go pożegniam; — dość mi zabawy na dzisiaj. (wychodzi).

BANKIER - KSIĄŻE.

Ale proszę cię, drogi mój, zostań! gdzie się tak spieszysz, najukochańszy Hrabio? — Już odszedł! czy się wściekł? Jeszczem takiego exaltowanego nie widział. U tych Polaków siarka i saletra w żyłach, miasto krwi — pewno z niego Jakóbin! Ja od razu człowieka przepatrzę — pewno Jakóbin! nigdy się nie mylę! pewno Jakóbin! Jakóbin!

(Znika wśród tłumu masek).

V.

PODZIEMIA WENECKIE.

SCENA I.

(Ciemnia w podziemiach weneckiego pałacu. — Młodzieniec, Aligier).

MŁODZIENIEC.

Zgasł ostatni błysk księżyca na tych wschodach — nie już nie widzę — słyszę tylko szum wody nad głową!

ALIGIER.

Trzymaj się ręki mojej — jeszcze nam głębiej zstąpić trzeba we wnętrzości ziemi!

MŁODZIENIEC.

Czy cię nie męczy ta droga? te wschody w gruzach!

ALIGIER.

Każden spadek murów tu znam — wiem gdzie stopień każdy stał się sypkim pyłem, wiem gdzie inne jeszcze stoją cało — wnet też się i rozwidni — przeskocz tu, Henryku, tak, dobrze — teraz powoli i niżej i niżej coraz!

MŁODZIENIEC.

Dziwnie! skoroś tylko znikł z powierzchni ziemi, zda się, zdrowie ci wróciło — aż Bóg widzi, że te czarne przepaści, lubemi mi się stały. Radbym w nich zostać bylebyś tu żył zemną razem, długo i bezboleśnie.

ALIGIER.

Możebyś niegdyś był się tak dla mnie poświęcił — lecz teraz — o nie, nie! — boś już wstąpił w życie, a kto dotknął potoku ten przerobiony na falę, musi płynąć dalej. Ani też, Henryku, takiego poświęcenia potrzeba. Tem silny jestem, tem zdrów w tej chwili, że chcę i muszę w świat wspomnień i przeczuć, w świat ludzkości cię wwieść — gdy

wrócę rankiem na ziemi powierzchnią, ujrzysz mnie przy słońcu i znów powiesz: „Odchodzący.“ Lecz teraz nie myśl o tem — natęż ucho — wzrok zaostrz — całym sobą bądź przytomny sobie! wschody się kończą — czy widzisz tę kroplę światła w oddali!

MŁODZIENIEC.

Jakby zorzę maleńką co usiłuje wznieść a nie może!

ALIGIER.

Chodźmy!

CHÓR DALEKI.

Wy co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy co stawiać terażniejszość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości. Bo choć odmienne dzieje i różnych zdarzeń moc, pomysł wieczny jeden i prawda jedyna! ona duszą a świat pierśią duszy coraz szerszą, większą! — i jako człowiek jeden wolno się rozbudza ze snu, tak ludzkość cała przez wieki — i jako rozbudzający się rankiem coraz jawniej się widzi i czuje siebie aż powie: „to ja“ — tak i tej ziemi duch!

MŁODZIENIEC.

Idźmy prędzej — podsuńmy się bliżej — zorza rośnie a rośnie!

ALIGIER.

Słuchaj — znów śpiewają!

CHÓR DALEKI.

Każda myśl poczęta w Bogu, z Wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząstka prawdy, jako córka Boża, to sama cierpieć musi co Bóg-Syn przecierpiał wcielony! Objawi się wśród ludzi — opowie nieba część — i męczy się i krzyż swój nosi i grób swój ma!

Jedne zginęły przed czasem jak święte dziewice, inne w samej pełni sił, padły jak bohaterzy — inne, później doczekały trumny w poniżeniu, w nędzy, z wierzchołków zeszyły do katakomb życia — żadna nie skonała w białej szacie, w której zstąpiła na ziemię — żółcią i octem pojone, krwią zbryzgane zniknęły!

Ale każda zmartwychwstała w następnej — każda z grobu się podniosła w innym, wyższym ciele! Wy co

chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy co stawiać terazniejszość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości — bo dopiero tak z tych co przeminęły, jak z tych co przyjdą kiedyś, całość prawdy jest!

MEODZIENIEC.

Coraz światła więcej! zkądże ono przybywa? czyż znów sen cudowny mnie chytya?

ALIGIER.

Nie — wprawdzie wieki jak sny przelatywać zaczęły, ale już nie wewnątrz, jedno zewnątrz ciebie — postępuj wciąż!

MEODZIENIEC

Co za jasność rażąca, południowa! aż skwarno mi! co za gmachy w oddali! — coraz mi bliżej do nich i one też jakby cichym wiatrem niesione, przywiane, zbliżają się do nas.

ALIGIER.

Poznajesz je?

MEODZIENIEC.

Nigdy ich nie widział!

ALIGIER.

Czyż ludzkość na której łonie wzrosłeś nie dała ci wieków pamięci? czyż oczyma jej ducha wetkniętymi w duszę twą nie możesz poznać kształtów, które na tym planecie istniały, przed tysiącami lat?

MEODZIENIEC.

Przypomniałem, pamiętam! — ot! nadpowietrzne ogrody! a tam wystrzelone ku niebu gwiazdarnie — tu znów, świątynia olbrzymia, krużgankami okręcona. Jakiż kryształ wód! gdyby palące zwierciadła! — jaka kwiatów moc — wszędzie palmy — to Eufratowy brzeg — to Babilon.

ALIGIER.

Czy widzisz tych w szkarłacie?

MEODZIENIEC.

Zgromadzonych u stóp wieży tej? — złotem kapią im na głowach tyjary — gwiazdami zasiane ich szaty. To Chaldejskich wieszczbiarzów ród!

Słuchaj — słuchaj!

CHÓR CHALDEJCZYKÓW.

O! czasie bez miary i granic, o! światło niewzruszone, spokojne, wszystkich światła praojczy, jakże daleko, daleko, daleko do ciebie! Twój pierworodny Ormuzd i twój młodszy zbuntowany Aryman wiecznie walczą wszędzie, pasując się czy w barwach tęczy czy w sercu człowieka. My pragnęli wyzwolić się, wyczyścić, wypłonać ku Tobie — i niższe ludzie my porwać chcieli z ciemności ku słońcu, ku Ormuzda błoniom! — a teraz czujem, nasza siła znika a teraz, czytamy, napisano planetami na niebie, że przyjdzie zdobywca, dziki Pan, ot! przyjdzie — Jada na wozach — jada i konno — ciągną pieszo a zwycięzcy wszyscy — słabiej nasza myśl — przeinaczy się nasza cześć — o czemuż umieramy, kiedyśmy syny światła?

CHÓR DALEKI.

Ale nie światłem samem!

CHÓR CHALDEJCZYKÓW.

Zoroaster zesłannik Ormuzda, obiecał że Ormuzd zwycięży kiedyś — i że sam Aryman w ogniu pokuty przetrwion, wróci na łono wszechświata! Lecz nas nie będzie i jutro już! Daremno więc, daremno o święta jasności, my chcieli się wyzwolić, wyczyścić, wypłonać ku tobie!

CHÓR DALEKI.

By żyć dalej, wprzód się przelać, wprzód się przewcieścić, wprzód wam umrzeć trzeba!

MŁODZIENIEC.

Co się dzieje z nimi, Aligier? Błyskawica ogromna, podobna do spadającej wieczności, oblała ich i mury i bramę i rzekę tę! — wszystko, wszystko pożarła — jakżeż ciemno znów!

ALIGIER.

Stój na miejscu, na tem samem, wciąż — wnet inny rozświetli się wiek.

MŁODZIENIEC.

Ten trzechstrunny, jednostajny dźwięk, boli mnie, któż tam tak przegrywa?

ALIGIER.

Spójrzyj na prawo.

MŁODZIENIEC.

Za każdym dźwiękiem, z kądsiś ponury promień wytryska — niewidzialny księżyc gdzieś wszedł i podnosi się, już trzech piramid wierzchołki tleją nad pustynią — pod lasem obelisków, czarny sfinxów tłum — wszak to Memnon tam w głębi po nad światem siedzi?

ALIGIER.

Zważaj na bramę wielkiej piramidy!

MŁODZIENIEC.

Pełno mar z niej wychodzi i siada każda na granitowym grobie!

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW.

U nas przechowana tajemnica tajemnie. My pierwsi poznali Ciebie, któremu na imie: „Był i Jest i Będzie!“ Jak fale pod skałą tak czas i przestrzeń, mącą się u stóp twoich! a na tych mętach dobry Ozyrys, zły Tyfon i smętna Arnerйда ścigają za sobą — ich tylko widzą oczy śmiertelnych a Ciebie, nie!

Czemuż, o nieskończony Ty! wymykasz się nam? Zwolna my chcieli zepsute plemie wiecznej prawdy nauczyć, duszę odpętać od ciała by poszła radosna w niebieską ojczyznę — wszak my zachowali trupy, wszystkie trupy nasze, by lud przywykł do nieśmiertelności?

Czemuż więc teraz przybytek wstrząśniony? — przed czasem z niego wylana nauka? Z ogromu piramid, z labiryntu skrętów Ty odchodzisz od nas ku innym stronom. Kiedy słońce zachodzi, tam potęga twoja się przenosi — tam zawisniesz nad weselszemi ludy — a my tu w goryczy wyschniem, my najstarsze syny twoje!

CHÓR DALEKI.

Ale nie jedyne, ni ostatnie!

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW.

O czemuż konamy, kiedy czujem, żeśmy zesłańcami Boga!

CHÓR DALEKI.

Ale nie Bogiem samym — on jeden tylko nie umiera by odżyć!

MEODZIENIEC.

Jaśń księżycowa wzrasta, wzrasta — a ich podchwy-
ciły groby te i z grobami wraz zapadają w głąb! — cóż to
za jęk ogromny, taki dźwięczny, czysty?

ALIGIER.

Wschodzące słońce drasnęło Memnona!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GEOSÓW.

Z egipskich ciemnic, o myśli ludzka, poniesiem cię
w róż, myrtów i błękitów kraj! Tam gdzie Zeus pokonał
Tyfona! gdzie wąż potwór, legł pod strzałami słońca — gdzie
na pianie morskiej Afrodyty kołysana postać — tam gdzie
na wzgórzach Pallady posągi!

Zwiń się płowa pustynio! uciekajcie piramidy, schylcie
się obeliski przed pierwszą prawdziwą pięknoscią. Tu mądrość
— tu harmonia — tu wdzięczna Psyche odszuka Erosa!

MEODZIENIEC.

O jakże ślicznie, ślicznie przemienia się wszystko!
brzeg taki zielony — takie lazurowe morze — skały w tu-
nikach z winnic — Upoję się rozlaną wonią w powietrzu!

ALIGIER.

Widzisz, wprost przed nami, coś się śnieży, coś kształci
— światło pracuje i buduje gmach — już na greckim wzgó-
rzu wybłyska świątynia — z marmuru paryjskiego niepoka-
lana Eleuzis!

MEODZIENIEC.

Brzęk lir i cytar z niej słyhać — a teraz hymny
wzniosły się!

ALIGIER.

Powoli zapełnia się dziedziniec!

MEODZIENIEC.

Z pod kolumn, z za gajów, z za posągów wychodzą
przecudne postaci.

ALIGIER.

Oto Hierofant tajemnic, ten w białych szatach, z sier-
pem złotym w rękę!

MEODZIENIEC.

A ten, ten?

ALIGIER.

Który?

MEODZIENIEC.

Ten najpiękniejszy z nich wszystkich, ten szerokopierśny, wyniosły, podobny nieco do Chrystusa!

ALIGIER.

Boski Platon!

MEODZIENIEC.

Tak mówiło mi serce!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Duszo zabłąkana w cielesności matniach, dziewico opuszczona na dalekich brzegach, oczyszczaj się, oczyszczaj i wzdychaj i tęsknij a wrócisz do świata pierwowzorów, do Ojca twego i do matki Eimarmeny!

Patrz, z za opony zmysłów w którąś się oblokła, patrz, jak niebo to błękitne a ziemia ta kwiecista — z każdej fali odbłyśków tysiąc — z każdego promienia barw mnóstwo — z jednego Boga, bogów myriady rodzą się co chwila!

HIEROFANT.

I te wszystkie bogi ziemskie, to siły tylko niebieskiego Boga!

CHÓR ELEUZYJSKI.

I ziemia i niebo i gwiazdy pełne sił, piękne, rytmiczne, żyjące, czemże?

HIEROFANT.

Cieniem tylko — odbiciem tylko Ideалу!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Kochaj więc, o duszo, Ideał nad miarę!

GEOS PLATONA.

Kochaj niezrównaną miłością i spleń w tej miłości! Tam u niepoczętego nigdy, tam dopiero pięknie, nieśmiertelnie, miarowo! Znaj się — i znając, wnieś motyle skrzydła, poniosą cię one do domu! — a dom twój, rodzinny dom, to pierś Boża, ludna wielkim ludem, ideami wieczności!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Choć wiarę nam przynosisz i dajesz nadzieję, czemuż nam tak smętno?

GEOS PLATONA.

Bo dotąd nie macie miłości!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Czemuż nam zaczyna się marzyć o końcu bliskim?
Jak posąg Fidiaszowy z kości słoniowej i złota, pryśnie Gre-
cya nasza — i odłamki jej leżeć będą w popiele i prochu!

MIEROFANT.

Cel wasz, o dusze, nie na ziemi tej!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Szkoda nam jednak, o szkoda Helleńskiej ojczyzny!
— i widomych świątyń — i śpiewnych igrzysk i marzonych
Bogów — marzonych tak cudnie!

GEOS PLATONA.

Ujrzeć i kochać i rołączyć się — znów pokochać i roz-
łączyć się znowu — to doczesna próba dusz, aż *wieczne*
ukochoją wiecznie!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Nie zjawiż się taki, co poratuje nas? Śmiertelnemi
oczy ma miłości, której brak nam dotąd, nie ujrzemyż nigdy?
Czyż z nią dopiero na Eteru spotkamy się błoniach?

CHÓR DALEKI.

Bądźcie dobrej myśli, o biedne! na falach czasu Pożą-
daniec wieków już zbliża się do was!

MŁODZIENIEC.

A teraz co? — te same wody — ale inny brzeg — inne
wyżyny — jaskiń pełno — nigdzie śladu ludzi; — tam wy-
soko cedry — tu w dole, z włosem długim daktyłowe drze-
wa — nad zmierzchającemi wzgórzami szczyt jakiś płonie
purpurą i złotem — słońce musi, z tamtej strony, zatapiać
się w morzu. Aligier! cóż tu za pustelnicy wschodzą temi
ścieżki? wszyscy, wszyscy idą na szczyt ten?

ALIGIER.

To pierwsi zakonnicy Karmelu — ileż to razy witali
i żegnali słońce z tych wierzchołków! — ileż razy psalmem
na tej puszczy modlili się Panu, Pana przeczuwając — i ta-
kie z lnu cienkiego szaty nosili, o takie! i w ręku harfy
lekkie mieli, te same, te!

MŁODZIENIEC.

Mówisz, jak gdybyś na tych górach ich był widział sam!

ALIGIER.

A teraz świat już nie wie o Esseńczykach! — o tych, co tak wyglądali zwycięstwa duszy nad zmysłów potęgą! Ty pytasz kto oni? Zapomnieni zawsze ci którzy zapowiadają — pamiętan tylko, dopełniony czyn!

CHÓR ESSEŃCZYKÓW.

Ojciec nieznany! od obliczności świata, od pychy gnijącej my uciekli do Ciebie!

Bo duch twój nad przepaścią mór — a gdzie milczy pustynia, tam mówisz Ty!

Wodą czystych źródeł, plamę grzechu zmywamy ze skroni.

Bogaczy i ubogich między nami nie masz — wszyscy my równi — wszyscy my bracia — wszyscy my, syny twoje!

Zmiłuj się! jako te brzegi w mroku, tak lud nasz i wszystkie inne, poblady, zsiniały od brudu i kału.

Zeszliz myśl czystą! Niech wnętrznym żarem przepali i zniszczy ciało wszelkie — niech odrzuci je, jak popiołu garść. — Prorokom widny niegdyś Chrystus twój niech zstąpi!

MŁODZIENIEC.

Przyklękli — jednym krzykiem w niebo, wszystkie zadźwięczały harfy!

ALIGIER.

I ty przyklęknij a patrz!

MŁODZIENIEC.

Nie nie widzę innego — a nawet już ich widma sto-
piły się z nocą i brzęk strun omdlewa też!

ALIGIER.

Przyklęknij mówię ci!

MŁODZIENIEC.

Teraz już nie widzę nic — tylko czuję twoją rękę na ramieniu — czemu gnieciesz mnie tak! czy i ty klękasz!

ALIGIER.

Jak w oną godzinę, której powtórzenie się zbliża!

MŁODZIENIEC.

Jako?

ALIGIER.

Nie pytaj — tylko patrz, — a co! — obaczyłeś?

MŁODZIENIEC.

Ah! kraj szaty tylko znikający gdzieś w górze, w tem świetle bezmiernem — ah! stóp dwoje tylko, jak dwie gołębice śnieżne, wniebowstępujące!

ALIGIER.

A teraz spójrz na dół!

MŁODZIENIEC.

Oczy moje poleciały za tej szaty błękitem — ócz nie mam — przyłóż mi rękę do powiek!

ALIGIER.

Grobu tego nie widzisz?

MŁODZIENIEC.

Dzięki ci — przejrzałem. O! piękne, śliczne anioły co przy grobie tym!

ALIGIER.

A tam za niemi, ta win pełna, a z win zbawiona przez miłość; ta tęskniąca, ta czujna, ta siostra sióstr, co pierwsza lice Jego ujrzała po śmierci!

MŁODZIENIEC.

Kwiaty jakieś, niby to lilie, niby to konwalie w jej ręku. Jak westchnienie, przesunęła się!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Płynący, bezprzerwny czas, rozstąpił się! Z jednej strony dni przeszłe — wszystkie przyszłe z drugiej — a pośrodku nich, słowo wcielone! — widomy Pan! Słup wiecznej jasności!

Syonie świętoszku, rozpustnico Grecyo i ciemiężco Rzymie, gdzie wy? Darmoście plemie ludzkie zatrzymać, darmo przepsuć — darmo zabić chcieli! nie zginęło — Syn człowieczy skonał, zmartwychwstał Syn Boży!

Odtąd żaden lud co stał się narodem nie umiera na ziemi!

Odtąd żaden człowiek co stał się duchem, nie umrze w grobie — Hosanna! Hosanna!

CHÓR DALEKI.

Duszą i ciałem i duchem potrójny a jeden, objawion Bóg! On niegdyś był duszą jednemu plemieniu — On stał się ciałem jednego kościoła — On duchem będzie nad jedną ludzkością! Hosanna! Hosanna!

MEODZIENIEC.

Już grób Chrystusowy mdleje! już rozwiewają się te cudne, anielskie postaci!

ALIGIER.

Weź mnie za rękę, byś się nie potknął wśród ciemności!

MEODZIENIEC.

O! gdzie ta szata w białym ogniu! gdzie te stopy? — teraz tak czarno znów!

ALIGIER.

Schyl się — w tem miejscu zniżyć się zaczyna sklepienie!

MEODZIENIEC.

Gdzież idziem?

ALIGIER.

W chrześcijański świat! w drugą dziejów część! do innych prób ludzkości!

GŁOSY NADPOWIETRZNE.

Na skale Piotra, kościół budują dniem i nocą!

INNE.

Wielki jak dni — przez dni siedem budowali go, a ósmego opanował świat!

INNE.

Bo żywe słowo — mądrość i miłość — były w nim, duch święty w nim!

MEODZIENIEC.

Gdzież te głosy lecą?

ALIGIER.

Przed nami lecą dokąd i my spieszmy! — Teraz możesz się podnieść, tu już nie brak przestrzeni!

MEODZIENIEC.

Słyszę jakoby szelest stóp wielu gromadzących się tam gdzieś, gdzieś daleko, naprzeciwno nas.

ALIGIER.

Nie zwodzi cię słuch!

MŁODZIENIEC.

Żeby światła choć trochę!

ALIGIER.

Licz kroków jeszcze dziesięć i stań!

CHÓR DALEKI.

Jęk z tysiąca rozkołysanych myśli, opatrzna rada; jak z mnóstwa żądź młodzieńczych, wielki, mężki czyn — tak z zamętu ucisków i prześladowań, ze zgiełku marzeń i wątpień i kacerstw, wzniosła się Piotra moc. On pierwszym, najstarszym sługą sług Chrystusowych na ziemi!

Pod jego stopami królów korony i czoła — w kolebce, jego prawicą kołysanej, narody dzieciątka!

I rośnie sam ciałem deptając po ciebie!

I stało się! — oblókł się w szkarłat — zwiemożniał — zrzymianił się! I oto już teraz zacznie się jęk ludzki skarżyć nań. Więc słuchajcie i patrzcie, wy co terazniejszość znać chcecie i przyszłość odkryć z jej szczytów?

MŁODZIENIEC.

Jaki widok! — aż strach, Aligier!

ALIGIER.

Tak, nie inaczej, tak za dni Albigensów wyglądały Prowanckie równiny!

MŁODZIENIEC.

Stada kruków w tem lazurówym powietrzu! — wśród tych oliwnych drzew, wszędzie trupy — trupy — a tam dalej zwęglone stopy i czaszki i dymu ostatek!

ALIGIER.

Wnet i żyjących obaczysz!

MŁODZIENIEC.

W głębi tej jaskini, zda mi się, błysnęły gromnice!

ALIGIER.

Takim pochodem zwykle ciągnęli kacerze — tak z wnętrzości ziemi występując, światło dnia witali!

MŁODZIENIEC.

Jakie wyschłe, ponure twarze — kaptury — habity — każdy z mieczem i pugiuałem — straszni!

ALIGIER.

Masz ich prześladowane obrzędy — stają półokręgiem — spowiada się jeden drugiemu — tamci znów ręce sobie nakładają i wzywają Ducha w milczeniu!

MŁODZIENIEC.

Ale jakżeż pogrzebnie, jakby raz ostatni!

GEOS RYCERZA.

Lecę od wielkiej rzezi — koń mój pada już i ja z nim padnę też — okrążyli was rzymscy — nim dzień się skończy, koniec wam! Bracia, do widzenia gdzieś!

GEOS NIEWIEŚCI.

Dziecię u piersi i pierś, katolicką przeszyto mi strzałą! — nie dowlokę się już do was. Bracia, do widzenia, gdzieś!

GEOS STARCA.

Czterech synów mi wczoraj spłonęło na stosie — duch z nimi, duch z wami — noc całą szedłem — usiądę by umrzeć. Do widzenia gdzieś!

KILKA GEOSÓW.

Kiedyż Paraklet obiecany przyjdzie!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Dla nas dziś, bo umrzem dziś! a światu kiedy? Jeden Ojciec w niebiesiech i Syn tylko wiedzą!

KILKA GEOSÓW.

Więc już nam niemieć jutra żadnego na ziemi!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Po lochach, kajdany! na rusztowaniu, topór, oto jutro nasze! Odchodząc, przekrzywione słowo Chrystusa zostawiamy Rzymowi! połączył się Rzym z przemocą okrutnych i świeckich i będzie gnębił po świecku, aż sam zgnębion będzie!

KILKA GEOSÓW.

Chrystus porównał sługi i pany, męża i niewiasty, a kościół ukamienował nas bośmy chcieli być wolni i równi!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Puchar niedopity życia wysuwa się z rąk naszych — inne usta ku niemu się nachylą. O Templaryusze, w ręce wasze składamy go — przyjmijcie go od nas — wy obalicie niesprawiedliwość i gwałt — wy doczekacie się Ducha?

KILKA GEOSÓW.

Czemuż opuściłeś nas, Panie? Wszak my prawe syny
twe a dajesz zwycięstwo pasierbom!

CHÓR DALEKI.

Na ziemi, sierotę a nie synem Pana, kto żąda zawcze-
śnie, bo ten nie zna przedwiecznej mądrości! Lecz zapra-
wdę, pasierbem Pana kto rzezią zawczesne morduje west-
chnienia, bo ten nie zna przedwiecznej miłości!

MEODZIENIEC.

Jakież jęki, jęków tysiące! — zewsząd następują
jeźdcy z kopijami — tratują i zną ludzi jak kłosa. Czemu
mnie trzymasz Aligier? — na obronę im — na obronę! Po
hełmach książęce, hrabiowskie korony — i krzyż — miły
Jezu! krzyż twój! Jezus Marya! krzyż wszędzie i pod nim
wszędzie ludzka krew! Ztamtąd wieniec pożarów już ró-
wninę opłomienił — przysuwa się — ścieśnia — dym za-
mglewa mi oczy — dym już, tylko dym jak kurtyna prze-
demną — a za nią zgrzytanie — płacz — psalmów kilka i ot!
ten jeszcze krzyk!

ALIGIER.

To było a nie jest!

MEODZIENIEC.

Co? gdzie? magnetyczna siła jakaś mnie obwiodła i
nęka — myśl zaczyna mi się psuć — wszystko co widzę
takie na jawie, tak żyje życiem, tak umiera śmiercią?

ALIGIER.

Człowiecze, czyż nawet obrazu znieść nie potrafisz,
kiedy rzeczywistość znieśli bliźni twoi kiedyś. — To krew
idealna a już błedniejesz!

MEODZIENIEC.

Bo cudza nie moja!

ALIGIER.

Obróćże się ku mnie — już nie ma Prowanckiej ró-
wniny — patrz! więzienie tylko i lamp kilka grobowych —
i Mistrz wielki skazany — i bracia co za nim pójda na stos!

MEODZIENIEC.

Ileż mi się razy dziecku śnił na białych tych płą-
szczach czerwony krzyż ten! i potępiony zakon kochałem,
za to że potępiony.

ALIGIER.

A teraz słuchaj słów, które starzec wyrzekł w samą wigilią śmierci — powtórzy je zaraz ten siwy kształt jego!

MŁODZIENIEC.

Ten co się przechadza wśród okutych i milczących?

ALIGIER.

Widzisz, zatrzymał się i wznosił ręce w kajdanach — oto mówić będzie!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Templariusze, syny i bracia! Wszak świętym był pomysł i święty z niego miał wytrysnąć czyn? Od morza do morza, od wschodu na zachód, jedna Rzeczpospolita, a w niej Królestwo Boże na ziemi! Jako ja wam i wy mnie świadczcie w ostatniej godzinie!

Wszak nie na błąd was wiodłem; a choć pomrzecie nie oszukałem was! Wszak my byli, wszak my żyli, tam gdzie urodził się Pan i w powiewie wiatrów nad oliwnem wzgórzem my słyszeli głos jego?

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

I jasną nocą koło Golgoty przechodząc widzieli postać jego!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Nie ukrzyżowaną!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

Z gwiazdami u dłoni, z gwiazdami na stopach, płynące w powietrzu!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

A choć nie mówiła do nas słowem, słyszeliśmy ją, myśl jej słyszeli my! — i wiem odtąd że nie tylko człowiek jeden — nie tylko zbiór ludzi — nie tylko naród i narodów kilka, ale wszystkie, wszystkie razem, toć Kościół powszechny!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

Wiemy i świadczym — jednać owczarnia być ma i musi: Ludzkość — i jedenci pasterz: panujący Bóg!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

A dziś co? Papież i Król, Król i Papież, jak dwa miecze bolesne w sercu jednym, w sercu świata! Wszy-

stko rozdarte co spojone być winno. Za grobem niebo wydzielone ucieczką nieszczęśliwym — obecny czas żywym nieszczęściem uczynion — niebo i ziemia odgraniczone na wieki. Tam wola Pana — tu wola Papieżyów i Króli!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

A jako na niebie tak i na ziemi, jedna tylko jest!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen. Lecz my nie ujrzymy tego — nam czas się pochylić i w popiół rozsypać a nieśmiertelnymi być! O szkoda na wieki! wszystko w pogotowiu czekało — Europa drżała z tęsknoty i nadziei! Bracia! w ręce rycerzy co zostaną na ziemi, a już zwać się jak my nie będą, w ręce wiernych braci, w ręce Różokrzyżowców, oddajmy puhar niedopity życia!

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

W ręce ich, oddajem go!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen! *Gloria Deo in excelsis!*

CHÓR TEMPLARIUSZÓW.

Niech wyzwolą ciało wszelkie — proch marny niech im zadrza życiem — kruszec niech się kaźden prześlaca im w rękę — potęgą cudu wewnętrzny z wewnętrznym niech pogodzą świat! Niech Duch im pocieszycielem będzie, im i wszystkim za niemi!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen!

ALIGIER.

Noc ich owiała — czas ich pochłonał — za czasem w pogoń Henryku — za mną dalej!

MŁODZIENIEC.

Wszystkich przemian ból, wszystkich zgonów żal, razem spada na nas, tej nocy!

ALIGIER.

Kto nie umarł wszystkiemi zgonami, nie zmartwychwstał wszystkiemi zorzami ludzkości, kto nie dorównał cierpieniem jej cierpieniom i statkiem jej wytrwaniu, ten nie obaczy od wieków zgotowanego dla niej wesela! Kiedy ci mówię, chodź!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Po nad wiekami lecim i patrzym i płaczem! O biada,

biada! Rozpadło się słowo Boże! — Kościół w opokę stwardniał a ducha ludzkiego morze milionem fal, skacze ku niej—to odpływa wstecz—to przechucza mimo—opokatu a fale tam!

O biada, biada! Europejski gmach trzęsie się — nie wyrósł na katedrę, ni też wybudował się cesarskim pałacem! — Na poły księży i na poły świecki, nie dociągnion do niebios, ni doparty do wnętrzości ziemi, on runąć ma, a co gwałtu! co rozdarcia i bólu i smętku i wojen!

O biada, biada! król czy kapłan czy gmin, kaźden w dniu zwycięstwa bezmiłosierny! — probują się — zawracają na się — i na przemiany jeden tratuje po drugim?

Coraz mniej Chrystusa w świecie — mniej Ducha żywego?

CHÓR DALEKI.

Dziecię dom opuszcza gdy w niem lata zakipia młodzieńcze — mąż dopiero kiedyś powraca do domu; — i z ludzkością tak — a jej domem, Bóg!

MŁODZIENIEC.

Wszak możemy stanąć! — przecież tam światło się już pokazuje i pewno śmierć czyjaś się rozpoczyna!

ALIGIER.

Nie smętniej mi tak!

MŁODZIENIEC.

Duch ochotny, ale ciało mdłe!

ALIGIER.

Ten tylko duchem, Henryku mój, kto zarówno duszę jak ciało swe, umie nawlec na wolę swą — oto, jak giętką rękawiczkę na dłoń!

MŁODZIENIEC.

Znów inne, inne upiory stają mi przed oczyma — ni wiem przed jakimi, czy ciała czy duszy — zda się widzę i nie widzę znów!

ALIGIER.

A ja ci mówię, że widzisz!

MŁODZIENIEC.

Witam was, kragłe kapelusze i czarne płaszcze z pod których długi miecz się wymyka! witam was kuźnie i miechy i tygle i młoty! To wy syny Templariuszów, alchemicy, czarnoksiężniki, coście ziemię nurtowali, aż runął tron Stuartów!

CHÓR RÓZOKRZYŻOWCÓW.

Ciało jeśli nie od Boga, a jest, więc samo, Bogiem — a jeśli od Boga, więc Bożem być musi — i jako Pana twór żyje i wzdycha do Pana! Pokój ciału wszelkiemu — długo przekłete i uciskane, ono wznieść się chce, ono rozblysnąć w złoto, rozkwitnąć w różę Alchemii!

Wolność i natchnienie, oto prawa nasze — natura, oto siostra nasza żyjąca, urodziwa. Jako Chrystus nas, tak my ją odkupim, i wyszlachetnieje w miłości naszej. Pokój jej i ciału wszelkiemu!

CHÓR MISTRZÓW.

Jeszcze nie czas! nie czas!

CHÓR RÓZOKRZYŻOWCÓW.

A my już starzy, już strawieni pracą!

CHÓR MISTRZÓW.

Wprzód jarzmo gdziekolwiek cięży, prysnąć musi, — czy z dusz na ciało, czy z ciała na dusze — w kościele — w państwie — w ludzkości!

CHÓR RÓZOKRZYŻOWCÓW.

Darmo więc my ufali wam — gasną wszystkie ognie nasze nagle — w żuźlach nigdzie nie znalazło się złota — perzyny tylko wiją się w powietrzu — i my jak one rozwiewamy się! O mistrze, wyście nam kłamcami byli!

CHÓR MISTRZÓW.

Świętaśmy prawdę opowiadali!

CHÓR RÓZOKRZYŻOWCÓW.

Alboż w domu wiecznym już przez Merkura księżyc w jedno połączon ze słońcem! Gdzież kamień mądrości? gdzie umarłych wskrzeszony cień?

CHÓR MISTRZÓW.

Póki królestwa Bożego nie ma, póki nie zstąpił Duch, póty cudów nie będzie! póty natura i ślepa i głucha!

Więc gotujcie ścieżki duchowi! starajcie się o sprawiedliwość na ziemi! Przetwarzajcie społeczny skład! Doładźcie mieczów i ostrzcie sztylety!

CHÓR RÓZOKRZYŻOWCÓW.

O biada nam — pomrzem a nieobaczym końca! Kwiat wszelki i złoto wszelkie nie dla nas, nie dla nas! Jako przodki nasze, ci wielcy, ci umęczeni, od których idziem, i my niedopijem puharu żywota!

CHÓR MISTRZÓW.

Inni was zastąpią, jeśliście małej wiary i skrzepłego ramienia. Teraz łać krew i własną i cudzą potrzeba — teraz rządy kruszyć i głowy królewskie zdejmować z nadkarku Europejskich ludów — teraz kościół nowemi rozdzierać bólami, by uczuł że żyje ocknął się! Inny wiek — inny trud — naprzód więc!

MEODZIENIEC.

O biedne blade mary! Dobyły mieczów a wyleciały im z rąk — schylają się, padły na ziemię, rękoma wiążą stopy mistrzów. O! nie nie pomoże, gdy czyja minęła godzina?

CHÓR MISTRZÓW.

Widzicie sami, proch już tylko, sypki proch z was! Nie opierajcie się — nie zwlekajcie — wymówcie z własnej woli słowo które przelewa z przeszłości, siłę tajemnic na przyszłość!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

W czyjeż, czyjeż ręce, oddać trzeba puhar życia?

CHÓR MISTRZÓW.

W ręce braci Mularzy oddajcie go!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Amen! — niech przyspieszą królestwo lat tysiąca — niech im, u końca zawodu, z serc nie wymknie się wiara i nadzieja, jak nam!

MEODZIENIEC.

Straszne konanie!

ALIGIER.

Zwątpienie i śmierć, to najwyższa próba duchów — ostatnia która przez nie zwyciężoną będzie! Gdyby jej nie było, o całe niebo zmniejszałaby zasługa ich! — a bez zasługi — bez trudu jakżeż stać się sobą samym? jakżeż nieśmiertelnym być?

MEODZIENIEC.

Mistrze odeszli — a oni leżą rozciągnięni — ogień ich dogasają nad ciałami ich. Gdzieś, pomnę, Kartuzów widziałem tak pokładłych na posadzce kościoła wielkiego!

ALIGIER.

Pokój umarłym — idźmy w stronę kędy mistrze poszli — nie odwracaj się — już tam tylko ciemności!

Mnie umarłych żal!

ALIGIER.

O dziecię! Umarłych których zostawiłeś z tyłu, jeśli odnaleść chcesz, to nigdy się nie oglądaj! — ale owszem, patrz naprzód! — patrz przed się! a oni już tam przerozdzeni, żywi, na błoniach przyszłości!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Nad wiekami lecim i patrzymy i płacemy!

Rozdzieliła się dusza świata, kościół się rozdzielił, a wszędzie czy w Rzymie czy w Augsburgu, dusza pokłoniła się ciału! — kościół pokłonił się królowi! A ciało świata, w jednego ducha nie zlewa się z duszą — spyszniało — chce samem sobą żyć! — porosło w sto głów, w sto koron — Król tu i owdzie!... Król wszędzie — imię Europy, to król!

Podwalinami ich tronów, głowy bohaterskie, ścięte! — i każdy z tych Bogów ziemskich zapomniał o niebieskim, że wszechobecny — a że córką jego ludzkość! — a że jej synami narodie — a że syny ku matce iść muszą aż ją odnajdą i u stóp jej poleżą w radości! O narody, o wy światła na ziemi, gaśnicie! gaśnicie! Ze zwłok waszych marne zlepiają się mocarstwa — trupy ruszane iskrą galwaniczną rządów!

I wszędzie gwałt — i wszędzie mus — i wszędzie bunt!

CHÓR DALEKI.

Patrzcie i zważajcie! — Od krzyża na którym skonał Pan, piekielniejszej zbrodni i rzewniejszej męki nie było na planecie tym! Tam Bóg zamordowan w człowieku — tu ludzkość w narodzie! Ale ufajcie, bo nieskończoną zbrodnią odkupić musi nieskończone dobro. Z męki bez granic w Jednym, wstać musi życie bez miary, we wszystkich!

MŁODZIEŃC.

Na Boga! na Boga! Zewsząd, z góry, z dołu, z boków wytryskują lampy i wieszają się po ścianach — wszędzie czarne obicia, przesłony, srebrne orły wszędzie — i zgiełk sztandarów karmazynowych — i kiry przejrzyste latające w powietrzu. Czyżże to pogrzeb! czy wszystkich na świecie tym?

ALIGIER.

Zaprawdę że człowieczeństwa.

MŁODZIENIEC.

I rozstała się ziemia — i wznosi się z przepaści katafalk; — jakież wysoki — wielki — a zakryte na nim ciało!

ALIGIER.

Ci trzej co wstępują zwolna po wschodach katafalku, oni oderwą całun — i ujrzysz!

MŁODZIENIEC.

Jakby karłów trzech drze się do tej ogromnej postaci! Cóż to oni mają w rękę?

ALIGIER.

Berła — ale miasto krzyża, zakończone bagnetem!

MŁODZIENIEC.

A na głowie jakieś bardzo duże perły i korale!

ALIGIER.

Tak, — skrzepłe łyzy i krew ludzką!

MŁODZIENIEC.

Już dochodzą!

ALIGIER.

Odrywają — patrz!

MŁODZIENIEC.

Archaniół w dalmatyce białej z własnych skrzydeł od ramion po stopy. Umarły archaniół, o Boże! — i skrzydła spięte na piersiach trzema rękojeściami trzech mieczów, wbitych jak trzy wielkie krzyże, w pierś!

ALIGIER.

I to imię, po nad nim, napisane krwią świetlaną w powietrzu!

MŁODZIENIEC.

Ah! — chciałbym ustami dotknąć się tej tęczy z krwi! muszę coś pocałować — muszę — choćby ziemię, przed tem imieniem!

ALIGIER.

Podnieś się!

MŁODZIENIEC.

Nie — chcę krzyżem leżeć; — to mój, mój archaniół,

i ja wiem że on nie umarł — trupy takim światłem nie zieją w około. On śpi tylko! — przezeń Bóg do mnie mówi i mówić będzie. Ja z niego — ja cząstką tej Bożej piękności — tej świętości — tej sprawiedliwości i tego bólu! To ojciec mój i matka moja — to moje wszystko — czemu mi nie dajesz spocząć w prochu? — nie zrywaj mnie tak!

CHÓR KARŁÓW.

Zakryć znów całunem! zakryć i zakryć, bo oddycha! — a póki oddycha porządku nie będzie — pokoju nie będzie — nie zeżniem naszego żniwa i na snopach z ciał ludzkich nie zaśniem.

MŁODZIENIEC.

Ani na chwilę jedną nie zaśniecie nigdy, ni tu na ziemi, ni tam w grobie! Nieśmiertelniście przez zgryzotę i hańbę, jako inni bywają przez wesele i chwałę!

ALIGIER.

Widzisz jak drżą i trzęsą się!

MŁODZIENIEC.

I znów mi zakryli dobro moje, kształt mój wszechpiękny!

ALIGIER.

Tyś wstał a oni poupadali i tarzają się w prochu!

CHÓR KARŁÓW.

Kiedyż, kiedyż przestanie serce bić w tej piersi, pod temi ostrzami trzema? Co chwila berły naszemi jak młotem przybijamy te rękojeści, a to serce je zawsze odpycha — i te skrzydła takie niepokalane choć my je krwi potokami obleli. Co to znaczy? Miałożby być prawdą, że czyjs, a nie ślepy los rządzi światem tym?

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Nieprawdą! — nieprawdą! — ni wiercie — ni marcie! Jest tylko ciało czujące i przypadkowy traf i odmet. O Bogu myśl, to gorączka ciał — a mądrość ciał, to siła, to rachuba, to porządek, to władza na ziemi. Ze śmierci wielu, żywot kilku jest.

A ci kilku żyją, bo zabić umieją!

Zabić, to o władzę zamętem!

CHÓR KARŁÓW.

Nazad spokój zstępuje nam w piersi.

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Światło z niebios! O najprzejrzystsze! najczystsze!
spłyn zewsząd i jak fale niosą unieś, o unieś tego, który
śpi do czasu!

MŁODZIENIEC.

Niech się przyczepię do tych mar! niech mnie ten po-
top światłości zabierze ze świętym moim, razem. O Ali-
gier, puść mnie!

CHÓR DALEKI.

Od dnia śmierci sprawiedliwego, nie spocznie Euro-
pejski świat, aż sam sprawiedliwym się stanie! Jak czło-
wiek któremu by wydarto serce, tak będą wszystkie narody
bez tego narodu! Żyją, a wieczny im życia brak. Są i nie
są, bo nie mogą według Bożej myśli być. I lud kaźden
w rozpaczynie będzie — i król kaźden w przeraźnieniu! i trząś się
musi ziemia pod krokami ich, a oni zataczają się po
niej, pijani sumienia wyrzutem!

MŁODZIENIEC.

A ci trzej, gdzie?

ALIGIER.

Nie światło ich zabrało — gdzieś musiały ciemności!

MŁODZIENIEC.

Czemuż żaden piorun ich nie rozgniół?

ALIGIER.

Gdyby zaraz zginęli, nie podkopaliby sami własnego
dzieła i ono puścizną po nichby zostało w świecie! Żli,
muszą być samobójcami własnego złego! Na toć to, na to,
dni im przedłuża Pan szydząc z nich, a miłosierny nam!

A teraz inni nadchodzą. Słyszysz te dzikie wrzaski?
inni nienawistni im, a wzbudzeni przez nich i równi im,
bo światło co świeci kaźdemu, Chrystus, zgasł także w ich
duszach! Uważaj!

MŁODZIENIEC.

Jakież mnóstwo! jakiż rozmaity strój!

ALIGIER.

Ci pierwsi, z wzniesionemi szpadami w stalowe skle-
pienie, to uczniowie i czeladnicy — a majstry mularze, wi-
dzisz, z tyłu idą, niosąc Biblią, węgielnice i cyrkle.

MŁODZIENIEC.

A oni w kapłańskich szatach?

ALIGIER.

Należą do stopnia wybranych!

MŁODZIENIEC.

A ci znów, z trupią głową i kośćmi i krzyżem na piersiach?

ALIGIER.

Kawalery Szkoockie!

MŁODZIENIEC.

Czyż to znów inni, ci kilku, ci ostatni, w płaszczach co od krwi kapać się zdają!

ALIGIER.

Najwyżsi mistrze illuminaci — a nazwisko ich: Odrodzeni!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY.

Mak Benak! ciało odpada od kości! *Mak benak!* zwycięstwo lub śmierć! *Mak Benak!* wolność i równość!

CHÓR ODRODZONYCH.

Zbliża się wyroczna godzina! Strach ogarnie kulę ziemską — rozedrze się w starej świątyni spruchniała zasłona! Przysięgacież nam na wierność do śmierci?

CHÓRY INNE WSZYSTKIE.

Przysięgliśmy, przysięgamy, przysiężem!

CHÓR ODRODZONYCH.

Dzisiaj nienawiści trzeba! Praca nienawiści, to nienawidzonych zguba! Bez litości będziecież ich gubić?

CHÓRY INNE.

Będziemy!

CHÓR ODRODZONYCH.

Wieki marzyły o duszy, a nie działały nic. Zaczniemy od ciała — ucisk nieskończony tłoczy je.

CHÓRY INNE.

Ciało, ciało wyjarzmiajmy wszelkie!

CHÓR ODRODZONYCH.

Co w niebie, o tem nie wiemy nic — co na ziemi, to widzimy, to czujęm, to cierpięm, to nas pożera i usychamy! By przepis Chrystusowy mógł się urzeczywistnić, mniej

dbajmy o tych, co noszą Chrystusowy znak. To kłamcy, to szalbierze! Ich obalić — ich zatracić, — a zacność moralna wcieli się już, nie w usta kilku, ale w rozsądek wszystkich!

CHÓR WYBRANYCH.

Rosądek to ludzkości obiecany, jedyny król!

CHÓR ODRODZONYCH.

Przed nami więc idźcie przewodem. My wami kierujęm, wy losami ludów — kto z wami ten nasz — z tym filantropicznie; kto przeciwko nam, ten nie człowiek — z nim jak ze zwierzem — kuć go i wiązać i wodzić i biczować — a wreście i zarznąć, jeśli zarznąć trzeba!

Teraz, oto istna pora zapasów! — miękkich włókien w sercu niemieć! Tron to deski i klej — ołtarz, wapno i gruz!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY.

Mak Benak! szkielet tylko zostanie nagi z Europejskiego społeczeństwa! a my nowem mięsem i nową nawleczem go skórą! na ruinach wybudujęm....

CHÓR ODRODZONYCH.

O tem milczeć — o tem my jedni wiemy! By stanąć mógł Salomona kościół, nasamprzód gmachy dawne zrzucić trzeba!

CHÓR MULARZY.

Zrzucajmy — zrzucajmy! — naprzód — naprzód!

ALIGIER.

Idźmy za tym orszakiem!

MŁODZIENIEC.

Wszak już blisko nam do nas samych?

ALIGIER.

Ot! tam, tam na końcu, w tych mgłach wiszących za temi rzędami lamp, dni już nasze się kołyszą — ale od nich dzieli nas jeszcze potop klęsk i olbrzymi jeden duch!

MŁODZIENIEC.

Czyż koniecznie musim przejść przez to morze krwi i łez?

ALIGIER.

Nie serca przystaniem ni rozumu! — ale stopami musim — ale oczyma musim — nie wzdrygaj się!

MŁODZIENIEC.

Wszak się nie myłę -- to gilotyny? — w miarę jak

ciągnie orszak, z obu stron się podnoszą — ulica z gilotyn! jaka długa — długa — wszystkie w ruch się wprawiają — tu, tam i znów tu, i znów tam i owdzie noże łykają, spadają! Z pod każdej błyskawicy głowa leci jedna. Ileż nożów! — ileż głów świętych! — niepodobna przejść!

ALIGIER.

Oprzej się na mnie.

MŁODZIENIEC.

A ci dalej krocą — zaczynają śpiewać!

ALIGIER.

Pamiętasz? Dusza gdy się rozWSTRĘNI do ciała, ucieka na Tebaidę, wycofuje się od społeczeństwa ludzi, ah! nie żyjąc w innych, płacze nad sobą i więdnie! — A teraz, patrz, czem ciało gdy się oderwie od duszy! jak wścieka się i morduje. Tam i tu pełnej miłości brak — tam samobójstwo, a tu zabójcza rzeź!

MŁODZIENIEC.

Samobójców od zabójców wołę!

ALIGIER.

O! duchów przekładaj żywych! — bo pora ciał i pora dusz minie, a ducha uderzy godzina! Tamte były tylko przedchwilami tej!

MŁODZIENIEC.

Rozkaż — upros — by mi te głowy do stóp nie leciały tak — choć każda rozemdlewa się jak sen; źle mi, źle mi bardzo, o Aligier!

ALIGIER.

Iść musim, iść musim, przez królestwo zbuntowanych ciał — póki nie przejdiesz, ja cię nie poratuję, O! wstrzęsły się posady świata. Wieków cierpienia nagromadzały się powoli i cicho! aż buchnęły wulkanem! Raz tak było — musiało być — ale, o Boże panie! o wszechduchu duchów, wszak nigdy się już nie powtórzy tak zwierzęcy dzień i zbrodnia takowa?

MŁODZIENIEC.

Mdło mi — mdło! co za ohydne larwy! co za katów posepny rząd! każdego przy swojej pracowni! i te kosze zbrotzone, pełne — i te sine kadłuby — i ludu bałwany pstre, huczące z boków; — co siekier, dzid, pałaszy! — a ten orszak zawsze taki sam, śpiewny taki, święteczny

taki! — idą, idą coraz dalej — sypnęli teraz kwiatami wśród tego motłochu i trupów tych!

ALIGIER.

Zbierz myśli — uważaj jaki wyraz na tych wszystkich twarzach!

MŁODZIENIEC.

Strach na ich czołach kipi! strach z ich włosów się wyjeża! Strach z ich krwi pluska! wszędzie strach, jeden wielmożny strach tylko! O wstyd wieczny wam, żeście się mniej lękali zabójstwa lub śmierci, niż strachu! Jedne tylko te noże nie drżą i nie bledną! Podnoszą się i spadają zawsze równo! ach! jakie czerwone, kapiące, bryzgające. O Boże mój! o Boże mój!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Biada dniom onym! w imieniu Boga królowie jedną z myśli świętych Boga, naród wśród ludzkości żywy rozświetlowali! — a teraz w imieniu człowieka lud zarzyna króle i kapłany i wszelką władzę ludzką! O biada — biada!

MŁODZIENIEC.

Dzięki wam nadpowietrzni! Teraz przejdę tą ulicą z rusztowań i nie upadnę! — Bliższych mi ojców i braci zabito — ukochańszych duchów straciłem! co mi do ludzi tych? — przecież w grobie i archanioł mój!

CHÓR MULARZY.

O odrodzeni! o mistrze najwyżsi! nie ma już komu i nie ma już kogo zabijać! Od pracy rumianej, ręce opadły robotnikom, i z nich każdy położył się na rusztowaniu swem! Czy słyszycie nad szmerem spływającej krwi, ciężkie chrapanie katów.

CHÓR ODRODZONYCH.

Idźcie dalej!

CHÓR MULARZY.

Gdzie nie wiemy! — dwie ostatnie gilotyny tu stoją a za nimi ciemności!

CHÓR ODRODZONYCH.

Dalej — zawsze dalej!

CHÓR MULARZY.

Nie się nie naprawiło dotąd ni dla ciała ni dla duszy,

pusto i smutno — para z krwi ludzkiej mgłą posępną wstaje,
na około nas — ślepiemy!

CHÓR ODRODZONYCH.

Nie wszczynaż się tam choć jedna ścieżeczka? Nie
błyszczyż przed wami choć jedno światełko?

CHÓR MULARZY.

Nic nie widzimy — tylko coraz ciemniej i w około nas
i w nas samych!

CHÓR ODRODZONYCH.

Budźcie śpiących! budźcie robotników!

CHÓR MULARZY.

Nikt się nie przebudza! Umarli bez głów leżą jak drewna i glazy — żywi tak samo w letargu! Co pocniemy? co? za nami śmierć głucha, przed nami nieurodzonego coś, jakoby nicstwo! Gdzie wy nas zagnali! gdzie my jesteśmy? czem my? gdzie Bóg? gdzie ziemia, gdzie niebo? czyż wszystko tylko snem pełnym złości i bólu?

CHÓR ODRODZONYCH.

Nie płaczcie jak niemowlęta! nie rozciągajcie się w cieniu rusztowań, na bruku! Stójcie na nogach! stójcie jeszcze przez chwilę!

CHÓR MULARZY.

Mak Benak! I nam już ciało odpada od kości! *Mak Benak!* I my spocząć chcemy! choćby oprzeć głowy o głowy ścięte i pokotem leżeć z trupami i zasnąć! A wy bądźcie przeklęci, bo zdołacie śmierć roznosić jak Bóg, ale jak Bóg czyni, nie umiecie ani wskrzeszać ani tworzyć! Przekleństwo wam, nie mogącym nic!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Oto, zmiłuje się miłosierny Pan. Wstańcie wszystkie myśli umarłych! wszystkie sny śpiących gromadźcie się! Wszystkie tęsknoty pokolenia tego, wy niedosze, wy przerwane, wy coście pragnęły a nie podobały, zerwijcie się i krążcie nad krwi morzem tem!

MŁODZIENIEC.

Czyż sąd ostateczny się zaczyna? Ezechielaż wraca mi widzenie?

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Krążcie i mieszaście się — umiarkujcie się i prze-

niknijcie nawzajem — aż staniecie się duszą jedną i wolą jedną i czynem!

MEODZIENIEC.

Z głów tych, z tych piersi, z ciał tych wszystkich coś wybłyska — co chwila wzbija się i wiruje — to tli, to zagasa. Jak ptaki nocne, polatują jakieś mnóstwa w powietrzu. Słyszać szum a nie widać skrzydeł!

ALIGIER.

Tak na tej ziemi jeszcze, serca tych którzy zniknęli, odzywają i przelewają się w innych.

Toć pierwsze zmartwychwstanie! — a wtóre, dopiero na dniu ostatnim człowieczeństwa kiedy każdy znów o sobie powie: „to ja!“

MEODZIENIEC.

Gdzie gilotyny? gdzie czerwone kałuże? gdzie lud ten cały co leżał na dole? wszystko w górę wyparowało jak w dzień letni po burzy — a w górze niby iskry przewiewne? niby perzyny, wyziewy, orkany! niby elektryczne wężujące nurty! Gdzie my się dostali? jakież to nadpowietrzny świat?

ALIGIER.

Alboż nie widzisz co się dzieje? jak z żywiołów tych, jedna siła, kształt jeden promienisty się tworzy!

MEODZIENIEC.

Coś takiego, coś takiego!

ALIGIER.

Coraz wyraźniej — nie poznajesz że już postaci tej?

MEODZIENIEC.

Na tle odmetu, on jeden, on jeden — taki całki — taki jasny — z orłów złotych, rozskrzydlonych, żywy namiot po nad głową! — uśmiech jakoby dobroci na ustach a grom, zda się, wyskoczy ze skroni — to Cesarz! to Napoleon!

ALIGIER.

To dusza Napoleona, w świecie dziejów ludzkich — jedna, a wieki zawierająca — jedna a wszystka — idea z milionów myśli, drgająca, wcielona — a teraz Pan jej powie: „Idź naprzód“ — i nic i nikt jej nie wstrzyma — i pójdzie, i drogę dalszą znajdzie wśród ciemności!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Kto mu równy, z tych co przemijali dotąd? Wszystko co kiedykolwiek istniało w rozdziele, danem mu w prze-

dziwnej spójni! — i ciało półbogów dawnych, niestrudzone, bezsenne, urodziwe! — i dusza chrześcijańska bezdenna a tęskna i rzewna — i duch twórczy, czasu i przestrzeni magnetyczny Pan!

Wszystkie losy ludzkie w nim jednym się zbiegną! Wszystkie trudy i tryumfy — potęgi i klęski — wesela i nieszczęścia!

Jak świat z niczego, prosto z Boga stworzon, tak i on wśród ludzi, z niczego, zjawi się i wzniesie! Bohaterem będzie jak grecki Alexander — Imperatorem tak jak rzymski Cezar? — męczennikiem jak święty z pierwszych Chrystusowych wiosen! I umrze jak Mojżesz, sam jeden w obliczu Pana! umrze prorokując o woli Pańskiej nad dniami przyszłemi człowieczego rodu!

MŁODZIENIEC.

W słup ognisty, skrzącemi skrzydły, związały się orły, otoczyły go — palą się i kręcą. On z wiru tego, wyciągnął rękę i porwany leci; — miecz w ręce tej, jak płomień; nicość się rozświetla — przestrzeń błękitnieje — znów w dole, postaci ludzkie kształcą się, wyrastają, kupią! Widno-kręg coraz nieskończeniwszy przed nim!

ALIGIER.

Nie przed nim — bo on musi się rozwiąć — ale przed temi tłumami, których on na chwilę pasterzem!

MŁODZIENIEC.

Co za organów olbrzymich śpiew?

ALIGIER.

Słyszysz grzmoty bitew jego, przemienione w harmoniją, wspomnieniem!

MŁODZIENIEC.

Co to za czarne tam roje czy warstwy, takie niewzruszone?

ALIGIER.

Widzisz, że w miarę jak się Postać zbliża do nich, one zaczynają świecić się i ruszać.

MŁODZIENIEC.

Prawda! — jak żywe mielizny i krzyki z nich się wzbijają — i błysk stali z nich tryska; — rąk tysiące, tysiące widzę podnoszących się!

ALIGIER.

Nie zasnęłyż były narody? Nie zasklepiłyż się były jak gąsienice, one myśli Boże, w Europie?

MEODZIENIEC.

Z góry, ramionami, jakby magnetyzował je przechodząc; — jedne idą za nim — drugie zrywają się przeciwko niemu!

ALIGIER.

Wszystkich, tych czy tamtych, on Wskrzesicielem! Odtąd ni Króle ni Ludy już władzy nie dzierżą — ale Narodowości i Ludzkość, a w Imieniu Pana!

MEODZIENIEC.

Patrz! patrz! I on już blednie choć coraz dalej leci — i on już blednie — już skręca się na dół! — Podbieżmy za nim!

ALIGIER.

Nie dogonim tej Postaci! przeżyty jej czas! odbyty jej trud! — i Wieczność ją woła! .

MEODZIENIEC.

Wirujące orły odpadają! Jak słońce nagie, sam pozostał — i zachodzi — coraz niżej — niżej! — huki i wrzawy cichną — Widnokrąg zamierzcha znów — noc już teraz i milczenie — cóż dalej?

ALIGIER.

My! bo chwila nasza uderza! Dosłuchaj tylko jednej zwrotki jeszcze!

CHÓR PODZIĘMNYCH GŁOSÓW.

Wyjrzyjcie z wnętrzości ziemi, wy coście do nas się schronili, gdy Tytan zmiatał was jak śmiecie, z nad Europejskich niw — Czas wam powrócić do dawnych dziedzin, spieszcie się nazad, o! spieszcie!

ALIGIER.

Przypatrz się tylko, co za kształty jadą na tych trzech koniach, całe okłamione purpurą i szychem!

MEODZIENIEC.

Korony wysokie — długie berła okręcone różyczką oliwną, płaszcze niżej strzemion, aż po ziemi się wloką!

ALIGIER.

Teraz przeciągają blisko — wnurz oczy w nich!

MŁODZIENIEC.

Ci sami trzej — tylko się nadęli, wspięli, rozdłżyli,
obrzydliwe Karły!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Nie jawnym już gwałtem, ale skrytym a wiecznym
pracujecie! Święty pokój ogłóście! świętym skojarzcie się
sojuszem. Wszystko co z was, niech zwie się święte — świę-
te — święte!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Usłuchajcie prawdy! a może jeszcze dorośniecie miary
człowieczego wzrostu! Jedzcie na wielką naradę — bądź-
cie sprawiedliwi!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Sprawiedliwości pokostem, niesprawiedliwość umalujcie
wszelką!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Jeśliście chcieli zabić To co nieśmiertelnem, wyznajcie
winę — nie dobijajcie, ale wróćcie życie!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Udawać, udawać że się wskrzesza zabitych — że się
żałuje morderstwa!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Jako Chrystus kazał, bądźcie pierwszymi sługami na-
rodów! a nie pójdziecie w pogardę!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Tuczcie ludzi na karmne bydło — a sami wtedy tłu-
ste szyje oddadzą w jarzmo wam!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Stańcie się budownikami Woli Bożej, na planecie tym.
W każdym kształcie społecznym, uwidomcie wiarę — na-
dzieję — miłość!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Dyplomacją — Policją — Żandarmeryą!

MŁODZIENIEC.

Zatrzymali konie — podali sobie ręce — słuchają.

ALIGIER.

I przysięgają sobie!

MŁODZIENIEC.

Tak cicho, że nic nie słyhać!

ALIGIER.

Gdyby na zacność i rozum i cnotę, toby głośno przysięgali!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Ot! tak — dobrze tak! — a teraz ruszajcie — lećcie jak strzały zatrute — a dalej — a dalej!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Daremno! Wężowego splotu rąk tych trzech żadna nie rozwiąże przestroga! Ślub nierozzerwalnym — lecz zaślubieni poginą!

MŁODZIENIEC.

Poginą! — kiedyż? Wszak od dość dawna już, archańska krew woła przeciwko nim. Darmo przytulasz mnie do piersi, Aligier, dreszcz lodowaty mnie gnębi! Ah! już żaden obraz nie tworzy się więcej — nie — już nie — tylko loch ten ogromny, podobny do grobu bez końca! Bohaterzy, proroki, święci, szli i przeszli i zaginęli! Karły jedno trwają — ostały się — żyją! — O Aligier, tylu natchnień i wieków, także więc rozwiązanie? A to nie mara — ni sen. Jak tu w tych głębiach, tak i tam na równinach ziemi, martwo — ciemno — podle! Mierność i złość, siódmym dniem Człowieczeństwa! Oto odpoczynek dany nam!

ALIGIER.

Nie bluźń dziecię! Niedziela człowieczeństwa — to przemiana — to zmartwychwstanie ciał — to Anielstwo! Daleko jeszcze ludziom do niej — nie wiesz co mówisz — nie wiesz na jakim miejscu drogi stoisz i ku czemu idziesz! ale, oto, dowiesz się!

MŁODZIENIEC.

Alboż to nie nasz Wiek już?

ALIGIER.

Nasz, tak jak wygląda, ale nie tak jakim jest!

MŁODZIENIEC.

Co mi wskazujesz?

ALIGIER.

Z tej strony te dwie rozpalające się pochodnie!

MŁODZIENIEC.

Jak dwa smutne księżycy! — Ah! widzę jakieś drzwi ogromne pod niemi — drzwi żelazne w murze!

ALIGIER.

Zbliżajmy się powoli — czytaj ten napis srebrny,
w górze!

MŁODZIENIEC.

Gens aeterna in qua nemo nascitur!

ALIGIER.

Tu dopiero koniec przeszłości! — za temi progi, te-
raźniejszość się wszczyzna i Zgromadzenie żywych Duchów
marzy o tem, co stać się *ma*, bo stać się *powinno*.

CHÓR DALEKI.

Witajcie, wy co przystępujecie do obecnych czasów —
Wy coście odbyli podróż wraz z pielgrzymkami, Anielicami
Pana — z Ideami Ludzkości!

MŁODZIENIEC.

Jakżeż te głosy rosną — zbliżają się — mnożą! — zda
się obok nas brzmią już te struny i śpiew ten się rozlega!

ALIGIER.

Ściana ta tylko od nich nas dzieli!

CHÓR.

W Imieniu Pana, u tych podwoi, przyjmujem was —
a Pan troisty choć Jeden — i dzieje Planety troiste choć
jedne!

MŁODZIENIEC.

Takich tonów nie słyszałem nigdy — powietrze całe
w muzykę się rozedrgało. Hymn ten w serce zstępuje, jakby
wszystkich jęków serca Dźwięk odkupiciel!

CHÓR.

Nadchodzi wręście obiecany Dzień! Wiek który zwie
się Pocieszycielem! godzina która zwie się Dopełnicielką!
Nie na zawsze Chrystus był odjęty nam — nie na zawsze
światło żywota zaćmione. Oto, uwielbion będzie przez Du-
cha. Syn — a Duch z Ojca i Syna jest i obu miłośnie
kojarzy!

MŁODZIENIEC.

Kończyłem się już — a teraz znów w piersiach nie-
skończoność czuję! O! błogosławione akkorda!

CHÓR.

A jako w niebie, tak i na ziemi!

208

Wszystko co przeszło a bolało przechodząc, wróci,
ożyje, podwyższy się, ale boleć już nie ma!

Myśli rozbratane, czyny sprzeczne, kolejne wieki,
uwielbią się i pokochają nawzajem!

Trzeciem wszechmiłości tchnieniem, Pan upomni się
o Planetę swego —

O ród człowieczy swój, upomni się Pan!

ALIGIER.

Zapukam — drzwi się otworzą — ty zaraz wchodź za
mną!

MŁODZIENIEC.

Gotów jestem jak do nieba! — ah! jeśli wszystko ma
się ku odzyciu, toć i Archanioł mój!

CHÓR.

Pokój nasz dajemy Wam! Wejdźcie!

VI.

PODZIEMIA WENECKIE

SCENA II.

(Ogromna Sala — Ściany i sklepienia obwieszane lampami — W głębi na tronie wyniesionym Prezes w tozde białej — Po prawej stronie mównica wy-
stająca ze ściany ze wschodami — Wzdłuż ścian po obu stronach Chóru na-
rodów, każdy w barwach swoich — Pankracy na czele chóru polskiego —
Aligier — Młodzieniec).

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Kogoż wprowadzasz do Zboru! czy tylko nie ciało po-
zbawione duszy?

ALIGIER.

Takie ciało kamieniem śpiącym; kamienia nie wlokę
za sobą, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Może duszę bez ciała?

ALIGIER.

Taka dusza czemsić co niczem jak sen; — snu nie
przynoszę wam, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Czem więc ten który stoi za tobą?

ALIGIER.

Żywym duchem!... duchem bez początku bo z Pana
wyszedł — i bez końca, bo ku Panu dąży napowrót, a ni-
gdy nie stopi się z Panem! Na pielgrzymkę nieskończono-
ści duszę i ciało mu dano; on ciągle jeden, ten sam nie-
zatracałny — one tylko umierające odżywające naprze-
mian. Kiedyś, kiedyś on wraz z wami zrzuci ludzki strój.
i inny, wyższy przybierze w dzień ostatni przypomnienia
i sądu! Lecz wprzód losy planety wspólne nam wszystkim
rozwiązane być muszą — i on wstępuje między was, by
pracować i przyspieszyć wraz z wami wszystkie dni po-
przednie, wielkie, nadejść mające. Ja was proszę, ja wam
mówię; przyjmcie go?

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Niech nam powie imię zasłużone, święte, którem go ochrzczono, gdy człowiekiem się rodził.

MŁODZIENIEC.

Henryk!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Niech wyzna imię zbiorowe Duchów, dla których Pan chciał by żył i umarł na ziemi, kiedy mu wśród nich narodzić się kazał!

MŁODZIENIEC.

Polska!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Nadpowietrzny chór przyjmuje cię; ni żąda żadnej od ciebie przysięgi. Tem że jesteś, tem, że wiesz się Duchem, już przysięgłeś na wierność i Panu i człowieczeństwu i prawdzie! Tobie, nie im biada gdybyś upadł, gdybyś zwątpił, gdybyś zdradził. Teraz niech cię ziemskie głosy witają.

CHÓR IRLANDECKI.

My pierwsi na ziemi zrzucający jarzmo białemi rękoma — my wdzięczną wieścią przychodzący, że już miłośni i cisi zaczynają zwyciężać, pozdrawiamy cię! Ufaj harfom tym — każda struna w nich mieczem — i one zdobędą wolność katolicką Erynu!

CHÓR WŁOSKI.

My trupy, do dna grobu przyparte podwójnej chwały popiołem, i przykryte lazurami niebios, my pragnący po raz trzeci żyć, pozdrawiamy ciebie! Ufaj czarnym płaszczom naszym, choć to pogrzebu znak i zielonym czapkom, bo to wiosny przecucie!

CHÓR GERMAŃSKI.

Rozdzieleni w ciele, ale jedni myślą, my Idei kapłany, my co byli a nie żyli, my pragnący żyć, pozdrawiamy ciebie! Spojrz na nasze włosy i brody pierścienne — u greckich mędrców podobne się wiły — i ufaj tym rapierom wziętym po gockich naddziadach!

CHÓR FRANCUSKI.

Żyjący pozdrawiają ciebie!

CHÓR BEAWIAŃSKI.

O wielu, wielu nas jest, jak fale wezbranych, jak dzieci tęskniących z kolebek ku słońca promieniom, — a wszystkie kolebki nasze takie podobne do trumien. Sami nie wiemy czy się rodzim czy zmartwychwstajem, — ale słyszym głos co nas woła, — więc podnosim się, patrzym, a oto przed nami olbrzymi grób od morza do morza; — niechże za nas odezwą się do ciebie ci, którzy w grobie tym, — bo oni tam nie pokładli się na sen. Od lat stu ciemność im światłem — śmierć żywotem — rozpacz nadzieją! Naród-król nas wszystkich, naród duch plemienia naszego, niechże wita ciebie!

CHÓR POLSKI.

Trzykrotny bracie nasz, Duchu śród Duchów, człowiecze śród człowieczeństwa, synu polski śród synów jej, pozdrawiamy cię! A jako Duchem teraz, tylko pod postacią człowieka, teraz wiedz, że człowiekiem ci być się godzi teraz tylko pod postacią Polaka — inną wdziej, a niżej bydlęcia upadniesz! Zawrzęj więc w jednej piersi twej zarazem żywych i umarłych wszystkie potęgi! Obchódź się bez niczego jako trup! O żadną próżność ni zysk ni pychę nie dbaj jak trup! Wrzkomo żadnego bólu nie czuj, choćby ci gwoździami serce przebijano, jak doskonały trup! A wiecznie miej się do czynu, jak żywy! Kochaj braci, jak żywy! Jak żywy, ufaj w Bogu żywych! a teraz idź ku tronowi i przystąp i słuchaj!

PANKRACY.

Wprzód jeszcze z rąk moich weź biały płaszcz i karmazynową czapkę.

ALIGIER.

Wdziej coć dają, to znak, że do ich grona należysz.

MEODZIENIEC.

I ty już tak?

ALIGIER.

Przecież i ja do nich, dopókim na świecie, się liczę!

MEODZIENIEC.

A teraz?

ALIGIER.

Tak jak ci kazali, zbliż się do tronu.

PREZES.

Patrzałeś na mary tych śmiałych, którzy po wszystkie czasy w głębiach ziemi opierali się rządzącym jej powierzchnią; — niemi otoczony, przez dwa światy co przeszły, przeszedłeś. Zrozumiałeś czem przedchrystusowy, czem pochrystusowy wiek? Czego pragnęli w prawdzie tęsknoty wiecznej a w fałszu nieraz użytych środków, owi wszyscy tajemni, wrywający się ku coraz dalszej przyszłości? Mów, coś widział tej nocy!

MŁODZIENIEC.

W pierwszych jej godzinach, widziałem ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do chrześcijańskiej duszy, aż dostało objawu niebianki!

PREZES.

A w następnych?

MŁODZIENIEC.

Widziałem rój myśli świętych rozwieszon nad światem, — lecz nie spuszczały się na dół by osypać ziemię; niebieskie, kwitły tylko w niebiesiech!

PREZES.

Dobrze synu! i cóż ztąd? wszak nie na tem był koniec widzeń twoich?

MŁODZIENIEC.

Wtedy mnie otoczyła rozpacz ciał wszystkich — dawniej duszy nie znały, a teraz już urodziła się im; — widzą ją nad sobą, a nie mogą jej do piersi ściągnąć — więc zaczęły płakać, więc zgrzytać — więc i krwią pluskać!

PREZES.

Umarłych zrozumiałeś skargi. Starożytni wyglądali dusz powszechnego kościoła — nowożytni powszechnego społeczeństwa ciał — a możeż jedno bez drugiego być? A ze zła obu, czyż nie trzecie wstanie? I tamtym i tym, połowy tylko rozłożone ludzkości, nie wszystka ludzkość w sercu była — połowy, to złudy a czasem i zbrodnie. Całość tylko rzeczywistością na ziemi i w niebie. Wszak wiesz o tem?

MŁODZIENIEC.

Wiem ojcze!

PREZES.

Odpowiadaj dalej. Czy wierzysz w Ojca, w Słowo, w Ducha Świętego, w oną Trójcę przedwieczną, na której podobieństwo i obraz, wszechświat i każda cząstka jego i każdy z nas i wszelki drobiazg i wszelka arcy-potęga — kamyk czy seraf — dostały w dziele Byt, dostały w dziele Myśl, dostały i życie?

MŁODZIENIEC.

Wierzę w nią!

PREZES.

I wierzysz, że Słowo stało się ciałem, że mieszkało między nami?

MŁODZIENIEC.

Wierzę!

PREZES.

Jeślić człowiekiem był Chrystus, więc zjawił się na pewnym miejscu i o pewnej chwili. Jeślić Bogiem, to panował wszystkim miejscom i czasom. Jeślić Bogiem-człowiekiem, toć musiał ogarniać wszelkie losy planety tego! Czy pamiętasz jak w wigilię męki prorokuje o przyszłości człowieczeństwa, gdy oznajmuje ukochanym, że kiedyś Pociészyciel przyjdzie?

MŁODZIENIEC.

Obietnicę pamiętam!

PREZES.

Ja ci słowa pisma powtórzę — kto przytomny niech klęka.

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Ojcie, możesz otworzyć Ewangelię Jana, wszystkie chóry uklęknęły.

PREZES.

— „Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie.“ — „Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę.“ — „On mię uwielbi, bo z mego weźmie a opowie wam.“ — Otoć co rzekł Pan do wszystkich przyszłych wieków świata — i wiele ich od-tąd przechodziło i przeszło już, a niezrozumiały. Snać znieść nie mogły dotąd!

PANKRACY.

Jeszcze raz domagam się o głos!

PREZES.

Synu mój, zapominasz o prawdach podziemiami rządzących i uporem narażasz się!

PANKRACY.

A ty, ojcze, nie narażasz że tej duszy młodocianej na zgubę, gdy o miłości mówisz — i miasto hartu, wtkliwiasz miękkość jej do serca?

PREZES.

Milcz!

PANKRACY.

Słuchaj mnie, słuchaj, arcyprzewielebny! Słuchajcie wszyscy, ilu was tu narodów i ludzi! Jeśliście z zachodu, wolno wam jeszcze i to marzyć tylko, że miłosierdziem chrześcijańskim wielkich dopokoicie się celów. Szlachęście już gilotynowali, jedni — w błoto i nędzę wepchnęli drudzy — dobrze! Ale z bankierami, finansistami, ale z mieszczaństwem waszem, tą powtórną pasożytnością na ludowym ciecie, co poczniecie? Zresztą, w tej chwili, mniejsza o was, zachodni; — ja ze wschodu — ja Sławianin! ja Polak! więc powiem.....

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Duchu niesforny nakazujem ci milczenie!

PANKRACY.

Jużem się odważył — nie dam tego potomka arystokratów lackich, tego z antenatów rodem omamiać ideami, które kiedyś się dopełnią, ale przed których urzeczywistnieniem Sławiańszczyzna cała i Polska cała, muszą wyglądać jako jedno morze krwi! Niech młodzik rzeczywistość zna! — niech tu zaraz zrzuca z siebie szlacheckiego człowieka, albo niech wychodzi, ucieka, nie ogląda się — a ze sobą naszych tajemnic nie bierze!

PREZES.

Chyba twoich, zbuntowany duchu! bo w naszych nie ma przykazu krwawego. Jest święta i orężna praw świętych i pokrzywdzonych obrona — morderstwa nie znajdziesz!

PANKRACY.

Słuchaj mnie, młodziku, ty coś z ojców twych rodem,

ty co ojców masz! Otóż ja, który ich niemam, ja który cho-
dzę po tej ziemi, jakbym się z niej prosto narodził, ze żwi-
ru, mułu i murawy, tak jak Tytany niegdyś a ludowi ludzie
dziś, otóż ja powiadam ci: — Z szlachtą polską i wszelką
sławiańską koniec! Jeśli chcesz, klękaj i mów zdrowaś Ma-
rya nad ich grobem — wolno ci! A znam was — a wiem
was — nie ustąpicie — wszystkoście oddać gotowi i pół
ziem waszych i brzęczący pieniądz; — ale klejnotu — ale
pamiętek — ale dumy, nigdy! Więc poświęceniem nowem,
znów dorwiecie się władzy, której wspomnienia wiecznośćby
sama niezdolała wam z ducha wygluzować. O! ja nie z was,
a znam was, jak wy sami się znacie. Więc co za rada z wa-
mi, z *urodzonymi!* — jedna tylko — trzeba was odurodzić,
żadnemu nie przebacząc, żadnego z sieci śmiertelnej nie
wypuszczając, by raz już krew wasza i szpik kości waszych
rozłożył się chemicznie na wieki i zniknął w przestworach!
Dopiero będzie Równość i Lud — a wtedy, wtedy dopiero
wtedy, wszystko co ten człowiek w bieli na tronie wyrzekł,
prawdopodobieństwem się stanie; — miłość będzie możno-
ścią na tym globie — lecz nie wprzód! wara! Rozumiesz,
ty ojców posiadaczu?

MŁODZIENIEC.

Aligier, gdzieżem ja? gdzieś ty mnie przywiódł? Ja
wyzwę go!.....

ALIGIER.

Jeśli kochasz mnie, milcz!

(do Prezesa).

Przyklękam na znak uszanowania i prośby — bo ła-
mac przepisów nie chcę odezwaniem się. O pozwól, ojeze
arcyprzewielebny, na chwilę dozwól, bym na tę mównicę
wstąpił i odpowiedział. Ojeze, mnie idzie o tę duszę jasną
i czystą, powierzoną mi — patrz, jak blednie ta twarz,
patrz jak gniew święty po żyłach tego czoła sinieje, —
jak ta ręka powstrzymana od oręża, cierpi Laokonowe
drgania. Ja muszę wstąpić i mówić, by go ukoić. On pier-
wszy raz słyszy takie słowa!

PREZES.

Zabronić ci, czego żądasz, nie mogę. Ów człowiek,
pierwszy stargał prawo.

ALIGIER.

Dzięki ci, ojcze! (wstępuje na mównicę).

PANKRACY.

Teraz w żadne już rozprawy się nie wdaję, ja chóru przywódca! Wypowiedziałem nie unikalne! Kto sam słowem konieczności, ten na marne, ludzkie słowa nie odpowiada! Hej! Kiermaszu, albo ty, Blaumanie, jeśli im o sentymentalność i paplarstwo chodzi, stań naprzeciwko mównicy, patrz się w oczy temu melancholicznemu przyjacielowi onego młodzieniaszka i odpowiadaj za mnie!

KIERMASZ.

Ja wnet odpowiem — ja!

BLAUMAN.

Precz Kiermaszu — ja lepiej potrafię!

INNY.

Mnie głos dać — Blauman nie potrafi!

INNY.

Panie naczelniku, mnie wybrać!

KILKU INNYCH.

Mnie — mnie — mnie!

PANKRACY.

Już się swarzycie — patrzcie, jak tamta część chóru, z szlachty starej, co się odsunęła na stronę, przystojnie i poważnie się trzyma, choć wściekli. — Z wrzaskami precz; — ty Blaumanie, mów!

BLAUMAN (do Aligiera).

Blady i wychudły stronniku arystokracji, ty z mównicy tej przechylony, z wyciągniętymi rękoma — a muszę wyznać, ty piękny! — boć to wiadomo, urodziwi jesteście i gładkie rysy wasze i dłonie białawe — pfuj! kobiety! Ha! więc ty się się oburzasz przeciwko temu wielkiemu obywatelowi, że ci serdeczno — szczerze oznajmił o wyróżnieniu logicznem i nieodwracalnem magnateryi lackiej! Jeśliś patriota, jeśli ci w sercu cokolwiek polskiego, ojczystego zostało....

PANKRACY (po cichu).

Nie mięszaj zbyt wyrazu ojczyzny!

BLAUMAN.

Czy i to arystokratycznym?

PANKRACY.

Tak i nie — ale słuchaj rady mojej!

BLAUMAN.

A ja ci powiadam, jeśli Ludzkość choć źdźbło drga w sercu twojem, jakżeż ty inaczej chcesz zbawić Lud polski ciśnięty od trzech tyranów, a przez szlachecką kastę gorzej rozdeptany jeszcze? Wspaniałomyślną rzezią tylko możesz.....

ALIGIER.

Pankracy! Pankracy! naczelniku chóru polskiego, ty nie Polaku! Ty co tylko powtarzasz „Lud, Lud,“ a nigdy „Naród“ nie powiesz! Ty co chcesz wielkich rzeczy się przez siebie doczekać a od Boga nie poczynasz! Ty co za podstawę przyszłej budowy, kamieniem węgielnym stawiasz mężobójstwo! Ty co zawiścią zdjęty, starasz się ją przemienić w prawo wiekuiste postępu i nadajesz nikczemnym chuciom piersi własnej, imię konieczności! Ty co ranić umiesz i jad w rany zadane zapuszczać, gdy spotkasz dziecko, niewiastę lub młodzieńca wiosennej tkliwości, — lecz nie potrafisz rozmówić się ani z Bogiem modlitwą, ani z mężem mądrością, ani ze sobą nawet samym wiarą i przekonaniem! Ty cheiwy władzy, ty człowieku możny zmysłami i namiętnością i siłą jakąś okropną, utajoną w tobie! — nie zastawiaj się pierwszym lepszym z uwiedzionych przez ciebie, — ale w imię Boga, sędziego nas wszystkich, Pana narodów i Duchów, pana mojego i twego odpowiedz: Wierzysz li sam, temu coś tu oświadczył przed nami?

PREZES.

On, czy wierzy? On! kto? Pankracy! Ah! to już za wiele — nie bluźń takiemu demokracie, ty arystokrato!

ALIGIER.

Wzywam cię, wzywam potęgą mi nadaną, tkwiącą w głębinach istoty mojej, za to żem cierpiał wszystkością serca mego nad wszystkimi cierpieniami braci moich, od kiedym rozemknął oczy i ujrzał że piękny świat i piękne słońce — i Bóg wszechdobry i wszechmiłosierny, a Ludzkość nieszczęśliwa, — a wśród nieszczęśliwej Ludzkości, pierwszy nieszczęściem i bolem polski mój naród! Wzywam cię, odpowiedz mi! Gdy spojrzę na kogo, zwykle mi

PANKRACY.

Czy myślisz, arcyprzewielebny, że mnie tłumem tym osaczywszy, obalisz na kolana przed sobą? że w tych głuchych podziemiach, gdy skiniesz, ty co krwawego nie masz nakazu, ci twoi mnie zarzną! Puszczajcie mnie narodowe chóry!

PREZES.

Łańcuchem nierozzerwalnym stójcie koło niewiernego.

PANKRACY.

Blaumanie, Kiermaszu, Julinicz, do puginałów!

PREZES.

Ilu tych kacerzy, wnieść trumien tyle!

PANKRACY.

Do broni, wszyscy, do broni! — za mną! Jeśli chcecie żyć i czynić a nie marnieć, — za mną! Jeśli chcecie ujrzeć na oczy, to co mózgiem myślicie, czego pożądacie piersią, — za mną! Z jakiegobądź rodu i narodu jesteście — za mną!

PREZES.

Zaraz trumny te ustawić rzędem — przed każdym z niewiernych jedną!

PANKRACY.

Opuszczajcie te lochy, fantastyczności, poezye, widzenia! Za mną, gdzie słońce bryłowate w górze a wrogi istotne na ziemi, by z nich wytoczyła się krew, a słońca promienie radowały się tę farbę pijąc! Czyście ślepi, głusi? Czy nikt z Włochów, Niemców, Francuzów, przy mnie się nie opowie?

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Z chóru każdego po kilku przechodzi na stronę buntownika — o biedni!

PREZES.

Trumien więcej, trumien więcej!

PANKRACY.

Co? marzysz nas zabijać gwoździemi w te pudła? czy nie widzisz w moim ręku tych pistoletów? Bronić się będziem do upadłego!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Biedny, biedny ten człowiek! on mniema, że o zgon ciała jego chodzi! Biedny, biedny!

PREZES.

Wierne chóry, ściśnijcie jeszcze bliżej ich. Tak — półkolem! A trumien dość, bo nikt więcej już nie zdradza!

PANKRACY.

Hej! jeszcze, jeszcze do mnie! Hej! zawiercie mi! o ludzie ospali! o chóry! o większości ziemskie! Czyż zawsze

mniejszość tylko dzielną i śmiałą, a wy nikczemne;—i przeto was ona wiecznie musi strachem i gwałtem w pęta swojej woli kuć!

ALIGIER.

Tyran się z ciebie odezwał!

PREZES (do Młodzieńca.)

Synu, przyszedłeś tu szukać prawdy i zbawienia—znalazłeś zgorzenie! Lepiejby temu, który gorszy serca niewinnych, było się nie urodzić. Teraz posłuchaj nad nim wyroku!

PANKRACY.

Jeśli mnie i moich nie puścicie, strzelę!

PREZES.

Rozdzieram szatę ona białą i czystą na piersiach, przed wami wszystkimi, narody i ludzie! Bo muszę z tronu tego rzucić śmierć na jednego z żyjących, — bo muszę wyrzec przekleństwo nad duchem, któremu niegdyś jak wszystkim wam, pobłogosławiłem!

PANKRACY.

Strzelę — do arcy-przewielebnego samego strzelę!

MŁODZIENIEC.

Spojrż tu, wrogu ojców mych! Czy widzisz lufę mego pistoletu? patrzy się czarnem okiem na czoło twe; — jeśli palcem na cynglu zadrgniesz, to nie ten, który na tronie, lecz tyś zginął! Strzeż się!

PREZES.

Pankracy! naznaczonyś piętnem potępieńców! Po wieki wszystkie bywali na ziemi, — kusicielką ich pycha — czynem ich, niszczenie! Każdą ideę nieborodną, przez Pana zesłaną w świat, odpychają od świata w niebo nazad, niecnie służąc jej; — bo nie jej, ale sobie w jej imieniu służą. I Bóg od nich przyjmowany jak szatan, oddala się precz błędny z gniewu, że takie sługi ma. Jesteś jednym z nich! Ty się sprzeniewierzysz świętościom ogłaszanych tu! Ty zdradzisz Chrystusa! Ty zdradzisz Ducha Świętego! Tyś im faryzeusz taki sam, jak królów pochlebcy, jak świętoszki, jak donosiciele, jak szpiegi! Albo marnie przepaździesz, albo też wstrzymasz rozwój Ludzkości, — odwrócisz ją z toru wstępnego, na boczne manowce, — każesz jej po kałużach brudzić stopy białe — wieki przerazisz i cofną się w tył! Czegoby nie dokonał wszystkich mocarzy przebieg, moc, gwałt, ty dokonasz! Więc w imieniu Ludzkości, więc w imieniu Ducha Świętego, przekleństwo na

tobie kładę, o duchu zgubiony; bo kto przeciwko miłości wiekuistej, ten—wiedz o tem,—choćby zwyciężył—ten zginiel

PANKRACY.

Do widzenia w wieczności!

PREZES.

Te trumny, to pogrzeb wasz — na wiele, wiele wieków cofnięcie, o kacerze! — i umieracie w tej chwili, a śmiercią gorszą, niż gdybym was kazał stracić — bobym ducha wam nie mógł kazać odebrać — samiście sobie odebrali go! Idźcie więc z ciałami waszemi, — w tych trumnach myśli Boże o was, które wami być miały samymi, a w któreście wżyć się nie podobałi — w tych trumnach, to co w was ludzkiego było na ziemi!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Idei fałszerze! idei najzaciętsze wrogi! Wy co ją krzyżować będziecie a szydersko, bo mianując się jej synami! Wy umierający, — wy, skoro za ten próg przejdziecie, umarli! Idźcie, idźcie precz!

PREZES.

Wszystkie chóry ziemskie, narody i ludzie bierzcie kaźden do ręki gromnicę — śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PANKRACY.

Kiermasz, nie blednij tak — Blauman, i ty także? Julinicz, czy u was poetów nerwy strunami lutni, że tak drgają? I cóż z tego, że tych gromnic czerwieni się krąg? że hymnów grobowych rozlega się dźwięk i to nawet sklepienie z granitu zdaje się śpiewać i nam wróżyć zgon!

PREZES.

Naczelnik chóru polskiego umarł — Aligier, obejmij nad współbracią rząd i jej wodzem bądź!

PANKRACY.

Ach! arystokracji doradzca zastępcą mym! Kordecki, Ręytanie, Ligęzo, Rymszo, Kazanowski, nie pójdziecież za mną?

CHÓR POLSKI.

Pozostajem tu. Szabla i Bóg, nie noże i srom — oto hasło nasze!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń. Przeszłość rozdeptali — nie pojęli przyszłości — terażniejszość potworzenie przez nich! Więc w czasie ich nie ma, bo obrazili, okaleczyli, rozświetowali czas! Gdzież oni są? w nicestwie ducha są! Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PREZES.

Nieście ich trumny za nimi — odprowadźcie ich aż do tajemniczego progu. Rozemknijcie im ścianę podziemia!

PANKRACY.

Dziękuję ci, arcy-przewielebny! walczyć będziem ze sobą, bo ja — dobrześ powiedział — ja niszcyciel! Lecz zdrady nie obawiaj się — powierzchnia ziemi od żadnego z nas nie usłyszcy ani o tobie ani o twoich!

PREZES.

Kto Judaszem wiekuistej idei, stać się może i ludziom Judaszem!

PANKRACY.

Nie! nie! Ty nie myślisz tak o mnie!

PREZES.

Żyjący z umarłymi nie mówią — dość już — amen!

PANKRACY.

Dawajcie klucze — oto próg — duszno tu. Lepiejbyście płuc nie suszyli sobie takim śpiewem — odmykajcież!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Do końca, do końca śpiewajcie im pogrzebową pieśń!

PREZES.

A teraz niech każdy do nich mówi: „Zgaśliście.“

PANKRACY.

Kiedyż koniec będzie obrzędowi tym?

PREZES.

A teraz niech każdy zgasi gromnicę swą i iskry i popiół strząśnie po nad głową im!

PANKRACY.

Puszczajcie!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Umarli — umarli — umarli!

PREZES.

Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach. Zgorszeniście i smutni. Za winą, sąd nastąpił — nastąpiła i kara. Módlcie się i rozpamiętujcie — a pokusy nie przypuszczajcie do serca, — bo wiednym ducha, grzech przeciwko Duchowi, darowanym nie jest! Idźcie! — na dzisiejszą noc, rozwiązany Zbór!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach!....

(KONIEC POZOSTAŁEGO RĘKOPISMU).

NIE - BOSKA

KOMEDYJA.

„Do błędów nagromadzonych przez przodków dodali to, czego nie znali ich przodkowie — wahanie się i bojaźń — i stało się zatem że zniknęli z powierzchni ziemi, i wielkie milczenie jest po nich“.

BEZIMIENNY.

„To be or not to be, that is the question“.

HAMLET.

I.

Gwiazdy w około twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzysz jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem — chwale twojej niby nie zrówna.

Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszkę palców twoich — lzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknnością. — Biada ci — biada. — Dziecię co płacze na łonie mamki — kwiat polny co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie.

Zkądżeś powstał marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironii? — kto ci dał życie niekzemne, tak zwodnicze, że potrafiśz udać Anioła chwilą nim zagrążniesz w błoto, nim jak płaz pójdiesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek.

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich, — twoje rozpacje i westchnienia opadają na dół, i szatan je zbiera, dodaje w radości

do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana.

Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezyo, matko Piękności i Zbawienia. Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywymi głosami twej chwały.

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki, Pan przed którym się uniąją stworzenia i mówią: „On jest tutaj.“ — Taki cię będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swoim, a nie oddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. On będzie kochał i ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawczasie, i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata sobie przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek.

ANIOŁ STRÓŻ.

Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce — on jeszcze zbawion być może. Żono dobra i skromna, zjaw się dla niego — i dziecko niechaj się urodzi w domu waszym.

(Przelatuje).

CHÓR ZŁYCH DUCHÓW.

W drogę, w drogę widma lećcie ku niemu. — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy umarłej wczoraj, odświeżony w mgłę i ubrany w kwiaty, dziewico kochanko poety, naprzód.

W drogę i ty sławo, stary orle wypchany w piekle, zdjęty z pala kędy cię strzelec zawiesił w jesieni — leć i roztoocz skrzydła, wielkie, białe od słońca, nad głową poety.

Z naszych sklepów wynijdź spruchniały obrazie Edenu, dzieło Belzebuba — dziury zalepim i rozwiedziemy pokostem — a potem płótno czarodziejskie zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż naokoło niego, opasz go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem. — Matko naturo, otocz poetę!

Wieś. — Kościół -- nad kościołem ANIOŁ STRÓŻ się kołysze.

Jeśli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego.

(Znika).

Wnattrz kościoła. — Świadki. — Gromnica na ołtarzu. — KSIĄDZ (ślub daje).

Pamiętajcie na to.

Wstaje para. — MAŻ ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu. — Wszyscy wychodzą. — On sam zostaje w kościele.

Zstąpiłem do ziemskich ślubów, bom znalazł tę, o której marzyłem — przekleństwo mojej głowie, jeśli ją kiedy kochać przestanę.

Konnata pełna osób. — Bal. — Muzyka. — Świece. — Kwiaty. — Panna młoda walcuje i po kilku okręgach staje, przypadkiem napotyka męża w tłumie i głowę opiera na jego ramieniu.

PAN MEODY.

Jakżeś mi piękna w osłabieniu swoim — w nieładzie kwiaty i perły na włosach twoich, płoniesz ze wstydu i znużenia — o wiecznie, wiecznie będziesz pieśnią moją.

PANNA MEODA.

Będę wierną żoną tobie, jako Matka mówiła, jako serce mówi. — Ale tyle ludzi jest tutaj — tak gorąco i huczno.

PAN MEODY.

Idź zraz jeszcze w taniec, a ja tu stać będę i patrzeć na cię, jakem nieraz w myśli patrzył na sunących aniołów.

PANNA MEODA.

Pójdę jeśli chcesz, ale już sił prawie nie mam.

PAN MEODY.

Proszę cię, moje kochanie.

(Taniec i muzyka).

Noc pochmurna — DUCH ZEY (pod postacią dziewicy, lećąc).

Niedawnom jeszcze biegła po ziemi, w taką samą porę — teraz gnają mnie czarty i każą świętą udawać.

(Leci nad ogrodem).

Kwiaty odrywajcie się i lećcie do moich włosów. —

(Leci nad cmentarzem).

Świeżość i wdzięki umarłych dziewic rozlane w powietrzu, płynące nad mogiłami, lećcie do jagód moich.

Tu czarnowłosa się rozsypuje — cienie jej pukłów zawiśnijcie mi nad czołem. — Pod tym kamieniem zgasłych dwoje ocz błękitnych — do mnie, do mnie ogień co tłał w nich. — Za temi kraty sto gromnic się pali — księżnę dziś pochowano — suknie atlasowa, biała jak mleko, oderwij się od niej — przez kraty leci suknia do mnie, trzepocząc się jak ptak — a dalej a dalej.

Pokój sypialny. — Lampa nocna stoi na stole i blade oświeca męża śpiącego obok żony.

MĄŻ (przez sen).

Skądże przybywasz niewidziana, niesłyszana oddawna, jak woda płynie tak płyną twoje stopy, dwie fale białe,

pokój świątobliwy na skroniach twoich — wszystko com
marzył i kochał, zeszło się w tobie.

(Przebudza się).

Gdzież jestem! — ha! przy żonie — to moja żona —

(Wpatruje się w żonę)

Sądziłem, że to ty jesteś marzeniem mojem, a otóż po
długiej przerwie, wróciło ono i różnem jest od ciebie. — Ty
dobra i miła, ale tamta..... Boże co widzę — na jawie.

DZIEWICA.

Zdradziłeś mnie.

(Znika).

MĄŻ.

Przekłeta niech będzie chwila, w której pojąłem ko-
bietę, w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl myśli
moich, duszę duszy mojej.....

ŻONA (przebudza się).

Co się stało — czy już dzień — czy powóz zaszedł? —
wszak mamy jechać dzisiaj po różne sprawunki.

MĄŻ.

Noc głucha — śpij — śpij głęboko.

ŻONA.

Możesz zasłaść nagle, mój drogi, wstanę i dam ci eteru.

MĄŻ.

Zaśnij.

ŻONA.

Powiedz mi, drogi, co masz, bo głos twój niezwyczajny
i gorączką nabiegły ci jagody.

MĄŻ (zrywając się).

Świeżego powietrza mi trzeba — zostań się — przez
Boga niechodź za mną — nie wstawaj, powiadam ci raz jeszcze.

(Wychodzi).

Ogród przy świetle księżycy. — Za parkanem kościół.

MĄŻ.

Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem
zarłoków, snem fabrykanta niemca przy żonie niemce,
świat cały jakoś zasnął w około mnie na podobieństwo

moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecko ma się narodzić, myślałem o mamce.

(Bije druga na wieży kościoła).

Do mnie, państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich, niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem.

(Chodzi i załamuje ręce).

Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał; czyś Ty sam wyrzekł że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę, i ciała gdyby dwa trupy zostawiały przy sobie.

Znowu jesteś przy mnie — o moja — o moja, zabierz mnie z sobą — jeśliś złudzeniem, jeśliś cię wymyślił, a tyś się utworzyła ze mnie i teraz objawiasz się mnie, niechże i ja będę marą, stanę się mgłą i dymem, by zjednoczyć się z tobą.

DZIEWICA.

Pójdieszli za mną w którykolwiek dzień przylecę po ciebie?

MĄŻ.

O każdej chwili twoim jestem.

DZIEWICA.

Pamiętaj.

MĄŻ.

Zostań się — nierozpraszcaj się jako sen — Jeśliś pięknością nad pięknosciami, pomysłem nad wszystkimi myślami, czemuż nie trwasz dłużej od jednego życzenia, od jednej myśli?

(Okno otwiera się w przyległym domu).

GŁOS KOBIECY.

Mój drogi, chłód nocy spadnie ci na piersi; wracaj, mój najlepszy, bo mi tęskno samej w tym czarnym, dużym pokoju. —

MĄŻ.

Dobrze — zaraz.

Znikł duch, ale obiecał że powróci, a wtedy żegnaj mi ogródka, i domku, i ty stworzona dla ogródka i domku, ale nie dla mnie.

GEOS.

Zmiłuj się — coraz chłodniej nad rankiem.

MĄŻ.

A dziecię moje — o Boże!

(Wychodzi).

Salon. — Dwie świece na fortepianie. — Kolebka z uśpionem dzieckiem w kącie. — Mąż rozciągnięty na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach. — Żona przy fortepianie.

ŻONA.

Byłam u Ojca Benjamina, obiecał mi się pojutrze.

MĄŻ.

Dziękuję ci.

ŻONA.

Posłałam do cukiernika żeby kilka tortów przysposobił, boś podobno dużo gości sprosił na chrzciny — wiesz — takie czekoladowe z cyfrą Jerzego Stanisława.

MĄŻ.

Dziękuję ci.

ŻONA.

Bogu dzięki, że już raz się odbędzie ten obrządek, — że Orcio nasz zupełnie chrześcianinem się stanie — bo choć już chrzczony z wody, zdawało mi się zawsze, że mu nie dostaje czegoś.

(Idzie do kolebki).

Spij moje dziecię — czy już się tobie coś śni, że rzuciłeś kołderkę — ot, tak — teraz leż tak — Orcio mi dzisiaj niespokojny — mój maleńki — mój śliczny, spij.

MĄŻ (na stronie).

Parno — duszno — burza się gotuje — rychłoż tam ozwie się piorun, a tu pęknie serce moje.

ŻONA (wraca, siada do fortepianu, gra i przerywa, znowu grać zaczyna i przestaje znowu).

Dzisiaj, wczoraj — ah! mój ty Boże, i przez cały tydzień, i już od trzech tygodni, od miesiąca słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy, których widzę, mówią mi, że źle wyglądam.

MĄŻ (na stronie.)

Nadeszła godzina — nie jej nie odwlecze.

(Głosno.)

Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz.

ŻONA.

Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się kiedy wchodzę i zakrywasz oczy kiedy siedzę blisko. — Wczoraj byłam u spowiedzi i przypomniałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleźć takiego coby cię obrazić mogło.

MĄŻ.

Nie obraziłaś mnie.

ŻONA.

Mój Boże. — Mój Boże.

MĄŻ.

Czuję, że powinienem cię kochać.

ŻONA.

Dobież mnie tem jednym: „powiniennem“ — Ah! lepiej wstań i powiedz — „nie Kocham“ — przynajmniej już będę wiedziała wszystko — wszystko.

(Zrywa się i bierze dziecko z kolebki.)

Jego nie opuszczaj, a ja się na gniew twój poświęcę — dziecko moje Kochaj — dziecko moje, Henryku.

(Przyklęka.)

MĄŻ (podnosząc).

Nie zważaj na to com powiedział — napadają mnie często złe chwile — nudy.

ŻONA.

O jedno słowo cię proszę — o jedną obietnicę tylko — powiedz że go zawsze Kochać będziesz.

MĄŻ.

I ciebie i jego — wierzaj mi.

Całuje ją w czoło, — a ona go obejmuje ramionami — wtem grzmot słycać — zaraz potem muzykę — akkord po akkordzie i coraz dziksz.

ŻONA.

Cóż to znaczy?

(Dziecię ciśnie do piersi.)

(Muzyka się urywa.)

Wchodzi DZIEWICA.

O mój luby, przynoszę ci błogosławieństwo i rozkosz —
chodź za mną.

O mój luby, odrzuć ziemskie łańcuchy które cię pę-
tają. — Ja ze świata świeżego, bez końca, bez nocy. — Jam
twoja.

ŻONA.

Najświętsza Panno, ratuj mnie! — to widmo blade jak
umarły — oczy zgasłe, i głos jak skrzywienie woza na któ-
rym trup leży.

MĄŻ.

Twe czoło jasne, twój włos kwieciem przetykany, o luba.

ŻONA.

Całun w szmatach opada jej z ramion.

MĄŻ.

Światło leje się na około ciebie — głos twój raz je-
szcze — niechaj zaginę potem.

DZIEWICA.

Ta która cię wstrzymuje jest złudzeniem. — Jej ży-
cie znikome — jej miłość jako liść co ginie wśród tysiąca
zeschłych — ale ja nie przeminę.

ŻONA.

Henryku, Henryku zasłoń mnie, nie daj mnie — czuję
siarkę i zaduch grobowy.

MĄŻ.

Kobieto z gliny i błota, nie zazdrość, nie powtarzaj —
nie bluźń — patrz — to myśl pierwsza Boga o tobie, ale
tyś poszła za radą węża i stałaś się czem jesteś.

ŻONA.

Nie puszczę cię.

MĄŻ.

O luba! rzucam dom i idę za tobą.

(Wychodzi).

ŻONA.

Henryku — Heńryku.

(mdleje i pada z dzieckiem — długi grzmot).

Chrzest. — Goście. — Ojciec Benjamin — Ojciec chrzestny. — Matka chrzestna. — Mamka z dzieckiem. — Na sofie na boku siedzi Żona. — W głębi służący.

PIERWSZY GOŚĆ, (po cichu).

Dziwna rzecz, gdzie hrabia się podział.

DRUGI GOŚĆ.

Zabałamucił się gdzieś lub pisze.

PIERWSZY GOŚĆ.

A Pani blada, niewyspana, słowa do nikogo nie przemówiła.

TRZECI GOŚĆ.

Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale na który zaprosiwszy gospodarz, zgra się w wilią w karty, a potem gości przyjmuje z grzeczności rozpacz.

CZWARTY GOŚĆ.

Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem że będzie sute śniadanie, a zamiast tego, jako Pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów.

OJCIEC BENJAMIN.

Jerzy Stanisławie przyjmujesz olej święty?

OJCIEC I MATKA CHRZESTNA.

Przyjmuję.

JEDEN Z GOŚCI.

Patrzcie, wstała i stąpa jak gdyby we śnie.

DRUGI GOŚĆ.

Roztoczyła ręce przed się, i chwiejąc się idzie ku synowi.

TRZECI GOŚĆ.

Co mówicie — podajmy jej ramię, bo zemdleje.

OJCIEC BENJAMIN.

Jerzy Stanisławie, wyrzekasz się Szatana i pychy jego?

OJCIEC I MATKA CHRZESTNA.

Wyrzekam się.

JEDEN Z GOŚCI.

Cyt — słuchajcie.

ŻONA (kładąc dłoń na głowie dziecicy).

Gdzie Ojciec twój, Orcio.

OJCIEC BENJAMIN.

Proszę nie przerywać.

ŻONA.

Błogosławię cię, Orciu, błogosławię, dziecię moje. —
Bądź poetą, aby cię Ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś.

MATKA CHRZESTNA.

Ale pozwólże, moja Marysiu.

ŻONA.

Ty Ojcu zasłużysz się i przypodobasz. — A wtedy on
twojej Matce przebaczy.

OJCIEC BENJAMIN

Bój się Pani Hrabina Boga.

ŻONA.

Przeklinam cię, jeśli nie będziesz Poetą.

(mdleje — wynoszą ją sługi)

GOŚCIE (razem).

Coś nadzwyczajnego zaszło w tym domu — wychodź-
my, wychodźmy.

(Tymczasem obrząd się kończy — dziecię płaczące odnoszą do kolebki).

OJCIEC CHRZESTNY (przed kolebką).

Jerzy Stanisławie, dopiero coś został Chrześcianinem
i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz
obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znako-
mitym urzędnikiem — pamiętaj, że Ojczyznę kochać trzeba,
i że nawet za Ojczyznę zginąć jest pięknie...

(Wychodzą wszyscy)

Piękna okolica. — Wzgórza i lasy. — Góry w oddali.

MĄŻ.

Tegom żądał, o to przez długie modliłem się lata, i
nareszcie już blisko mojego celu — świat, ludzi zostawi-
łem z tyłu — niechaj sobie tam każda mrówka bieży i bawi
się dębem swoim, a kiedy go upuści niech skacze ze zło-
ści lub umiera z żalu.

GOŚCIE DZIEWIOY.

Tędy — Tędy.

(przechodzą).

Góry i przepaście ponad morzem. — Gęste chmury. Burza.

MĄŻ.

Gdzie mi się podziała — nagle rozplynęły się wonie

poranku, pogoda się zaćmiła — stoję na tym szczycie, otchłań podemną, i wiatry huczą przeraźliwie.

GEOS DZIEWIICY, (w oddaleniu).

Do mnie, mój luby.

MAŻ.

Jakże już daleko, a ja przesadzić nie zdołam przepaści.

GEOS (w pobliżu).

Gdzie skrzydła twoje?

MAŻ.

Zły duchu, co się natrząsasze ze mnie, gardzę tobą.

GEOS DRUGI.

U wiszaru góry, twoja wielka dusza, nieśmiertelna, co jednym rzutem niebo przelecieć miała, ot kona! — i nieboga twoich stóp się prosi, by nie szły dalej — wielka dusza — serce wielkie.

MAŻ.

Pokażcie mi się, weźcie postać którąbym mógł zgiąć i obalić. — Jeśli się was ulęknę, bodajbym Jej nie otrzymał nigdy.

DZIEWICA (na drugiej stronie przepaści).

Uwiąż się dłoni mojej i wzleć.

MAŻ.

Cóż się dzieje z tobą — kwiaty odrywają się od skroni twoich i padają na ziemię, a jak tylko się jej dotkną ślizgają jak jaszczurki, czołgają jak żmije.

DZIEWICA.

Mój luby.

MAŻ.

Przez Boga, suknię wiatr zdarł ci z ramion i rozdarł w szmaty.

DZIEWICA.

Czemu się ociągasz?

MAŻ.

Deszcz kapie z włosów — kości nagie wyzierają z łona.

DZIEWICA.

Obiecałeś — przysiągłeś.

MAŻ.

Błyskawica zrzenice jej wyżarła.

CHÓR DUCHÓW ZEYCH.

Stara wracaj do piekła — uwiodłaś serce wielkie i

dumne, podziw ludzi i siebie samego. — Serce wielkie, idź za lubą swoją.

MĄŻ.

Boże, czy ty mnie za to potępisz, żem uwierzył iż twoja piękność przenosi o całe niebo piękność tej ziemi — za to żem ścigał za nią i męczył się dla niej, ażem stał się igrzyskiem szatanów.

DUCH ZŁY.

Słuchajcie, bracia — słuchajcie.

MĄŻ.

Dobija ostatnia godzina. — Burza kręci się czarnemi wiry — morze dobywa się na skały i ciągnie ku mnie — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — coraz bliżej — z tyłu tłum ludzi wsiadł mi na barki i prze ku otchłani.

DUCH ZŁY.

Radujcie się, bracia — radujcie.

MĄŻ.

Napróżno walczyć — rozkosz otchłani mnie porywa, zawrot w duszy mojej — Boże — wróg Twój zwycięża! —

ANIOŁ STRÓŻ (po nad morzem).

Pokój wam, bałwany, uciszcie się.

W tej chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta.

Wracaj do domu i nie grzesz więcej.

Wracaj do domu i kochaj dziecię twoje.

Salon z fortepianem. — Wchodzi Mąż. — Służący ze świecą za nim.

MĄŻ.

Gdzie Pani?

SŁUGA.

J. W. Pani słaba.

MĄŻ.

Byłam w jej pokoju — pusty.

SŁUGA.

Jasny Panie, bo J. W. Pani tu nie ma.

MĄŻ.

A gdzie?

SŁUGA.

Odwieźli ją wczoraj...

MĄŻ.

Gdzie?

SŁUGA.

Do domu waryatów.

(ucleka z pokoju).

MĄŻ.

Słuchaj Maryo, może ty udajesz, skryłaś się gdzie żeby mnie ukarać, ozwij się, proszę cię — Maryo — Marysiu.

Nie — nikt nie odpowiada — Janie — Katarzyno.
— Ten dom cały ogłuchł — oniemiał.

Tę której przysiągłem na wierność i szczęście, sam straciłem do rzędu potępionych już na tym świecie. — Wszystko czegom się dotknął zniszczyłem, i siebie samego zniszczę w końcu. — Czyż na to piekło mnie wypuściło, bym trochę dłużej był jego żywym obrazem na ziemi?

Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy. — Jakież dźwięki otoczą ją w noc. — Skowyczenia i śpiewy obłąkanych. Widzę ją — czoło na którym zawsze myśl spokojna, witająca — uprzejma — przezierała — pochylone trzyma — a myśl dobrą swoją posłała w nieznanne obszary, może za mną, i błąka się biedna i płacze.

GŁOS SKĄDŚSIŚ.

Dramat układasz.

MĄŻ.

Ha! — mój Szatan się odzywa.

(bieży ku drzwiom, rozpycha podwoje).

Tatara mi osiodłać — płaszcz mój i pistolety.

Dom obłąkanych w górzystej okolicy. — Ogród wokoło.

ŻONA DOKTORA (z pękiem kluczków u drzwi).

Może Pan krewny Hrabiny.

MĄŻ.

Jestem przyjacielem jej męża, on mnie tu przysłał.

ŻONA DOKTORA.

Proszę Pana — wiele sobie z niej obiecywać nie sposób — mój mąż wyjechał, byłby to lepiej wyłuszczył — przywieźli ją zawczoraj — była w konwulsjach. — Jakie gorąco

(obciera twarz).

Mamy dużo chorych — żadnego jednak tak niebezpiecznego jak ona. — Imainuj sobie Pan, ten Instytut kosztuje nas ze dwakroć sto tysięcy. — Patrz Pan jaki widok na góry — ale Pan widzę niecierpliwy — więc to nieprawda, że Jakóbiny jej męża porwali w nocy? — proszę Pana.

Pokój — Kratowane okno. — Kilka krzeseł. — Łóżko. — Żona na kanapie.

MAŻ (wchodzi).

Chcę być z nią sam na sam.

GŁOS Z ZA DRZWI.

Mój mąż by się gniewał, gdyby...

MAŻ.

Dajże mi W. Pani pokój.

(drzwi za sobą zamyka i idzie ku żonie).

GŁOS Z NAD SUFITU.

W łańcuchy spętaliście Boga. — Już jeden umarł na krzyżu. — Ja drugi Bóg, i równie wśród katów.

GŁOS Z POD PODEŁGI.

Na rusztowanie głowy królów i panów — ode mnie poczyna się wolność ludu.

GŁOS Z ZA PRAWĘJ ŚCIANY.

Kłękajcie przed królem panem waszym.

GŁOS Z ZA LEWEJ ŚCIANY.

Kometa na niebie już błyska — dzień strasznego sądu się zbliża.

MAŻ.

Czy mnie poznajesz, Maryo?

ŻONA.

Przysięgłam ci na wierność do grobu.

MAŻ.

Chodź, daj mi ramię, wyjdziemy.

ŻONA.

Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy.

MAŻ.

Pozwól, wyniosę ciebie.

ŻONA.

Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną ciebie.

MAŻ.

Jakto?

ŻONA.

Modliłam się trzy nocy, i Bóg mnie wysłuchał.

MAŻ.

Nie rozumiem cię.

ŻONA.

Odkiedym cię straciła zaszła odmiana we mnie. — „Panie Boże“ mówiłam, i biłam się w piersi, i gromnicę przystawiałam do piersi, i pokutowałam, „spuść na mnie ducha poezyi“ i trzeciego dnia z rana stałam się poetą.

MAŻ.

Maryo.

ŻONA.

Henryku, mną teraz już nie pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorem już mnie nie będziesz porzucał.

MAŻ.

Nigdy, nigdy.

ŻONA.

Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą — wszystko pojmem, zrozumiem, wydam, wygram, wyśpiwam. Morze, gwiazdy, burza, bitwa. — Tak, gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. Musisz mnie zaprowadzić na bitwę — ujrzę i opiszę — trup, całun, krew, fala, rosa, trumna.

Nieskończoność mnie obleje,
I jak ptak w nieskończoności
Błękit skrzydłami rozwieję,
I lecąc się rozemdleję
W czarnej nicości.

MAŻ.

Przekleństwo — przekleństwo.

ŻONA, (obejmuje go ramionami i całuje w usta.)

Henryku mój, Henryku, jakżem szczęśliwa.

GŁOS Z POD POSADZKI.

Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu śpiewających mszę.

GŁOS Z LEWEJ STRONY.

Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich — niestety — niestety.

MĄŻ.

Dla mnie już nadszedł dzień sądu.

ŻONA.

Rozjaśnij czoło, bo smucisz mnie na nowo — czegoż ci nie dostaje? wiesz, powiem ci coś jeszcze.

MĄŻ.

Mów a wszystkiego dopełnię.

ŻONA.

Twój syn będzie poetą.

MĄŻ.

Co?

ŻONA.

Na chrzcie Ksiądz mu dał pierwsze imię — poeta — a następne znasz, Jerzy Stanisław — jam to sprawiła — błogosławiłam, dodałam przeklęstwo — on będzie poetą. — Ach! jakże cię Kocham, Henryku.

GEOS Z SUFITU.

Daruj im, Ojczy, bo nie wiedzą co czynią.

ŻONA.

Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawdaż?

MĄŻ.

Najdziwniejsze.

ŻONA.

On nie wie co gada, ale ja ci ogłoszę coby było gdyby Bóg oszalał.

(Bierze go za rękę.)

Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy „Ja Bogiem“ — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. Czy słyszysz jak ten Krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a co raz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków. — Najświętsza Bogarodzica jedna się jeszcze modli i gwiazdy jej służebnice nie odbiegły jej dotąd — ale i ona pójdzie kędy idzie świat cały.

MĄŻ.

Maryo, może chcesz widzieć syna?

ŻONA.

Jam mu skrzydła przypięła, posłała między światy, by się napoił wszystkim co piękne, i straszne i wzniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. — Ah!

MĄŻ.

Źle tobie?

ŻONA.

W głowie mi ktoś lampę zawiesił, i lampa się kołysze nieznośnie.

MĄŻ.

Maryo, moja najdroższa, bądźże mi spokojna, jako dawniej byłaś!

ŻONA.

Kto jest poetą ten nie żyje długo.

MĄŻ.

Hej! ratunku — pomocy.

(Wpadają kobiety i żona doktora.)

ŻONA DOKTORA.

Pigułek — proszków — nie — nic zsiadłego — owszem płynne jakie lekarstwo. — Małgosiu, bież do apteczki. — Pan sam temu przyczyną — mój mąż mnie wyłaje.

ŻONA.

Żegnam cię, Henryku.

ŻONA DOKTORA.

To J. W. Hrabia sam w osobie swojej.

MĄŻ.

Maryo, Maryo.

(Ścisła ją.)

ŻONA.

Dobrze mi, bo umieram przy tobie.

(Spuszcza głowę.)

ŻONA DOKTORA.

Jaka czerwona. — Krew rzuciła się do mózgu.

MĄŻ.

Ale jej nie nie będzie!

(Wchodzi doktor i zbliża się do kanapy.)

DOKTOR.

Już jej nie ma — umarła.

II.

Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czarcie małeńki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone choć żywe, pełne wspomnień choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Zkąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronia twoje obarczone myślami?

A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża, i pukle odwijając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba — powiedz co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici płynące z niewidzialnego kłębka — bo w oczach twoich jaśnieje iskra, której nikt nie rozumie — a mamka twoja płacze i woła na ciebie i myśli że jej nie kochasz — a znajomi i krewni wołają na ciebie, i myślą że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy, i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie.

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia, i ogłosił że masz nerwy. — Ojciec Chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją, i wyrzekł, że masz zdatność do nauk ścisłych. — Ubogi, któremuś dał grosz przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił, i krzyknął „będziesz pułkownikiem“. — Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nie wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata

wziąć nie chciała. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy, długimi palcami twarz ci okrzył, i przeląkł się, bo czuł że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał układow przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętymi duchami.

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: „Jakie śliczne dziecko“ — Gdyby kwiat co wędnie miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku chylącym się ku ziemi anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecko moje — może takie bywały przed upadkiem Adama.

Cmentarz. — Mąż. — Orcio przy grobie w gotyckie filary i wieżyczki.

MĄŻ.

Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki.

ORCIO.

Zdrowaś Panno Maryo, łaskiś Bożej pełna, Królowa niebios, Pani wszystkiego co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami.....

MĄŻ.

Czego odmieniasz słowa modlitwy — módl się jak cię nauczono, za matkę która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skołała.

ORCIO.

Zdrowaś Panno Maryo, łaskiś Bożej pełna, Pan z tobą, błogosławionaś ty między Aniołami, i każdy z nich kiedy przechodzisz, tęczę jedną z skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich, jak gdyby falach.....

MĄŻ.

Orcio!

ORCIO.

Kiedy mi te słowa się nawijają i bolą w głowie tak, że proszę Papy, muszę je powiedzieć.

MĄŻ.

Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać.

ORCIO.

Widuję bardzo często Mamę.

MĄŻ.

Gdzie, mój maleńki?

ORCIO.

We śnie, to jest niezupełnie we śnie, ale tak kiedy zasypiam, naprzykład zawczoraj.

MĄŻ.

Dziecko moje, co ty gadasz?

ORCIO.

Była bardzo biała i wychudła.

MĄŻ.

A mówiła co do ciebie?

ORCIO.

Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała, i mówiła:

Ja błąkam się wszędzie,
Ja wszędzie się wdzieram
Gdzie światów krawędzie,
Gdzie aniołów pienie,
I dla ciebie zbieram
Kształtów roje,
O dziecię moje!
Myśli i natchnienie.

I od duchów wyższych
I od duchów niższych
Farby i odcienie,
Dźwięki i promienie
Zbieram dla ciebie,
Byś ty, o synku mój!
Był jako są w niebie,
I ojciec twój
Kochał ciebie.

Widzi ojciec że pamiętam słowo w słowo — proszę kochanego Papy, ja nie kłamie.

MAŻ, (opierając się o filar grobu).

Maryo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć..... co ja mówię? ona gdzieś w niebie cięcha i spokojna, jak za życia na ziemi — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu.

ORCIO.

I teraz słyszę głos jej, lecz nie widzę.

MAŻ.

Zkąd — w której stronie?

ORCIO.

Jak gdyby od tych dwóch modrzewi, na które pada światło zachodzącego słońca.

Ja napoję
Usta Twoje
Dźwiękiem i potęgą,
Czoło przyozdobię
Jasnością wstęgą,
I matki miłością
Obudzę w tobie
Wszystko co ludzie na ziemi, anieli w niebie,
Nazwali pięknością, —
By ojciec twój
O synku mój!
Kochał ciebie.

MAŻ.

Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy choć dostanie się do nieba — może być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem?

ORCIO.

Głos mamy słabiej, ginie już prawie za murem kostnicy, ot tam — tam — jeszcze powtarza.

O synku mój!
By ojciec twój
Kochał ciebie.

MĄŻ.

Boże, zmiłuj się nad dzieckiem naszym, którego, zda się, że w gniewie Twoim przeznaczyłeś szaleństwu i zawczesnej śmierci. — Panie, nie wydieraj rozumu własnym stworzeniom, nie opuszczaj świątyń, któreś sam wybudował Sobie — spojrzij na męki moje, i aniołka tego nie wydawaj piekłu — mnieś przynajmniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli, namiętności i uczuć, a jemu? — dałeś ciało do pajęczyny podobne, które lada myśl wielka rozewie — o Panie Boże — o Boże!

Od lat dziesięciu dnia spokojnego nie miałem — nadsłałeś wielu ludzi na mnie, którzy mi szczęścia wieszowali, zazdrościli, życzyli — spuściłeś na mnie grad boleści i znikomych obrazów i przeczuć i marzeń — łaską Twoją na rozum spadła, nie na serce moje — dozwól dziecę ukochać w pokoju, i niechaj stanie mir już między Stwórcą i stworzonym. — Synu, przeżegnaj się i chodź ze mną. Wieczny odpoczynek.

(Wychodzą).

Spacer. — Damy i Kawalerowie. — Filozof. — Mąż.

FILOZOF.

Powtarzam, iż to jest nieodbitą, samowolną wiarą we mnie, że czas nadchodzi wyzwolenia kobiet i murzynów.

MĄŻ.

Pan masz rację.

FILOZOF.

I wielkiej do tego odmiany w towarzystwie ludzkim w szczególności i w ogólności — z czego wywodzę odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych.

MĄŻ.

Tak się panu wydaje.

FILOZOF.

Podobnie jako glob nasz się prostuje lub pochyła na osi swojej przez nagłe rewolucyje.

MAŻ.

Czy widzisz to drzewo spróchniałe?

FILOZOF.

Z młodem listkami na dolnych gałązkach.

MAŻ.

Dobrze. — Jak sądzisz — wiele lat jeszcze stać może?

FILOZOF.

Czy ja wiem — rok — dwa lata.

MAŻ.

A jednak dzisiaj wypuściło z siebie kilka listków świeżych, choć korzenie gniją coraz bardziej.

FILOZOF.

Cóż z tego?

MAŻ.

Nie — tylko że gruchnie i pójdzie precz na węgle i popiół, bo nawet stolarzowi nie zda się na nic.

FILOZOF.

Przecie nie o tem mowa.

MAŻ.

Jednak to obraz twój i wszystkich twoich, i wieku twego, i teoryi twojej.

(Przechodzą).

Wąwóz pomiędzy górami.

MAŻ.

Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli, i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem — znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądz, żadnej wiary, miłości nie ma we mnie — jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni — o synu moim że oślepnie — o towarzystwie w którem wzrosłem że rozprzęgnie się — i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie.

GŁOS ANIOŁA STRÓŻA.

Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz.

Kto się odzywa?

MEFISTO (przechodząc).

Kłaniam uniżenie — lubię czasem zastanowić podróżnych darem, który natura osadziła we mnie. — Jestem brzechomowca.

MĄŻ (podnosząc rękę do kapelusza).

Na kopersztychu podobną twarz gdzieś widziałem.

MEFISTO (na stronie).

Hrabia ma dobrą pamięć.

(Głośno).

Niech będzie pochwalon.

MĄŻ.

Na wieki wieków — amen.

MEFISTO (wchodząc pomiędzy skały.)

Ty i głupstwo twoje.

MĄŻ.

Biedne dziecię, dla win ojca, dla szału matki, przeznaczone wiecznej ślepotcie — niedopełnione, bez namiętności, żyjące tylko marzeniem, cień przelatującego anioła, rzucony na ziemię i błędzący w znikomości swojej. — Jakież ogromny orzeł wzbil się na miejscu w którym ten człowiek zniknął.

ORZEŁ.

Witam cię — witam.

MĄŻ.

Leci ku mnie cały czarny — świst jego skrzydeł jako świst tysiąca kul w boju.

ORZEŁ.

Szablą ojców twoich, bij się o ich cześć i potęgę.

MĄŻ.

Roztoczył się nademną — wzrokiem węża grzechotnika ssie mi źrzenice — ha! rozumiem ciebie.

ORZEŁ.

Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — a wrogi tve, podłe wrogi tve, pójdą w pył.

MĄŻ.

Żegnam cię wśród skał, pomiędzy którymi znikasz, bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zguba, uwierzę tobie, posłanniku chwały. — Przeszłości, bądź mi

ku pomocy — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, nie-
chaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą,
siłą i czynem.

(Zrzuca żmiję),

Idź, podły gadzie — jako straciłem ciebie i nie ma żalu
po tobie w naturze, tak oni stoczą się w dół, i po nich
żalu nie będzie — sławy nie zostanie — żadna chmura się
nie odwróci w żegludze, by spojrzeć za sobą na tyłu synów
ziemi ginących pospołu.

Oni naprzód. — Ja potem.

Błękiecie niezmierny, ty ziemię obwijasz — ziemia
niemowlęciem co zgrzyta i płacze — ale ty nie drżysz, nie
słuchasz jej, ty płyniesz w nieskończoność swoją.

Matko naturo, bądź mi zdrowa — idę się na człowieka
przetworzyć, walczyć idę z bracią moją.

Pokój. — Mąż. — Lekarz. — Orcio.

MĄŻ.

Nic mu nie pomogli — w Panu ostatnia nadzieja.

LEKARZ.

Bardzo mi zaszczytnie.....

MĄŻ.

Mów Panu, co czujesz.

ORCIO.

Już nie mogę ciebie Ojczy, i tego pana rozpoznać —
iskry i nicie czarne latają przed moimi oczyma, czasem
z nich wydobędzie się nakształt cieniutkiego węża — i nuż
robi się chmura żółta — ta chmura w górę podleci, spadnie
na dół, przyśnie z niej tęcza i to nic mnie nie boli.

LEKARZ.

Stań, Panie Jerzy, w cieniu — wiele Pan lat masz?

(Patrzy mu w oczy).

MĄŻ.

Skończył czternaście.

LEKARZ.

Teraz odwróć się do okna.

MĄŻ.

A cóż?

LEKARZ.

Powieki przesłizyczne, białka przeczyste, żyły wszystkie w porządku, mięśnie w sile.

(Do Orcia).

Śmieję się Pan z tego — Pan będziesz zdrow jak ja.

(Do Męża).

Nie ma nadziei. — Sam pan Hrabia przypatrz się źrenicy — nieczuła na światło — osłabienie zupełne nerwu optycznego.

ORCIO.

Mgłą zachodzi mi wszystko — wszystko.

MĄŻ.

Prawda — rozwarta — szara — bez życia.

ORCIO.

Kiedy spuszczę powieki, więcej widzę niż z otwartymi oczyma.

LEKARZ.

Myśl w nim ciało przepsuła — należy się bać katarakt.

MĄŻ, (odprowadzając Lekarza na stronę.)

Wszystko co żądasz — pół mojego majątku.

LEKARZ.

Dezorganizacja nie może się zreorganizować.

(Bierze kij i kapelusz).

Najniższy sługa pana Hrabiego, muszę jechać zdjąć jednej pani kataraktę.

MĄŻ.

Zmiłuj się, nie opuszczaj nas jeszcze.

LEKARZ.

Może Pan ciekawy nazwiska tej choroby.

MĄŻ.

I żadnej, żadnej nie ma nadziei?

LEKARZ.

Zowie się po grecku, amavrosis.

(Wychodzi).

MĄŻ (przyciskając syna do piersi.)

Ale ty widzisz jeszcze cokolwiek?

ORCIO.

Słyszę głos twój, Ojciec.

MAŻ.

Spojrzyj w okno, tam słońce, pogoda.

ORCIO.

Pełno postaci mi się wije między źrzenicą a powieką, widzę twarze widziane, znajome miejsca — karty książek czytanych.

MAŻ.

To widzisz jeszcze?

ORCIO.

Tak, oczyma duszy, lecz tamte pogasły.

MAŻ (padając na kolana.)

(Chwila milczenia.)

Przed kim ukląknę — gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka!

(Wstając.)

Milczmy raczej — Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw śmieje.

GEOS SKĄDSIŚ.

Twój syn poetą — czegoż żądasz więcej?

Lekarz. — Ojciec Chrzestny.

OJCIEC CHRZESTNY.

Zapewnie, to wielkie nieszczęście być ślepym.

LEKARZ.

I bardzo nadzwyczajne w tak młodym wieku.

OJCIEC CHRZESTNY.

Był zawsze słabej komplexyi, i matka jego umarła nieco..... tak.....

LEKARZ.

Jakto?

OJCIEC CHRZESTNY.

Poniekąd tak — Wać Pan rozumiesz — bez piątej klepki.

MAŻ (wchodzi.)

MAŻ.

Przepraszam pana żem go prosił o tak późnej godzinie, ale od kilku dni mój biedny syn budzi się zawsze około dwunastej, wstaje i przez sen mówi — proszę za mną.

bijem, powiesim. — Pogardzeni wstaną w gniewie swoim, w chwałę Jehowy się ustroją; słowo Jego zbawienie, miłość jego dla nas, zniszczeniem dla wszystkich. Pluńmy po trzykroć na zgubę im, potrzykroć przekleństwo im.

Namlot. — Porozrzucane butelki, kielichy.

PANKRACY.

Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą, i za każdym słowem mojem krzychało — Vivat — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? — ach! *fervide imitatorum pecus.*

(Wchodzi Leonard i Przechrzta.)

Czy znasz Hrabiego Henryka?

PRZECHRZTA.

Wielki obywatelu, z widzenia raczej niż z rozmowy — raz tylko pamiętam, przechodząc na Boże ciało krzyknął mi — „ustąp się“ — i spojrzał na mnie wzrokiem pana — za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej.

PANKRACY.

Jutro jak najraniej wybierzesz się do niego i oświadczysz, że chcę się z nim widzieć osobiście, potajemnie, pojutrze w nocy.

PRZECHRZTA.

Wiele mi dasz ludzi, bo nieostrożnie byłoby się puszcząć samemu.

PANKRACY.

Puścisz się sam, moje imię strażą twoją — szubienica na której powiesiliście Barona zawczoraj, plecami twemi.

PRZECHRZTA.

Aj waj!

PANKRACY.

Powiesz, że przyjdę do niego o dwunastej w nocy, pojutrze.

PRZECHRZTA.

A jak mnie każe zamknąć lub obje?

PANKRACY.

To będziesz męczennikiem za Wolność Ludu.

PRZECHRZTA.

Wszystko, wszystko za Wolność Ludu.

(Na stronie.)

Aj waj.

PANKRACY.

Dobranoc Obywatelu.

(Przechrzta wychodzi.)

LEONARD.

Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy — rozmowy — kiedym przysiągł uwielbiać i słuchać ciebie, to że cię miałem za bohatera ostateczności, za orła lecącego wprost do celu, za człowieka stawiającego siebie i swoich wszystkich na jedną kartę.

PANKRACY.

Milcz, dziecko.

LEONARD.

Wszyscy gotowi — przechrzty broń ukuli i powrozów nasnuli — tłumy krzyczą, wołają o rozkaz; daj rozkaz, a on pójdzie jak iskra, jak błyskawica, i w płomień się zmieni, i przejdzie w grom.

PANKRACY.

Krew ci bije do głowy — to konieczność lat twoich, a z nią walczyć nie umiesz, i to nazywasz zapalem.

LEONARD.

Rozważ, co czynisz. Arystokraty w bezsilności swojej zawarli się w Św. Trójcy i czekają naszego przybycia jak noża gilotyny. Naprzód, Mistrzu, bez zwłoki naprzód, i po nich.

PANKRACY.

Wszystko jedno — oni stracili siły ciała w rozkoszach, siły rozumu w próżniactwie — jutro czy pojutrze legnąć muszą.

LEONARD.

Kogóż się boisz — któż cię wstrzymuje.

PANKRACY.

Nikt — jedno wola moja.

LEONARD.

I na ślepo jej mam wierzyć?

PANKRACY.

Zaprawdę ci powiadam — na ślepo.

LEONARD.

Ty nas zdradzasz.

PANKRACY.

Jak zwrótką u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał....

LEONARD.

Tu szpiegów nie ma, a potem cóż?....

PANKRACY.

Nie — tylko pięć kul w twoich piersiach, za to żeś śmiały głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności.

(przystępuje do niego).

Wierz mi — daj sobie spokój.

LEONARD.

Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. — Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać, rozkaż.

PANKRACY.

Jesteś żywy, pełen nadziei i wierzysz głęboko — najszczęśliwszy z ludzi, nie chcę pozbawiać cię życia.

LEONARD.

Co mówisz?

PANKRACY.

Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś mnie zrozumiesz. — Czy posłałeś do magazynu po dwa tysiące ładunków?

LEONARD.

Posłałem Dejea z oddziałem.

PANKRACY.

A składka szewców oddana do kasy naszej?

LEONARD.

Z najszczerzym zapalem się złożyli co do jednego, i przynieśli sto tysięcy.

PANKRACY.

Jutro zaproszę ich na wieczerzę. — Czy słyszałeś co nowego o hrabim Henryku?

LEONARD.

Pogardzam za nadto panami, bym wierzył temu co o nim mówią — upadające rasy energii nie mają — mieć nie powinny, nie mogą.

PANKRACY.

On jednak zbiera swoich włościń i zaufany w ich

przywiązaniu gotuje się **186** na odsiecz zamkowi Świętej Trójcy.

LEONARD.

Kto nam zdoła się oprzeć — przecię w nas wcieliła się Idea wieku naszego.

PANKRACY.

Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę.

LEONARD.

Zabity Arystokrata.

PANKRACY.

Ale poeta zarazem. — Teraz zostaw mnie samym.

LEONARD.

Przebaczasz mi, Obywatelu?

PANKRACY.

Zaśnij spokojnie — gdybym ci nie przebaczył, jużbyś zasnął na wieki.

LEONARD.

Jutro nie będzie?

PANKRACY.

Dobrej nocy i miłego marzenia.

(Leonard wychodzi).

Hej Leonardzie!

LEONARD (wracając).

Obywatelu Wodzu.

PANKRACY.

Pojutrze w nocy pójdziesz ze mną do hrabiego Henryka.

LEONARD.

Słyszałem.

(wychodzi).

PANKRACY.

Dla czegoż mnie, wodzowi tysięcy, ten jeden człowiek na zawadzie stoi? — siły jego małe w porównaniu z mojami — kilkaset chłopów ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt..... To nę-dza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić, czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? — Ostatnia to zaporą dla mnie na tych równinach — trza ją obalić, a potem..... Myśli moja, czyż nie zdołasz ludzi siebie jako drugich ludzisz — wstydz się

przecię ty znasz swój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie się zesłała wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie — ludziom podłym, nieznanym, nadałaś imiona — ludziom bez czucia, wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje — świat nowy utworzyłaś na około siebie — a sama błądasz się i nie wiesz czem jesteś. — Nie, nie, nie, — ty jesteś wielką.

(pada na krzesło i duma.)

Bór. — Porozwieszane płótna po drzewach. — W środku łąka, na której stoi szubienica. — Szałasy. — Namioty. — Ogniska. — Beczki. — Tłumy ludzi.

MĄŻ, (przebrany, w czarnym płaszczu, z czapką ozerwoną Wolności na głowie, wchodzi, trzymając Przechrzta za ramię).

Pamiętaj.

PRZECHRZTA (po cichu.)

J. W. Panie, odprowadzę cię — nie wydam cię, na honor.

MĄŻ.

Mrugnij okiem, palec podnieś, a w łeb ci strzelę — możesz się domyślić, że nie dbam o życie twoje..... kiedyś własne na to odważył.

PRZECHRZTA.

Aj waj — żelaznemi kleszczami dłoń mi ściskasz — cóż mam robić!

MĄŻ.

Mów ze mną jak ze znajomym, z przyjacielem nowo przybyłym — cóż to za taniec?

PRZECHRZTA.

Taniec wolnych ludzi.

(tańczą mężczyźni i kobiety w około szubienicy i śpiewają).

CHÓR.

Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie — Hurra — Hurra!

Bóg nad nami nie miał litości — Hurra Hurra.

Królowie nad nami nie mieli litości — Hurra — Hurra.

Panowie nad nami nie mieli litości — Hurra — Hurra.

My dziś Boga, królom i panom za służbę podziękujęm — Hurra — Hurra.

MĄŻ (do dziewczyny.)

Ciesz się mnie żeś tak rumiana i wesoła.

DZIEWCZYNA.

A dyć tośmy długo na taki dzień czekały — juści

ja myłam talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas bym jadła sama — tańcowała sama — Hura.

MAŻ.

Tańcuj, Obywatelko.

PRZECHRZTA. (cicho.)

Zmiłuj się, JW. Panie — ktoś może cię poznać — wychodźmy.

MAŻ.

Jeśli kto mnie pozna, toś zginął — idźmy dalej.

PRZECHRZTA.

Pod tym dębem siedzi klub Lokai.

MAŻ.

Przybliżmy się.

PIERWSZY LOKAJ.

Jużem ubił mojego dawnego Pana.

DRUGI LOKAJ.

Ja szukam dotąd mojego Barona — zdrowie twoje.

KAMERDYNER.

Obywatele, schyleni nad prawidłem w pocie i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczuliśmy prawa nasze, — zdrowie klubu całego.

CHÓR LOKAJ.

Zdrowie Prezesa — on nas powiedzie drogą honoru.

KAMERDYNER.

Dziękuję, obywatele.

CHÓR LOKAJ.

Z przedpokojów, więzień naszych, razem, zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem. — Vivat. — Salonów znamy śmieśności i wszeteczności. — Vivat — Vivat.

MAŻ.

Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwiny na lewo.

PRZECHRZTA.

To chór rzeźników, JW. Panie.

CHÓR RZEŹNIKÓW.

Obuch i nóż, to broń nasza — szlachtuz, to życie nasze. — Nam jedno czy bydło czy panów rznąć.

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich słab-

szych i bielszych — kto nas powoła ten nas ma — dla panów woły, dla ludu panów bić będziem.

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz.

MĄŻ.

Tych lubię — przynajmniej nie wspominają ani o honorze, ani o filozofii — dobry wieczór Pani.

PRZECHRZTA, (cicho.)

JW. Panie, mów Obywatelko — lub wolna kobieto.

KOBIETA.

Cóż znaczy ten tytuł, skąd się wyrwał — fe — fe — cuchniesz starzyzną.

MĄŻ.

Język mi się zaplątał.

KOBIETA.

Jestem swobodną jako ty, niewiastą wolną, a towarzystwu za to że mi prawa przyznało, rozdaję miłość moją.

MĄŻ.

Towarzystwo znów za to ci dało te pierścienie i ten łańcuch ametystowy. — Oh! podwójnie dobroczynne towarzystwo!

KOBIETA.

Nie, te drobnostki zdarłam przed wyzwoleniem mojem — z męża mego, wroga mego, wroga wolności, który mnie trzymał na uwięzi.

MĄŻ.

Życzę Obywatelce milej przechadzki.

(przechodzi.)

Któż jest ten dziwny żołnierz — oparty na szabli obosiecznej, z główką trupią na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach? — Czy to nie sławny Blanchetti, taki dziś kondotier ludów, jako dawniej bywali kondotierzy książąt i rządów.

PRZECHRZTA.

On sam, JW. Panie — dopiero od tygodnia do nas przybyły.

MĄŻ.

Nad czem tak zamyślał się Generał?

BLANCHETTI.

Widzicie, obywatele, ową lukę między jaworami —

patrzcie dobrze — dojrzyście tam na górze zamek — doskonale widzę przez moją lunetę mury, okopy i cztery bastiony.

MĄŻ.

Trudno go opanować.

BLANCHETTI.

Tysiąc tysięcy królów! — można obejść jarem, podkopać się i...

PRZECHRZTA, (mrugając).

Obywatelu Generale.

MĄŻ, (po cichu.)

Czujesz ten kurek odwiedziony pod moim płaszczem?

PRZECHRZTA (na stronie).

Aj waj.

(głośno).

Jakżeś więc to ułożył, obywatelu Generale.

BLANCHETTI (zadumany).

Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w geniuszu — po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach.

(odchodzi).

MĄŻ (do Przechrzyty).

Radzę wam, go zabijcie, bo tak się poczyną każda Arystokracja.

RZEMIEŚLNIK.

Przekląstwo — Przekląstwo.

MĄŻ.

Cóż robisz pod tym drzewem, biedny człowiecze — czemu patrzysz tak dziko i mgławo?

RZEMIEŚLNIK.

Przekląstwo kupcom, dyrektorom fabryki — najlepsze lata w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartem polu, żeglują po otwartych morzach, ja prześlęczałem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu.

MĄŻ.

Wychylże czarę którą trzymasz w dłoni.

RZEMIEŚLNIK.

Sił nie mam — podnieść do ust nie mogę — ledwo się tutaj przyczołgałem, ale dla mnie już nie zaświta dzień

wolności — przeklęstwo kupcom, co jedwab sprzedają i panom, co noszą jedwabie.

(Umiera.)

PRZECHRZTA.

Jaki brzydki trup.

MĄŻ.

Tchórzku wolności, obywatelu Przechrzto, patrz na tę głowę bez życia, pływającą w pokrwawie zachodzącego słońca. Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice — równość, — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego?

PRZECHRZTA, (na stronie.)

Bodajbyś także zawcześnie zdechł, i ciało twoje psy rozszarpały na sztuki.

(Głośno.)

Puszczaj mnie — muszę zdać sprawę z mojego poselstwa.

MĄŻ.

Powiesz zem cię miał za szpiega i dlatego zatrzymał.

(Obziera się na około.)

Odgłosy biesiady głuchną z tyłu — przed nami już same tylko sosny i świerki, oblane promieniami wieczoru.

PRZECHRZTA.

Nad drzewami skupiają się chmury — lepiejbyś wrócił do swoich ludzi, którzy i tak już oddawna czekają na ciebie w jarze Świętego Ignacego.

MĄŻ.

Dzięki ci za troskliwość, Mości Żydzie — nazad — chcę obywateli raz jeszcze w zmierrchu obejrzeć.

GŁOS POMIĘDZY DRZEWAMI.

Syn Chamów dobranoc zasyła staremu słońku.

GŁOS Z PRAWYJ.

Zdrowie twoje, dawny wrogu nasz, coś nas pędził do pracy i znoju — jutro wschodząc zastaniesz twoich niewolników przy mięsiwie i konwiach — a teraz, szklanko, idź do czarta!

PRZECHRZTA.

Orszak chłopów tu ciągnie.

MĄŻ.

Nie wyrwiesz się -- stój za tym pniem i milez.

CHÓR CHEŁPÓW.

Naprzód, naprzód, pod namioty, do braci naszych —
naprzód, naprzód, pod cień jaworów, na sen, na miłą wie-
czorną gawędkę — tam dziewczki nas czekają — tam woły
pobite, dawne pługów zaprzęgi czekają nas.

GŁOS JEDEN.

Ciągnę go i wlokę, zżyma się i opiera — idź w re-
kruty — idź.

GŁOS PANA.

Dzieci moje, litości, litości.

GŁOS DRUGI.

Wróć mi wszystkie dni pańszczyzny.

GŁOS TRZECI.

Wskrześ mi syna, Panie, z pod batogów kozackich.

GŁOS CZWARTY.

Chamy piją zdrowie twoje, Panie — przepraszają cię,
Panie.

CHÓR CHEŁPÓW (przechodząc.)

Upiór ssał krew i poty nasze — mamy upiора — nie
puścim upiора — przez biesa, przez biesa, ty zginiesz wy-
soko, jako pan, jako wielki pan, wzniesion nad nami wszyst-
kimi. — Panom tyranom śmierć — nam biednym, nam głod-
nym, nam strudzonym, jeść, spać i pić. — Jako snopy na
polu tak ich trupy będą — jako plewy w młockarniach tak
perzyny ich zamków — przez kosy nasze, siekiery i cepy,
bracia, naprzód.

MĄŻ.

Nie mogłem twarzy dojrzeć wśród zastępów.

PRZECHRZTA.

Może jaki przyjaciel lub krewny JWgo.

MĄŻ.

Nim pogardzam, a was nienawidzę — poezya to wszystko
ozłoci kiedyś — dalej, żydzie — dalej.

(Zapuszcza się w krzaki.)

Inna część boru. — Wzgórze z rozpalonemi ogniami. — Zgromadzenie ludzi
przy pochodniach.

MĄŻ, (na dole wysuwając się z za drzew z Przechrztą.)

Gałęzie podarły na łańchmany moją czapkę wolności.

A to co za piekło z rudawych płomieni wznoszące się wśród tych dwóch ścian lasu, tych dwóch nawałów ciemności?

PRZECHRZTA.

Zabłądziliśmy szukając wawozu Świętego Ignacego, nazad w krzaki, bo tu Leonard odprawia obrzędy nowej wiary.

MĄŻ (wstępując)

Przez Boga, naprzód — tegom żądał właśnie, nie lękaj się, nikt nas nie pozna.

PRZECHRZTA.

Ostrożnie — powoli.

MĄŻ.

Wszędzie rozwaliny jakiegoś ogromu który musiał wieki przetrwać nim runął — filary, podnóża, kapitele — ćwierutowane posągi, rozrzucone floresy którymi oplatano starodawne sklepienia — teraz mi pod stopą zamignęła stłuczona szyba — zda mi się że twarz Bogarodzicy na chwilę wyjrzała z cienia i znów tam ciemno — tu, patrz, cała arkada leży — tu krata żelazna zasypana gruzem — z góry lunął błysk pochodni — widzę pół rycerza śpiącego na połowie grobu — gdzież jestem, przewodniku?

PRZECHRZTA.

Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzieści dni i nocy, raz wreszcie zburzyli ostatni kościół — na tych równinach. — Teraz właśnie cmentarz mijamy.

MĄŻ.

Wasze pieśni, ludzie nowi, gorzko brzmią w moich uszach — czarne postacie, z tyłu, z przodu, po bokach się cisną, a pędzone wiatrem blaski i cienie przechadzają się po tłumie jak żyjące duchy.

PRZECHODZĄCY.

W imieniu Wolności pozdrawiam was obu.

DRUGI.

Przez śmierć panów witam was obu.

TRZECI.

Czego się nie spieszycie, tam śpiewają kapłani Wolności.

PRZECHRZTA.

Niepodobna się oprzeć — zewsząd nas pchają.

MĄŻ

Któż jest ten młody człowiek na gruzach przybytku

stojący — trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i ładu, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem.

PRZECHRZTA.

To Leonard, prorok natchnięty Wolności — na około stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki.

MĄŻ.

Ha! wasza arystokracja — pokaż mi tego który cię przysłał.

PRZECHRZTA.

Nie widzę go tutaj.

LEONARD.

Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia, dajcie piekną moją, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek Wolności, oblubienicę moją.

GEOS DZIEWICY.

Wyrwam się do ciebie, mój kochanku.

DRUGI GEOS.

Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgłiszczach, kochanku mój.

TRZECI GEOS.

Wyprzedziłam je — przez popiół i żar, ogień i dym, stąkam ku tobie, kochanku mój.

MĄŻ.

Z rozpuszczonym włosiem, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy namiętne podrzuty.

PRZECHRZTA.

Tak co noc bywa.

LEONARD.

Do mnie, do mnie, o rozkoszo moja — córo Wolności. — Ty drżysz w boskim szale, natchnienie ogarnij mą duszę, słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę.

MĄŻ.

Głowę pochyliła, mdleje.

LEONARD.

My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich, — a duch jego zwyciężyli naszymi duchami — duch Jego zstąpił do nicości.

CHÓR NIEWIAST.

Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościm jej chwały.

LEONARD.

Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebios. Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemiezcy, twoim niech będzie ołtarzem; w oceanie krwi utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego, życiem jego odtąd, szczęście — prawem jego, równość — a kto inne tworzy, temu stryczek i przeklęstwo.

CHÓR MĘŻÓW.

Rozpadła się budowa ucisku i dumy, — kto z niej choć kamyczek podniesie, temu śmierć i przeklęstwo.

PRECHRZTA (na stronie).

Bluźnierce Jehowy, po trzykroć pluję na zgubę wam.

MAŻ.

Orle, dotrzyмай obietnicy, a ja tu na ich karkach nowy kościół Chrystusowi postawię.

POMIESZANE GEOSY.

Wolność — szczęście — hura — hejże — rykacha — hurracha — hurracha.

CHÓR KAPEAŃÓW.

Gdzie Pany, gdzie króle, co niedawno przechadzali się po ziemi, w berłach i koronach, w dumie i gniewie?

ZABÓJCA.

Ja zabiłem króla Alexandra.

DRUGI.

Ja króla Henryka.

TRZECI.

Ja króla Emanuela.

LEONARD.

Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów — boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych, — boście męczennikami — bohaterami Wolności.

CHÓR ZABÓJCÓW.

Pójdziemy nocą ciemną, sztylety ściskając w dłoniach, pójdziemy, pójdziemy.

LEONARD.

Obudź się, urodziwa moja.

(grzmot słychać).

Nuż odpowiedźcie żyjącemu Bogu — wznieście pieśni
wasze — chodźcie za mną wszyscy, wszyscy, jeszcze raz
obejdziem i zdepcem świątynię umarłego Boga.

A ty podnieś głowę — powstań i obudź się.

DZIEWICA.

Pałam miłością ku tobie i Bogu twemu, światu całemu
miłość rozdaję moją — płonę — płonę.

MĄŻ.

Ktoś mu zabiegł — padł na kolana — mocuje się sam
z sobą, coś bełkoce, coś jęczy.

PRZECHRZTA.

Widzę, widzę, to syn sławnego Filozofa.

LEONARD.

Czego żądasz, Hermanie.

HERMAN.

Arcykapłanie, daj mi święcenie zbójckie.

LEONARD (do kapłanów).

Podajcie mi olej, sztylet i truciznę.

(do Hermana).

Olejem, którym dawniej namaszczone królów, na zgubę
królom namaszczałem cię dzisiaj — broń dawnych rycerzy i pa-
nów, na zaturę panów kładę w ręce twoje — na twych pier-
siach zawieszam medalion pełny trucizny — tam gdzie twoje
żelazo nie dojdzie, niech ona żre i pali wnętrzości tyranów. —
Idź i niszczone pokolenia po wszech stronach świata.

MĄŻ.

Ruszył z miejsca i na czele orszaku ciągnie po wzgórzach.

PRZECHRZTA.

Usuńmy się z drogi.

MĄŻ.

Nie — chcę tego snu dokończyć.

PRZECHRZTA (na stronie.)

Potrzykroć pluję na ciebie.

(do mgła).

Leonard może mnie poznać, JW. Panie — patrz jaki
nóż wisi na jego piersiach.

MĄŻ.

Zakryj się płaszczem moim. — Co to za niewiasty przed
nami tańczą?

PRZECHRZTA.

Hrabiny i księżniczki, które porzuciwszy mężów przeszły na wiarę naszą.

MĄŻ.

Niegdyś anioły moje. — Pospólstwo go zewsząd oblało, zginął mi w natłoku — jedno po muzyce poznaję, że się od nas oddala — chodź za mną — ztamtąd lepiej nam patrzeć będzie.

(Wdziera się na odłamek muru).

PRZECHRZTA.

Aj waj, aj waj, każdy nas tu spostrzeże.

MĄŻ.

Widzę go znowu — drugie niewiasty cisną się za nim, blade, obłąkane, w konwulsjach. Syn filozofa pieni się i potrzęsa sztyletem. — Dochodzą teraz do ruin wieży północnej.

Stanęli — płasają na gruzach — rozrywają nieobalone arkady — sypią iskrami na leżące ołtarze i krzyże — płomień się zajmuje, i gna słupy dymu przed sobą — biada wam — biada.

LEONARD.

Biada ludziom, którzy dotąd się kłaniają umarłemu Bogu.

MĄŻ.

Czarne bałwany nawracają się ku nam i pędzą.

PRZECHRZTA.

O Abrahamie!

MĄŻ.

Orle, wszak moja godzina nie tak bliska jeszcze?

PRZECHRZTA.

Już po nas.

LEONARD (przechodząc zatrzymuje się).

Coś ty za jeden, bracie, z taką dumną twarzą? — czemu nie łączysz się z nami?

MĄŻ.

Spieszę z daleka na odgłos waszego powstania. — Jestem morderca klubu hiszpańskiego i dopiero dziś przybyłem.

LEONARD.

A ten drugi po co się w zwojach płaszcza twego kryje.

To mój brat młodszy — ślubował, że twarzy ludziom nie ukaże, nim zabije przynajmniej Barona.

LEONARD.

Ty sam czyją śmiercią się chlubisz?

MĄŻ.

Na dwa dni tylko, przed wybraniem się w drogę, starsi bracia dali mi święcenie.

LEONARD.

Kogóż masz na myśli?

MĄŻ.

Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz.

LEONARD.

Bracie, na ten użytek weź sztylet mój.

(Wyciąga sztylet z pod pasa)

MĄŻ,

(dobywa swojego sztyletu.)

Bracie, na ten użytek i mojego wystarczy.

GŁOSY LUDZI.

Niech żyje Leonard — niech żyje morderca hiszpański.

LEONARD.

Jutro staw się u namiotu Obywatela wodza.

CHÓR KAPŁANÓW.

Pozdrawiamy cię gościu, imieniem ducha Wolności — w ręku twojem część naszego zbawienia. — Kto walczy bez ustanku, morduje bez słabości, kto dniem i nocą wierzy zwycięztwu, ten zwycięży wreszcie.

(Przechodzą.)

CHÓR FILOZOFÓW.

My ród ludzki dźwignęli z dzieciństwa. — My prawdę z łona ciemności wyrwali na jaśnią. — Ty za nią walczy, morduj i giń.

(Przechodzą.)

SYN FILOZOFA.

Towarzyszu bracie, czaszką starego świętego piję zdrowie twoje — do widzenia.

(Rzuca czaszkę.)

DZIEWCZYNA, (tańcząc.)

Zabij dla mnie Księcia Jana.

DRUGA.

Dla mnie Hrabiego Henryka.

DZIECI.

Prosimy cię ślicznie o głowę arystokraty.

INNI.

Szczęść się twojemu sztyletowi.

CHÓR ARTYSTÓW.

Na ruinach gotyckich, świątynię zbudujem tu nową — obrazów w niej, ni posągów nie ma — sklepienie w długie pugiwały, filary w ośm głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka Wolności — Hurracha.

INNI.

Dalej, dalej, już brzask świta.

PRZECHRZTA.

Rychło nas powieszą — gdzie szubienica.

MĄŻ.

Cicho, żydzie — Lecą za Leonardem, nie patrzą już na nas. — Ogarniam wzrokiem, raz ostatni podchwytuje myślą ten chaos dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — gnane szalem, porwane rozpaczą, myśli moje w całej sile swej kołują.

Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi niegdyś — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezją całej przyszłości.

GŁOS W POWIETRZU.

Dramat układasz.

MĄŻ.

Dzięki za radę. — Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przeklęstwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą. — Orle, Orle, dotrzymaj obietnicy. — A teraz na dół ze mną i do jaru Świętego Ignacego.

PRZECHRZTA.

Już dzień bliski — nie pójdę dalej.

MĄŻ.

Drogę mi znajdź, puszczyć cię potem.

PRZECHRZTA.

Wśród mgły i zwalisk, cierni i popiołów, gdzie mnie wleciesz — daruj mi, daruj.

MĄŻ.

Naprzód, naprzód, i na dół ze mną — ostatnie pieśni ludu konają za nami — ledwie gdzie jeszcze tli się pochodnia — pośród tych wyziewów bladych, tych zroszonych drzew, czy widzisz cienie przeszłości, czy słyszysz te żało-bne głosy?

PRZECHRZTA.

Mgła wszystko zalewa — coraz bardziej zlatujemy w dół.

CHÓR DUCHÓW Z LASU.

Płaczmy za Chrystusem, za Chrystusem wygnanym umęczonym — Gdzie Bóg nasz, gdzie kościół Jego?

MĄŻ.

Prędeej, prędeej do miecza, do boju. — Ja Go wam oddam — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego.

CHÓR DUCHÓW.

Strześliśmy ołtarzy i pomników świętych — odgłos dzwonów na skrzydłach nosiliśmy wiernym — w dźwiękach organów były głosy nasze — w połyskach szyb katedry, w cieniach jej filarów, w blaskach puharu świętego w błogosławieństwie Ciała Pańskiego, było życie nasze. Teraz, gdzie się podziejemy?

MĄŻ.

Rozwidnia się coraz bardziej — ich postacie mdleją w promieniach zorzy.

PRZECHRZTA.

Tędy droga twoja, tam jaru początek.

MĄŻ.

Hej! — Jezus i szabla moja.

(Zrzucając czapkę i zawijając w niej pieniądze.)

Weź na pamiątkę rzecz i godło zarazem.

PRZECHRZTA.

Wszak zaręczyłeś mi słowem, JW. Panie, bezpieczeństwo tego, który dziś o północy.....

MĄŻ.

Stary szlachcic dwa razy nie powtarza słowa. — Jezus i szabla moja.

GŁOSY W KRZAKACH.

Marya i szabla nasza — niech pan nasz żyje.

MĄŻ.

Wiara! do mnie — bądź zdrów, obywatelu.

Wiara! do mnie — Jezus i Marya.

Noc. — Krzaki. — Drzewa.

PANKRACY, (do swolch ludzi.)

Położyć się twarzą do murawy — leżeć w milczeniu — ognia mi nie krzesać, nawet do fajki — a za pierwszym strzałem skoczyć mi na pomoc. — Jeśli strzału nie będzie, nie ruszać się do dnia białego.

LEONARD.

Obywatelu, raz cię jeszcze zaklinam.

PANKRACY.

Ty przylep się do tej sosny i dumaj.

LEONARD.

Mnie jednego przynajmniej weź z sobą — to pan, to arystokrata, to kłamca.

PANKRACY, (wskazując mu ręką by został.)

Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem.

Komnata podłużna. — Obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach. — W głębi filar z tarczą herbowną. — Mąż siedzi przy stoliku marmurowym, na którym lampa, para pistoletów, pałasz i zegar. — Naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i puhary.)

MĄŻ.

Niegdyś o tej samej porze wśród grożących niebezpieczeństw i podobnych myśli, Brutusowi ukazał się Geniusz Cezara.

I ja dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przedemną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża, — co wydobył się z nicości i zacznie może nową epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie stracę do nicości.

Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi

do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiara w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów.

(Bije dwunasta.)

Teraz gotów jestem.

(Wstaje.)

SŁUGA ZBROJNY, (wchodząc.)

JW. Panie, człowiek który miał się stawić, przybył i czeka.

MĄŻ.

Niech wejdzie.

(Sługa wychodzi.)

PANKRACY, (wchodząc.)

Witam Hrabiego Henryka, — To słowo Hrabia dziwnie brzmi w gardle mojem.

(Siada, zrzuca płaszcz i czapkę Wolności, i wlepia oczy w kolumnę, na której herb wisi.)

MĄŻ.

Dzięki ci, żeś zaufał domowi mojemu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje.

(Bierze puhar, pije i podaje Pankracemu.)

Gościu, w ręce twoje.

PANKRACY.

Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne, zowią się Herbem w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi.

(Pije.)

MĄŻ.

Za pomocą Bożą, wkrótce tysiące ich ujrzysz.

PANKRACY, (puhar od ust odejmując.)

Otóż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporeczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. — Odgrażająca się jak umarły w bajce, powoźnikowi u furtki cmentarza — wierząca lub udająca że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale

pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios.

(Pije.)

MĄŻ.

Śmieję się z własnych słów. — Ateizm, to stara formuła — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie.

PANKRACY.

Śmieję się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. — Jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysięcy — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem i wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja — a Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja — która chleb i cześć im rozda na wieki.

(Pije i rzuca kubek.)

MĄŻ.

Ja położyłem siłę moją w Bogu, który ojcom moim panowanie nadał.

PANKRACY.

A całe życie byłeś diabła igrzyskiem.

Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy.

MĄŻ.

Czegóż więc żądasz odemnie, zbawco narodów, obywatelu Boże?

PANKRACY.

Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtóre, ocalić.

MĄŻ.

Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją.

PANKRACY.

Szabla twoja, — Bóg twój, mara. — Potępionys głosem tysięcy — opasanys ramionami tysięcy — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarcza — dwudziestu dni bronić się nie możecie. — Gdzie wasze działa, ryszunki, żywność, — a wreszcie, gdzie męstwo?...

Gdybym był tobą, wiem cobym uczynił.

KRASIŃSKI I.

MAŻ.

Słucham — patrz jakim cierpliwy.

PANKRACY.

— Ja więc, Hr. Henryk, rzekłbym do Pankracego: „Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warujesz mi słowem.“

Wiele masz lat Hrabio?

MAŻ.

Trzydzieści sześć, obywatelu.

PANKRACY.

Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie nie długo żyją — twój syn bliższy grobu niż młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. — Bądź więc sobie ostatnim Hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rznąć herby. — A o tych nędzarzach nie myśl więcej. — Niech się wyrok ludu spełni nad nikičemnikami.

(Nalewa sobie drugi puhar.)

Zdrowie twoje, ostatni Hrabio.

MAŻ.

Obrażasz mnie każdym słowem, zda się próbujesz czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. — Opatrzność mego słowa cię strzeże.

PANKRACY.

Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to lachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia a łączysz się z umierającymi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowa *ojczyzna* i tam dalej — ale w głębi duszy sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć.

MAŻ.

Tobie zaś i twoim cóż inszego!

PANKRACY.

Zwycięstwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży w coraz

wyższe kręgi — on jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta:

„Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodemu, głodniałemu i silnemu.“

Ale — Ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego.

MAŻ.

Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoją. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzyłem wśród cieniów nocy na płasy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam co przed tysiącami lat — rozpusta, zło i krew. — A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić pomiędzy dzieci twoje — bo w głębi ducha ty pogardzasz niemi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą.

Nie dręcz mnie więcej.

(Siada pod herbem swoim.)

PANKRACY.

Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygod — ale przyjdą czasy.

(Wstaje, idzie ku Mężowi i opiera się na herbowym flarze.)

Ale przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie: „Jestem“ — a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: „Jestem.“

MAŻ.

Cóż dalej.

PANKRACY.

Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej narodzi się plemię, ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. — Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna. — Ona cała jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu.

MAŻ.

Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, blada, udać nie umie natchnienia.

PANKRACY.

Nie przerywaj, bo są ludzie którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem.

Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie — Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucił na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy. — Bóg ludzkości objawił się im.

MAŻ.

A nam, przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona.

PANKRACY.

Niechże się cieszy takim zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat upływających od Jego śmierci na krzyżu.

MAŻ.

Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił niż twoje — sto Bogów twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu — a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było że jest Panem świata.

PANKRACY.

Stara powiastka — pusta jak chrzest twego herbu.

(Uderza o tarczę.)

Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek, słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia; krwi którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie, — ostatni raz ci mówię — jeżeliś ten czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź za mną.

MAŻ.

Tyś młodszym bratem szatana.

(Wstaje i przechadza się wzdłuż.)

Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do raju.

Bo nie podłą pracą, nie podstępem, nie przemysłem doszedłem końca życzeń moich, — ale nagle, znienacka, tak jakom marzył zawždy.

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, wozdem tych wszystkich co mi wczoraj jeszcze równymi byli.

Komnata w zamku oświecona pochodniami. — Orcio siedzi na łożu. — Mąż wchodzi i składa broń na stole.

MĄŻ.

Sto ludzi zostawić na szanćach — reszta niech odpocznie po tak długiej bitwie.

GEOS ZA DRZWIAMI.

Tak mi Panie Boże dopomóż.

MĄŻ.

Zapewne słyszałeś wystrzały, odgłosy naszej wycieczki, ale bądź dobrej myśli, dziecię moje, nie przepadniemy jeszcze ni dzisiaj ni jutro.

ORCIO.

Słyszałem, ale to nie tknęło mi serca — huk przeleciał i nie ma go więcej — co innego w dreszcz mnie wprawia, Ojrze.

MĄŻ.

Lękałeś się o mnie.

ORCIO.

Nie — bo wiem że twoja godzina nie nadeszła jeszcze.

MĄŻ.

Sami jesteśmy — ciężar spadł mi z duszy na dzisiaj — bo tam w dolinie leżą ciała pobitych wrogów. Opowiedz mi wszystkie myśli twoje — będę ich słuchał jak dawniej w domu naszym.

ORCIO.

Za mną, za mną, Ojrze — tam straszny sąd co noc się powtarza.

(idzie ku drzwiom skrytym w murze i otwiera je),

MĄŻ.

Gdzie idziesz? — Kto ci pokazał to przejście? — tam lochy wiecznie ciemne, tam gniją dawnych ofiar kości.

ORCIO.

Gdzie oko twoje zwyczajne słońca nie dowidzi — tam
 duch mój stapać umie. — Ciemności, idźcie do ciemności.

(Zstępuje.)

Lochy podziemne. — Kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur połamane,
 leżące na ziemi. — Mąż z pochodnią u stóp głazu, na którym Orcio stoi.

MĄŻ.

Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie.

ORCIO.

Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz ich kształ-
 tów?

MĄŻ.

Milczenie grobów — a światło pochodni na kilka stóp
 tylko rozświeca przed nami.

ORCIO.

Co raz już bliżej — co raz już widniej — idą z pod
 ciasnych sklepień jeden po drugim, i tam zasiadają w głębi.

MĄŻ.

W szaleństwie twojem potępienie moje — szalejesz,
 dziecię — i siły moje niszczysz, kiedy mi ich tyle potrzeba.

ORCIO.

Widzę duchem blade ich postacie, poważne, kupiące
 się na sąd straszny. — Oskarżony już nadchodzi i jako mgła
 płynie.

CHÓR GŁOSÓW.

Siłą nam daną, — za męki nasze, my niegdyś przy-
 kuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni,
 przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy, i potę-
 piamy — a kary Szatan się podejmie.

MĄŻ.

Co widzisz?

ORCIO.

Oskarżony — oskarżony ot załamał dłonie.

MĄŻ.

Kto on jest?

ORCIO.

Ojcze — Ojcze —

GEOS JEDEN.

Na tobie się kończy ród przekłęty — w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje, i wszystkie namiętności swe, i całą dumę swoją, by skonać.

CHÓR GEOSÓW.

Za to żeś nie nie kochał, nie nie czcil, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki.

MAŻ.

Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad ziemią, po bokach, westchnienia i żale, wyroki i groźby.

ORCIO.

On teraz podniósł głowę jako ty, Ojczy, kiedy się gniewasz — i odparł dumnym słowem jako ty, Ojczy, kiedy pogardzasz.

CHÓR GEOSÓW.

Daremno — daremno — ratunku nie ma dla niego, ni na ziemi ni w niebie.

GEOS JEDEN.

Dni kilka jeszcze chwały ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje — a potem zaginiesz ty i bracia twoi — i pogrzeb wasz jest bez dzwoń żałoby — bez łkania przyjaciół i krewnych — jako nasz był kiedyś, na tej samej skale boleści.

MAŻ.

Znam ja was, podle duchy, marne ogniki latające wśród ogromów anielskich.

(Idzie kilka kroków naprzód.)

ORCIO.

Ojczy, nie zapuszczaj się w głąb — na Chrystusa imię Święte, zaklinam cię, Ojczy.

MAŻ, (wraca.)

Powiedz, powiedz kogo widzisz?

ORCIO.

To postać.

MAŻ.

Czyja?

ORCIO.

To drugi ty jesteś — cały bledy — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje.

(Pada na kolana.)

Przebacz mi Ojczy. — Matka pośród nocy przyszła
i kazała.....

(Mdleje.)

MĄŻ, (chwytając go w objęcia.)

Tego niedostawało. — Ha! dziecię własne przywiodło
mnie do progu piekła. — Maryo! nieubłagany duchu —
Boże! i Ty druga Maryo, do której modliłem się tyle!

Tam poczyna się nieskończoność mąk i ciemności —
nazad — muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem wieczna
walka.

(Ucieka z synem.)

CHÓR GŁOSÓW, (w oddali.)

Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie;
prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na
wieki.

Sala w zamku Świętej Trójcy. — Mąż. — Kobiety, dzieci, kilku starców i Hra-
biów klęczących u stóp jego. — Ojciec Chrzestny stoi w środku sali. — Tłum
w głębi. — Zbroje zawieszono, gotyckie filary, ozdoby, okna.

MĄŻ.

Nie — przez syna mego — przez żonę nieboszczkę
moją, -- nie — jeszcze raz mówię — nie.

GŁOSY KOBIECE.

Zlituj się — głód pali wnętrzości nasze i dzieci na-
szych — dniem i nocą strach nas pożera.

GŁOS MĘŻCZYŹN.

Jeszcze pora — słuchaj posła — nie odsyłaj posła.

OJCIEC CHRZESTNY.

Całe życie moje obywatelskiem było i niezważam na
twoje wyrzuty, Henryku. — Jeśli się podjął urzędu po-
selskiego, który w tej chwili sprawuję, to że znam wiek
mój i cenić umiem całą wartość jego. Pankracy jest repre-
zentantem obywatelem, że tak rzekę.....

MĄŻ.

Precz z oczu moich, stary.

(Na stronie do Jakóba.)

Przyprowadź tu oddział naszych.

(Jakób wychodzi. — Kobiety powstają i płaczą. — Mężczyźni się oddalają o kilka kroków.)

BARON.

Zgubiłeś nas, Hrabio.

DRUGI.

Wypowiadamy ci posłuszeństwo.

KSIĄŻE.

Sami ułożymy z tym zacnym obywatelem warunki podania zamku.

OJCIEC CHRZESTNY.

Wielki mąż, który mnie przysłał, obiecuje wam życie bylebyście przyłączyli się do niego i uznali dążenie wieku

KILKA GEOSÓW.

Uznajemy — uznajemy.

MĄŻ.

Kiedyście mnie wezwali, przysięgłem zginąć na tych murach — dotrzymam, i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną.

Ha! chce się wam żyć jeszcze.

Ha! zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i panowali.

(Do Hrabiego.)

A ty czemu uciskałeś poddanych.

(Do drugiego.)

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i po dróżkach daleko od Ojczyzny.

(Do innego.)

Ty się podliłeś wyższym, gardziłeś niższymi.

(Do jednej z kobiet.)

Dlaczegożś dzieci nie wychowała sobie na obrońców — na rycerzy — teraz by ci się zdały na coś — aleś kochała żydów, adwokatów, — proś ich o życie teraz.

(Staje i wyciąga ramiona.)

Czego się tak spieszycie do hańby — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile — naprzód raczej ze mną, naprzód, Mości Panowie, tam gdzie kule i bagnety — nie tam gdzie szubienica i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze.

KILKA GŁOSÓW.

Dobrze mówi — na bagnety.

INNE GŁOSY.

Kawałka chleba już niema.

KOBIECE GŁOSY.

Dzieci nasze, dzieci wasze.

WIELE GŁOSÓW.

Poddać się trzeba — układy — układy.

OJCIEC CHRZESTNY.

Obiecuję wam całość, że tak rzekę, nietykalność osób
ciał waszych.

MĄŻ, (przybliżył się do Ojca Chrzestnego i chwytł go za pierś.)

Święta osobo posła, idź skryć siwą głowę pod namioty
przechrztów i szewców bym jej krwią twoją własną nie zmasał.

(Wchodzi oddział zbrojnych z Jakóbem.)

Na cel mi wzięść to czoło zorane zmarszczkami marnej
nauki — na cel tę czapkę wolności, drżącą od tchnienia
słów moich, na tej głowie bez mózgu.

(Ojciec Chrzestny się wymyka.)

WSZYSCY, (razem.)

Związać go — wydać Pankracemu.

MĄŻ.

Chwila jeszcze, Mości Panowie.

(Chodzi od jednego żołnierza do drugiego.)

Z tobą, zda mi się, wdzierałem się na góry za dzikim
zwierzem — pamiętasz, wyrwałem cię z przepaści.

(Do innych.)

Z wami rozbiłem się na skałach Dunaju — Hieronimie,
Krzysztofie, byliście ze mną na Czarnem morzu.

(Do innych.)

Wam odbudowałem chaty zgorzałe.

(Do innych.)

Wyście uciekli do mnie od złego Pana — a teraz mów-
cie — pójdziecie za mną, czy zostawicie mnie samego ze
śmiechem na ustach, żem w pośród tylu ludzi jednego czło-
wieka nie znalazł.

WSZYSCY.

Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje.

MĄŻ.

Rozdać im co zostało wędliny i wódki — a potem na mury.

WSZYSCY ŻOŁNIERZE.

Wódki — mięsa — a potem na mury.

MĄŻ.

Idź z nimi, a za godzinę bądź gotów do walki.

JAKÓB.

Tak mi Panie Boże dopomóż.

GŁOSY KOBIECE.

Przeklinamy cię za niewiniątka nasze.

INNE GŁOSY.

Za ojców naszych.

INNE GŁOSY.

Za żony nasze.

MĄŻ.

A ja was za podłość waszą.

Okopy Świętej Trójcy. — Trupy na około. — Działa potrzaskane. — Broń leżąca na ziemi. — Tu i owdzie biegną żołnierze. — Mąż oparty o szaniec, Jakób przy nim.

MĄŻ (szablę chowając do pochwy).

Nie ma rozkoszy jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawsze, a kiedy nadejdzie przegrać — to raz jeden tylko.

JAKÓB.

Ostatniemi naszymi nabojami skropieni odstępili, ale tam w dole się gromadzą i niedługo wrócą do szturmu — darmo, nikt losu przeznaczonego nie uszedł, od kiedy świat światem.

MĄŻ.

Nie ma już więcej kartaczy?

JAKÓB.

Ani kul, ani lotek, ani śrutu — wszystko się przebiera nareszcie.

MĄŻ.

A więc syna mi przyprowadź, bym go raz jeszcze uściskał.

(Jakób odchodzi).

Dym bitwy zamglił oczy moje — zda mi się, jakby

dolina wzdymała się i opadała nazad — skały w sto kątów łamią się i krzyżują — dziwnym szykiem także ciągną myśli moje.

(Siada na murze).

Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto. — Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w sercu swoim, i zapragnął potężniejszych sił. — Trza być Bogiem lub nicością.

(Jakób przychodzi z Orciem).

Weź kilku naszych, obejdz sale zamkowe, i pędz do murów, wszystkich co spotkasz.

JAKÓB.

Bankierów, i Hrabiów, i Książąt.

(Odchodzi).

MĄŻ.

Chodź synu — połóż tu rękę swoją na dłoni mojej, czołem ust moich się dotknij — czoło matki twojej niegdyś było takiej samej bieli i miękości.

ORCIO.

Słyszałem głos jej dzisiaj, nim zerwali się męże twoi do broni — słowa jej płynęły tak lekko jak wonie, i mówiła: — „Dziś wieczorem zasiądziesz przy mnie“.

MĄŻ.

Czy wspomniała choćby imię moje?

ORCIO.

Mówiła: — „Dziś wieczorem czekam na syna mego“.

MĄŻ (na stronie).

U końca drogi czyż opadnie mnie siła? — Nie daj tego Boże. — Za jedną chwilę odwagi masz mnie więzieniem twoim przez wieczność całą.

(głośno).

O synu, przebacz żem ci dał życie — rozstajemy się — czy wiesz na jak długo?

ORCIO.

Weź mnie i nie puszczaj — nie puszczaj — ja cię pociągnę za sobą.

MĄŻ.

Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry — O Jerzy — Jerzy — O synu mój.

ORCIO.

Co za krzyki — drzę cały — coraz groźniej — coraz bliżej — huk dział i strzelb się rozlega — godzina ostatnia, przepowiedziana, ciągnie ku nam.

MĄŻ.

Spieszaj, spieszaj, Jakóbie.

(Orszak Hrabów i Książąt przechodzi przez dolny dziedziniec. — Jakób z żołnierzami idzie za nim).

GŁOS JEDEN.

Daliście odłamki broni i bić się każecie.

GŁOS DRUGI.

Henryku, ulituj się.

TRZECI.

Nie gnaj nas słabych, zgłodniałych, ku murom.

INNE GŁOSY.

Gdzie nas pędzą — gdzie?

MĄŻ (do nich).

Na śmierć.

(do Syna).

Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki — ale trza mi w inszą stronę.

(Orcio pada trafiony kulą).

GŁOS W GÓRZE.

Do mnie, do mnie, duchu czysty, — do mnie, synu mój.

MĄŻ.

Hej! do mnie, ludzie moi.

(dobywa szablę i przykłada do ust leżącego).

Klinga szklanna jak wprzód — oddech i życie uleciały razem.

Hej! tu — naprzód — już się wdarli na długość szabli mojej — nazad, w przepaść, syny wolności.

(Zamieszanie i bitwa).

Insza strona okopów. — Słychać odgłosy walki. — Jakób rozciągnięty na murze. — Mąż nadbiega, krwią obłany.

MĄŻ.

Cóż ci jest, mój wierny, mój stary.

JAKÓB.

Niech ci czart odplaci w piekle upór twój i męki moje. Tak mi Panie Boże dopomóż.

(Umiera).

MAŻ (rzucając pałasz).

Niepotrzebnyś mi dłużej — wyginęli moi, a tamci
klęcząc wyciągają ramiona ku zwycięzcom i bełkocą o mi-
łosierdzie!

(Spoziera na około.)

Nie nadchodzą jeszcze w tę stronę — jeszcze czas —
odpocznijmy chwilę. — Ha! już się wdarli na wieżę pół-
nocną — ludzie nowi się wdarli na wieżę północną — i
patrzą czy gdzie nie odkryją Hrabiego Henryka. — Jestem
tu — jestem — ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się
już wybrałem w drogę — ja stąkam ku sądowi Boga.

(Staje na odłamku baszty wiszącym nad samą przepaścią.)

Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą
do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez
końca — a pośrodku jej Bóg, jak słońce co się wiecznie
pali — wiecznie jaśnieje — a nie nie oświeca.

(Krokiem dalej się posuwa.)

Biegną, zobaczyli mnie — Jezus Maryja. — Poezyo,
bądź mi przeklęta, jako sam będę na wieki. — Ramiona
idźcie i przerzynajcie te wały.

(Skacze w przepaść.)

Dziedzinniec zamkowy. — Pankracy. — Leonard. — Blanchetti na czele tłu-
mów. — Przed nimi przechodzą Hrabiowie, Księżęta z żonami i dziećmi
w łańcuchach.

PANKRACY.

Twoje imię?

HRABIA.

Krzysztof na Volsagunie.

PANKRACY.

Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

ESIĄŻE.

Władysław, Pan Czarnolasu.

PANKRACY.

Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

BARON.

Alexander z Godalberg.

PANKRACY.

Wymazane z pośród żyjących -- idź.

BLANCHETTI, (do Leonarda.)

Dwa miesiące nas trzymali, a nędzny rząd armat i la-
dajskie parapety.

LEONARD.

Czy dużo ich tam jeszcze?

PANKRACY.

Oddaję ci wszystkich — niech ich krew płynie dla
przykładu świata — a kto z was mi powie gdzie Henryk,
temu daruję życie.

RÓŻNE GŁOSY.

Zniknął przy samym końcu.

OJCIEC CHRZESTNY.

Staję teraz jako pośrednik między tobą a niewolnikami
twoimi, — tymi przezacnego rodu obywatelami, którzy, wielki
człowiecze, klucze zamku Ś. Trójcy złożyli w ręce twoje.

PANKRACY.

Pośredników nie znam tam gdzie zwyciężyłem siłą
własną — Sam dopilnujesz ich śmierci.

OJCIEC CHRZESTNY.

Całe życie moje obywatelskiem było, czego są dowody
nie małe, a jeśli się połączyłem z wami, to nie na to bym
własnych braci szlachtę.....

PANKRACY.

Wziąć starego doktrynera — precz; w jedną drogę
z nim.

(Żołnierze otaczają Ojca Chrzestnego i niewolników.)

Gdzie Henryk? — czy kto z was nie widział go ży-
wym lub umarłym? — Wór pełny złota za Henryka —
choćby za trupa jego.

(Oddział zbrojnych zchodzi z murów.)

A wy nie widzieliście Henryka?

NACZELNIK ODDZIAŁU.

Obywatelu Wodzu, udałem się za rozkazem Generała
Blanchetti ku stronie zachodniej szanieców, zaraz na począt-
ku wejścia naszego do fortecy i na trzecim zakręcie ba-
styonu, ujrzałem człowieka rannego i stojącego bez broni
przy ciele drugiego — kazałem podwoić kroku by schwy-
tać — ale nim zdążyliśmy, ów człowiek zeszedł trochę ni-
żej, stanął na głazie chwiejącym się, i patrzył chwilę obłą-

kanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce jak pływacz który ma dać nurka i pchnął się z całej siły naprzód — słysze-
liśmy wszyscy odgłos ciała, spadającego po urwiskach —
a oto szabla znaleziona kilka kroków dalej.

PANKRACY, (biorąc szablę.)

Ślady krwi na rękojeści — poniżej herb jego domu.
To pałasz Hrabiego Henryka — on jeden z pośród
was dotrzymał słowa. — Za to chwała jemu, gilotyna wam.
Generale Blanchetti, zatrudnij się zburzeniem warowni
i dopełnieniem wyroku.

Leonardzie!

(Wstępuje na basztę z Leonardem.)

LEONARD.

Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, Mi-
strzu — znać strudzenie na rysach twoich.

PANKRACY.

Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa
pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnie-
niem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją
w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te
puszcze — przedrażyć te skały — połączyć te jeziora — wy-
dzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się uro-
dziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. —
Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.

LEONARD.

Bóg wolności sił nam podda.

PANKRACY.

Co mówisz o Bogu — ślisko tu od krwi ludzkiej. —
Czyjaż to krew? za nami dziedzińce zamkowe — sami je-
steśmy, a zda mi się jakoby tu był ktoś trzeci.

LEONARD.

Chyba to ciało przebite.

PANKRACY.

Ciało jego powiernika — ciało martwe — ale tu duch
czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niej — da-
lej patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miej-
scu serce jego pękło.

LEONARD.

Bledniesz, Mistrzu.

PANKRACY.

Czy widzisz tam — wysoko — wysoko?

LEONARD.

Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą na której dogasają promienie słońca.

PANKRACY.

Znak straszny pali się na niej.

LEONARD.

Chyba cię myli wzrok.

PANKRACY.

Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój?

LEONARD.

Słyszysz ich okrzyki — wołają cię — czekają na ciebie.

PANKRACY.

Plotły kobiety i dzieci że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.

LEONARD.

Kto?

PANKRACY.

Jak słup śnieżnej jasności stoi po nad przepaściami — oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli Mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa.

LEONARD.

Co się z tobą dzieje? co tobie jest?

PANKRACY.

Od błyskawicy tego wzroku, chyba mrze kto żyw.

LEONARD.

Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy ztąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?

PANKRACY.

Położ mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia co mnie rozkłada w proch.

LEONARD.

Czy dobrze tak?

PANKRACY.

Nędzne ręce twe — jak u Ducha, bez kości i mięsa

przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste
jak powietrze. — Widzę wciąż!

LEONARD.

Oprzej się na mnie.

PANKRACY.

Daj mi choć odrobinę ciemności.

LEONARD.

O Mistrzu mój!

PANKRACY.

Ciemności — ciemności.

LEONARD.

Hej! obywatele — hej! bracia Demokraty na pomoc.
Hej! ratunku — pomocy — ratunku.

PANKRACY.

Galilee vicisti.

(Ztacza się w objęcia Leonardu i kona.)

K O N I E C .

NOC LETNIA.

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

MALCZEWSKI. (*Marya.*)

O! patrzcie na mnie, współzemiańskie, obywatele jednej
Ojczyzny! na mnie idącą po ostatniej drodze—na mnie, ostatni
raz patrzącą na światło Heliosa. — Drugi raz nigdy go już nie
obaczę. — Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wie-
dzie mnie żywą ku brzegom Acherontu—mnie żywą, mnie nie-
poślubioną, mnie o której uszy nie odbiło się nigdy weselne
pienie zaręczyn — Acheront jeden tylko woła mnie do ślubu!

SOFOKLES-ANTYGONA.

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne, lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszczę;
Za to potwarzą ścigane do koła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawilość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość Anioła!
I to serce co wiele kochało,
to serce co wiele cierpiało,
kształt głazu ścierpło i zlodniało;
komo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
w wnętrzach nieśmiertelne życie,
czywda ludzka nie wyziębi
i z niebios, co wre w jego głębi —
e w samotnej żalobie,
zamknięty, tak zamknięte w sobie,
pogląda — nie mściwie — nie hardo --
lebaczenia anielską pogardą! —

— Gdziekolwiek jesteś o serce mi znane!
 Serce niewieście i prześladowane!
 Gdziekolwiek jesteś — z bliska czy z daleka:
 O serce dumne, o serce stroskane!
 Weź to co przyjąć możesz od człowieka!
 Weź pieśń po pieśni poznasz we mnie brata,
 Ta pieśń z innego — tak jak i ty — świata.

Za to żeś, Siostró, w fałsz nie uwierzyła,
 W bożyszczę złota i w marę próżności,
 Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
 Za to żeś z światem w ten grób nie zstąpiła,
 O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
 W świętem współczuciu i w świętej miłości,
 Te pieśń mej duszy, ja poświęcam Tobie!....

Varenna. — 1840, 15 Sierpnia.

L

Widziałem kiedy ją wiedli — w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu — Kościół stał jako ciemny cmentarz przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci za Aniołków przebrane potrząsały kwiatami. — Sam Biskup i powierne kapłany wesołym patrzyli wzrokiem, w sutych dalmatykach. — Lud się cisnął zazdroszcząc i chwając i życząc. — Ona jedna tylko milczała, z spuszczonej oczyma, oparta na ręku służebnic.

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było. — I w jej źrenicach nie jasno przebijał promień duszy. — I z jej ust nieco rozchylonych trudno się domyśleć, wyjdzie modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyże tylko kreśliła w powietrzu — przed obrazem Bogarodzicy skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi podobny do grobu.

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słuszne miał prawo do pychy, bo cudniejszym dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była jak najmilsza gwiazda nad jego zstępującą drogą: dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: „Patrzcie jak niewinna, drży w niewiadomości szczęścia swego“ -- i sięgnął wzrokiem tak jak kościół długi, by ujrzeć ażali nie przybywa Pan młody, -- siwe brwi zmarszczył nie dostrzegłszy go nigdzie!

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z glazu, pośród ich

dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu, twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a nimi stanęła opoka doświadczenia — siedzą na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających pędzą tymczasem i mijają w dół!

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre szydą piany i w nieskończoność garnie się rozbicie! — lecz im nie do tego — sami wrosli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed niemi. — Ha! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokręgiem płynie!

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, niskiem witając go czołem — ledwo raczył niektórym się odkłonić i dzwoniąc o marmury posuwistemi kroki, stanął przy narzeczonej klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać! — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem Biskup i zwolna zapalono gromnice na ołtarzu — wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

O szyby różnobarwnych okien, rozplonił się promień zachodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę że tam krwi potok płynie i pluska; aż zniżył się i skonał wśród

zmierzchu — lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka stojącego samotnie w przybocznej kaplicy — przy nim leży na pomniku posąg rycerza. — On jak drugi posąg niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza kiedy Biskup przemawia do oblubienicy — co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczął — jednak, kiedy chwilowa luna, co zgasła już teraz przepływała po niej, każdy co ku niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy ni westchnienia nie usłyszał, ni jęku. — Wargi ściśnione i boleść kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich! — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

Lecz kiedy świętym obrzędem stało się zadość, kiedy Pan młody podniósł żonę, a ona padła w ojca objęcia, i ojciec ją niósł ku bramom kościoła, i tysiąc gromnic szło za nimi, i stopniami upływała ciżba, i kroków odgłosy wolniały oddalając się — i wreszcie pustkami stanął przybytek — śpiący tylko umarli w nim zostali, i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i rozkiełznany, szybki, uderzył pierśią o stopnie ołtarza, zerwał się i padł na nowo, a wreszcie siadł, lampą pozostałą nad krzyżem srebrnym blado oświecony — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicze, ale ku bramie którą wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał, i jedna gwiazda miga. — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i patrząc w gwiazdę, ostrzy ją na zgrzytającym kamieniu.

Tak w śnie magnetycznym z odkrytą źrenicą, nie nie widząc, nie nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżycyca promieniach — potęga której nie czują, stała się nimi — ona im ręce zboczy krwią nieprzyjaciół, ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno niesie, równie dziko pędzi!

I do owego człowieka zbliżył się mnich przyklękając przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: „Ktokolwiek jesteś

bracie, idź na spoczynek i nie mieszaj pokoju Pańskiego.“ Ale on mu nic nie odpowiedział. — Za tym szedł drugi i rzekł: „precz z kościoła, bo świętokradcą jesteś.“ Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: „Wyklinam ciebie i to żelazo któregoś u stóp krzyża śmiało dobyć.“ — A wtedy wstał winowajca i odparł: „Na te słowa czekałem, by cios stał się niechybny a rana śmiertelną“ — i wyszedł powoli — powoli jakby liczył kroki własne, wiedząc że ostatnie na ziemi!

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy co ją widział uczył w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przecucie. — Jej cienie owinęły pola i gaje. — Jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów w błękitie ukrytych płonące źrenice. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się im wstydliwie, za złote spojrzenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak świetnych ślubów, od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. — Czegóż im więcej można życzyć na ziemi? — On, wzięty u Króla, Pan wielu służebnych. — Ona, śliczniejsza od Aniołów, wniosła w dom męża ziemię obszerne posagiem. — Matki nie znaleźć któraby jej nie zazdrościła. — Młodzieńca któryby mu nie złorzeczył — a ojciec stary dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczęta jak kwiaty wyrosną mu na ścieżce przed grobem!

Sute też na zamku wyprawił wesele — nie wielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach tak jasno jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zabrzmią, stóp tańczących szum wzbija się i leci — porwane koła kręcą się, płatają, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiwa, łza co z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni co szły w krwi i pocie kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć. — Wyszedł na przy-

sionki i z ganku sypnął ludowi pełne misy srebra — wrócił i dyjamenty przyszpila napotkanym dziewczynom do łona. — Giermki co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu na przemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handzary. — On na pamiątkę tego dnia niemi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazyją odwilży — potem idzie dalej, łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim!

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś stropami złotymi, gzymsami z marmuru wily się sklepienia — i na nich herby ojców jaśniały nieskażone, święte! — Stał u wejścia i pojrzał szukając dziecka swego — ale jej nie ujrzał wśród krążących par, ani odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko płasał od jednych pań ku drugim, naprzemian znikomym z tą i z ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu, ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgraję — rozstąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom, kędy pustkami stały w framugach siedzenia lamowemi zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się od razu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczone ku wiązce róż leżącej na kolanie i odrywała ich listki marząc o czem innem — wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały.

Starzec cicho przystąpił i przewiodł na sobie, że łagodnym rzekł głosem: „Biedna matka twoja, jakżeby dziś szczęśliwą była! — za co Bóg niedozwolił jej tego dnia doczekać?“ — Drżąc podni osła głowę, drżąc ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni — potem nazad w pomieszczeniu przypiąć je chciała do sukni — przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadrażnionych świeże. — „Czemu płaczesz? zapytał starzec, jedynaczko moja? — Wspomnienie matki nie mogło do tvla cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy — w dniu

twego na świat przyjścia, ona odeszła do ojców — ach! tyś się skaleczyła córko!“ — I wziął jej dłonie i wymował z nich drobne ostrza kolców. — Ona mu odparła: „O! nie to mnie boli, ojcze, potem zaraz dodała: „owszem to, nie co innego, ojcze“ — i zamilkła — łzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: „Widzisz jaki stary jestem, drżą podemną kolana — prowadź mnie“ — i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Na około nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała!

W tej chwili odezwał się zegar przybity do górnego gzymsu — nad nim kuty ze spiżu siedział jedynowładca wielu królestw dawnych. Za każdym uderzeniem wychodził ze ściany posąg jednego wojewody i szedł się kłaniać umarłemu Panu, potem znikał roztwierającym się pochłonięty murem. — Przeszło ich dwunastu! — Wtedy z odległych komnat zamku wzniósł się chór niewieścich głosów, z razu jak szum błędny i nierozgarniony — ale coraz wyraźniejszy, z dalszych sklepień przesuwany się pod bliższe, wołający na oblubienicę. — Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, blednącą córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swatek ścigany chórem, wszędzie chcąc przemówić a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie na około woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej kędy jego nadziady w kamiennych spoczywają trumnach. — Gromnie kilka nad niemi się pali i zewsząd czarne spływają obicia bramowane srebrem. — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki się stoczyła i siedzi, milczy, truchleje. — On rzekł do niej: „Bóg nie raczył po mieczu przeciagnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten, który cię pojął, przysiągł imię nasze przybrać i dzieci twoje zwać się będą jak ojcowie moi — szanuj szczęście, którem Opatrzność cię uwieńczyła. — Pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, niema w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną.“

Te słowa mówił głuchym głosem — zdawało się, że każdym z nich próbuje serce milczącej — lecz kiedy nie odpowiadała, kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny zśliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: „Czy słyszysz, nadchodzą cię oderwać od łona, na którym wzrosłaś — pożegnaj mnie mówiąc, żeś szczęśliwa.“ — Lecz ona cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy milczała. — „Dziecię, ty chcesz, bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej. — Dotąd w spojrzeniu ocz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tyłu — jedyną perłę moją oddałem w cudze ręce, bom chciał by nieznanym zajaśniała blaskiem. — Co się dzieje tobie, dziecię? przemów do mnie słowo jedno — raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć, lub wyrzec, żeś nieszczęśliwa!“

I z przerwany oddechem, oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi. — Do połowy nóż tkwi mu już w sercu — jeden jęk, jedna łza, jedno jej wzdrygnięcie może teraz to serce rozerwać. — Ona wzniosłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskiem licu i zdała się przez chwilę wierzyć, iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha. — Zsunąwszy się, klęka na głazach, modli się i słowami i całą postawą do niego — dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony. — „Co za imię wyrzekłaś — nie powtarzaj go — mozem nie słyszał dobrze — milcz — milcz — nie — ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje, za to żem mu świetne losy gotował w przyszłości, za to że był synem brata mojego! — a jeśli go żałujesz, jeśli kiedy miałaś nędzną nadzieję, że ci pozwolę buntownika widzieć lub rękę mu twoją oddać, ach! wraz z nim i ty bądź przeklęta!“

Podniosła się dziewczica — ona dotąd cierpiała w milczeniu jak smętna ofiara niesiona na mściwych Bogów ołtarze. — Teraz odparła zimno i stanowczo: „kochałam go, ojeze.“ — Starzec nie dotrzymał tym cichym, śmiertelnym wyrazom. — Zakręciło mu się w głowie i zniszczony jak wszystkie nadzieje, którym ufał, padł u stóp grobowca

przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości — a kiedy się przebudził, ujrzał nad sobą twarz bladą córki i uczył jej uściski wołające go nazad do życia, i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzące ślubnej pieśni zwrotki — próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły śpiewając i zwolna śpiewając otaczały oblubienicę śnieżnym kołem — za każdym słowem zbliżają się bardziej — ona chowa się pod ramiona jego!

Wreszcie objęły ją, porwały i włoką sypiąc kwiaty na podłogę, paląc kadzidła i nowym hymnem głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem, z daleka, leniwo — i gdzie rozwijały się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty; stanął, i nad zemdloną znak błogosławieństwa ostatni raz kreśli — potem został sam jeden i ku salom godowym zmierzać zaczyna — stopniami odzyskuje przytomność, wołą duszy prawdę jakby sen zwodliwy rozgania, a rozkazując jej niebyć, uwierzył może, iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

Pan młody przemawiał do przyjaciół: „Wy, z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słuchajcie drodzy! wam jeszcze i tę noc poświęcę — ślubuję nie spojrzeć na żonę moją, aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie?“ Do okna skoczył jeden z towarzyszy i krzyknął: „księżyc dopiero w samym środku nieba.“ — „A więc do was jeszcze i z wami,“ zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił oprawną złotem, sadzoną dyjamentami, przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili na jego spoczęła ramieniu — obejrzał się i chwytając za drugi puhar: „zdrowie twoje, ojcze,“ rzekł, i „wy wszyscy spełnijcie je ze mną.“ — Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał zięciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, któremi szły niewieście postaci wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł potrząsając płowych pukle włosów: „Patrz na tych wesółych i mężnych, co mi po dziś dzień służyli tak wiernie — przysięgą związałem się z nimi — do ju-

trzenki razem pić będziem i śpiewać. Tę noc najpierwszą, najmilszą poświęciłem im“ — to mówiąc porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: „Za to podłych buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie,“ — wszyscy odkrzyknęli chórem: „Niech żyje książę nasz!“ — Z razu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapal ich wszystkich, myśli jego rozzerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płaczącej, opuszczonej — i sam dodał głosem, który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: „Biada buntownikom!“

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków. — Oni przed nim z pochodniami stoją. — Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali. — Teść go pożegnał zimnym wzrokiem wstrętu. — On wraca i woła: „Przez dobry kindzał mój, nie cierpię przymusu — świeżom pojał dziewoję, nie żadne kajdany. — Smutny księżyc niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasi — mnie rumiane słońce wyda piękną żonę moją“ nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści nożów dobyli z pochwec towarzysze — żaden celu nie utkwiał tak blisko — zatem nalawszy pełne czary piją chwałę wodza! — On stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro, brzęcząc i kłując jak osa — oni mu odpowiadają szumem poklasków. W takowych chwilach duszą na zewnątrz podany zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona łądzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie; lecz w sercu pusto jak u zalotnicy!

II.

W pieśniach waszych ludzie prości, zapamiętana dolina, w której raz ostatni wódz przemawiał do braci. — Ojcowie ją wasi odtąd nazywali jarem pożegnania — i dzieci

wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie — jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami!

Wśród trzech wzgórz łagodnej pochyłości, których stopy kąpają się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie powiewając gęstemi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach człowiek, co przed godziną wyniósł kłatwę z domu Bożego. — W około na piętrach zieloności leżały rozciągnięte, lub jeżyły się w dół nachylone postaci, czarne od stóp do gardła, blade na twarzach, migającą tu i owdzie uiskrzona bronią. — Znać czekali nań ci wszyscy, bo jak tylko się ukazał, leżący powstaną, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu — lecz żaden okrzyk się nie rozległ. On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie obalonym w poprzek strumienia i głowę schylił i dłoń opuścił między ciekące fale, on pierwszy przerwał milczenie — głos jego szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźnie na serca przytomnych.

„Na czas tylko byłem wodzem waszym. — Zapomnijcie o mnie, strzeżcie słów ostatnich, które powiem do was — w nich prawda stara jak te skały, jak te gwiazdy święta!

„Od tysięcy lat ojcowie nasi posiadli tę ziemię — nie słyhać by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej. — Jak kłosa niw, jak sosny borów, tak oni byli jej synami, a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha — Wolność — była ich udziałem.

„Nadciągnął król południowy z słuźalców tłumami. — Zrazu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby. — Różny od was wiarą i mową, co Bóg rozdzielił on to zespolić chciał, a gdy nie poszło mu po myśli, teraz nituje nas z sobą ogniem i żelazem! — Hańba miastom i panom dolin — w jaskinie gór, w jamy puszczy schronić się nie śmieli, poddali się najeźdźnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu — za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

„I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem — jedenże od dwóch lat dwór królewski spłonął? — gdzie

ciężko zbrojne najemniki co nas zdeptać mieli? Wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów, i wilki noc całą skowyczały z radości! — lecz by odzyskać ojców puściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

„Teraz właśnie, gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męży wyrosli, ludzię was zacząną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry. — Ich dary marne garście błota! — Wznieście oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi, gdy przyjdzie w boju umierać. — Lecz kto broń złoży, temu niechaj zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

„Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem. — Anioł stróż wasz mieszka w tych górach. — Dopiero później przyjdzie pora łupów! Słuchajcie owych siedmiu, którzy mnie wodzem postawili nad waszemi młodzieńcy. — Znękanie siwym trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciałami gruzami — kiedy was zwołają, zbieżcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie jakoście zwyciężali ze mną — mnie inna dola porywa. — Jutro moje już nie na tej ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!“

Umilkł i zerwał się widząc, że księżyc już wysoko stoi. — Oni schodzą ku niemu, a wiją się chyżo i zewsząd go czarnem obwiewają kołem — potem podszedłszy bliżej, staną i wołają: „Gdzie idziesz wodzu nasz?“ On rękę wyciągnął ku łunie co za wzgórzami blado płonęła. — „Stój... to ogień wesela z zamku przodków twoich odbity na niebie — my cię nie puścim do tych, którzy cię nie cierpią, do tej, która cię zdradziła!“ — Na te słowa, on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszystkich przytomnych: „Kłamcy! ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie, spać będzie na wieki! — Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią. — Ale śmierć z nią sobiem zachował — nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie!“ — i przechodził wśród nich, pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią

tam stawało się pusto — pomieszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli, drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają — a wszyscy proszą, by się zatrzymał, obiecując porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem, że choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świtem. On się zatrzymał — ucichli — głos jego się rozległ, wdzięczny jak za dni dobrych, lecz stanowczy jak na polu bitwy! „Dzięki wam, bracia! ale starca śpiącego w komnatach przodków moich, nie przebudzi szcęk szabel waszych — wzrosłem pod cieniem jego ręki. — On pierwszy usta moje nauczył imienia Ojczyzny. — On pierwszy usta moje zapoznał z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne, wprzód mi umrzeć trzeba. — Taki los mój — raz jeszcze bądźcie mi zdrowi!“ — I odszedł kilka kroków i dodał jakby już nie do drugich się odzywał ale sam do siebie: „Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąże — chyba przeciąć musi!“ — I mimowolnie wzniósł sztylet w górę — klinga kąpała się w miesięcznych promieniach, jako nowo narodzony meteor, świetlana i czysta.

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu, opodal, z spuszczonej głowy, bo wiedzieli, że co on raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. Oddawna krążyły przepowiednie rokujące mu zgubę. On sam, nieraz ściskając dłonie towarzyszy, mówił, że niedaleki dzień rozstania. A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny własne i cudze czary zwiastowały! — pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On już im wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i owdzie, przepadały i znów bielejąc wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni piętrami murawy przegrodzeni ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. Ztąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze — nim zdołał nań wstąpić znów go otoczyli — rzucił się,

odepchnął najbliższych, i dwoma skokami po chwiejącem się drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza — spadł lekko pochylił się gibko i z olbrzymią siłą wyrывa pień z pod głązów, które go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień jak wahadło zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały, u tamtego brzegu. — Zdało się im, że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz za późno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze — raz ostatni czoło jego oświecone miesiącem, widne w całej życia piękności! — Zdało się, że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo trzymając zawieszony nad przepaścią dłoń: „W imię Boga, krzyknął! wieczny bój między wami a południowym królem!“ Na okół dziesięć opok ten głos powtórzyło, i głąb jaru powtórzył go także — w tej chwili sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiskowi przysłuchują się jeszcze, ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich!

Nieszczęśliwy! teraz dopiero w oczach twoich błyska iskra szału! — Walczyłeś z nią dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, niechając im po sobie zostawić słabości wspomnienia — lecz jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę — jak płaszcz na ciernie drogi! lecisz gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelekła sowa z krzaków się podnosi, płasnie skrzydłami i dalej zapada. — Lis czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny. — Wilki stanęły z obu stron wąwozu. — Jak strzała przeleciałeś nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przypadły do ziemi! — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przyległych trzęsawisk — zaśmiał się dziko „na wyścigi ze mną, przyjacielu!“ on obwinał się na około czapki twojej i strugą sinego światła oblał ci piersi — oba równej lekkości i równie znikomymi w uścisku bratnim chwilę przepędziliście razem — lecz on pierwszy zgasł. Ty znów cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

A zamek na wzgórzu jaśniej setnemi ogniami. Ogrody schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak

sennie, że zdają się marzyć o szczęściu oblubienicy — nad niemi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy — zdało mu się, że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrotki były raczej snem niż jawem — ale w tej mgłę dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich, przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego podany od przodków — i lepszy jeszcze niż przedtem, rzucił się ku ogrodom — oburącz wgryzł się paznogciami w szczeliny murów — oderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów — i podbił się znów w górę i mur przesadził! głucho zaszeleściały przyduszone trawy. — On z potrójną siłą powstał dotknąwszy się ziemi i na znajome puszcza się manowce.

Dęby, klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnemi rzędami. — Tu i owdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery, dalej wierzyby płaczące i w dole cisza wód błękitnych podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przeigrał pod temi drzewami, przepływał na tych wodach — lecz go nie zatrzymują teraz przeszłości wspomnienia — tylko w gaju rozkwitłych jaśminów, u stóp góry zamkowej jęknął przelatując koło głazu starożytnego. — Tu, wśród nocy podobnych dzisiejszej wymykając się strażom, objawiała się wygnanemu bratu dziewica, — tu, w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój dotrzymania leżał na jej czole. — On goni dalej, a twarz odwraca za siwym kamieniem!

Wśród fontan i pomarańczowych drzew, kryte sklepieniem wschody, prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków, padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżyca. — On równie pewny swego, czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina, się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem. Tu, pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. Pusto wszędzie — z lewej strony słyhać pieśni i wrzaski — poznał, że od nich brzmią ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rząd okien od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka tam gdzie się zaczyna baszta

zachodnia, przez drzwi szklane, rozwarte, promień lampy się wymyka — i niby jak jęk czasem ztamtąd się odzywa, ale tak nieujęty gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można niż słuchem. On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwych-wstającym — i szedł prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł opierając się o filary i poręcze, wszystkiem ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemkni-onych podwoi, kiedy już widział zasłonę co z nad nich się wyrrywając, śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczuł, że za tą cienką oponą śmierć i życie powiązawszy dłonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało, że serce z piersi wypada — palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je, ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich. Dziwna, że nie pękło czoło!

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami — to obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błysnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manele, rozrzucone mignęły — przejrzał teraz — nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica, sama jedna. — Znać chór swatek obchodząc poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi na kobiercu złożone pod liśćmi róż toną. — Czasem westchnie jak owi nieprzytomni sobie co już nie myślą o doznanych bólach — czują je tylko — sami stali się bolem! Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fijołki, mirty i lilije, spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdym westchnieniem lzy płyną zwolna po jej białem licu!

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję jak łania obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła na

kolana, krzyząc: „Ty!“ — na więcej sił jej nie stało, w tem jednym słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samym miejscu, w tej samej postawie została! — Nic już nie słyhać — przepadły gdzieś kroki i głosy co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwała, stanął przed nią i poderwał ją z ziemi, lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: „Jestem!“

Ożyła i dziwnym sposobem zakwitła: „Wiedziałam, wiedziałam że mi się w wyroczonej godzinie ukazesz! Lecz ty może mnie przeklął w sercu — wiem — ach! słuchaj, bo oni się nie śpieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do kościoła, szukałam cię wszędzie oczyma; kiedym klękała przed ołtarzem, szukałam cię myślą na około, bo oczy nie służyły, łzami na dół ciągnięone — na zamku podczas tańców, kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam czy twój głos po nad inne nie zagrzmi — i teraz jeszcze, kiedy każda chwila niosła mi konanie, a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu, że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się — daj rękę — zbawiona jestem!“ I uginając się jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu!

Kto widział we śnie duszę wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł, co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzy? Wódz dotąd szedł myśląc, że spotka się z niewierną — teraz gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci, potężnym i nieśmiertelnym się staje! — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednym jej skrzydłem miłość, drugim będzie chwała. — Precz prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta, co pewna ratunku, co zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się malowane chmury wyobraźni! — piękne jesteście, bo was słońce życia ozłaca zachodem!

W gorączce, w omamieniu zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: „Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie

lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór, przed słubem. Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!

— „Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało terażniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgłam, że lud twój będzie ludem moim, a Bóg twój, Bogiem moim! — dotrzymam! Lecz wprzód trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nie przerywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca — doładź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ach! ojciec przyszedł i prosił i błagał! — ty wiesz jak twardym głosem rozkazywać umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej — piorun przekłętwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecko, że go strąca do grobu. — Książę, zięć przyszedł, obiecywał przybrać imie nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: oto będą twoi! — Ojciec ukląkł przedemną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania wyciągająca ręce do mnie! Wtedy zdjęła mnie nieskończona siła! wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu, ach! niecierpianemu, bo u mnie niecierpiany każdy, kto twoich oczu nie ma, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki, pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę. — Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz li jak się dzisiaj zowie?“ — Młodzieniec zakręglając ramiona koło jej kibici i patrzac w stronę krużganku: „Jak, mów jak?“ zawołał. — Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: „Nie wątp, że śmiercią. — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów — lecz ścieżka doń nie-długa, patrz takiej samej dłuży, co żelazo twoje!“

To słowo: żona, spadło z jej ust jak kamień na serce wodza, i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodził od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłonił od klątwy kościoła, bo co ksiądz

raz związał, tego człowiek nie rozwiąże. — Ach! zimno i słabo stało się w duszy wodza. Ta jedna chwila szczęścia, co już przeszła teraz, siłę mu wszystką odejęła. — Drży z bojaźni jakby teraz dopiero ujrzał długą rękę śmierci przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on sztyletu na nią podnieść nie zdoła — jutro — pojutrze, on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich, niechaj zostanie na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i płaczą — ona ucieka, lecz siostra doleci go u progu: „Co zamýślasz? gdzie gonisz niewierny? Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić? jedno wykraść i zhańbić mnie chciałeś?“

„O! nie zdradzaj! — o! nie opuszczaj! — za chwilę cudzoziemiec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nieskażoną twoją — a jeśli objęciom wroga ty mnie sam wydasz, wiesz-li jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan wtedy co pocznie? a sługa jego, mąż mój, co uczyni? — Patrz na starych. — Oni złorzeczą temu, co ubóstwiali za młodu, drogo cenią czem gardzili niegdyś — kto ich przetworzył? — Czas uczuć morderca, czas róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodnik, może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja. — Będę sama, sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach — zewsząd wszędzie ponęta, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tułasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imię moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy doleczą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił! — pchnij mnie w serce, — wyrwij mnie potworowi!“ — I w obłąkaniu wyciągnęła ręce jakby straszne widmo odepchnąć chciała: „Patrz! na jego czole słowo: hańba, sadzone dyjamenty — w oczach piekło błyszczy, a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie — opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego jak z czary krew moją czystą, krew moją

świętą pija!“ Tu padła na kobierce stopy mu oblewając łzami i długimi warkoczy.

Jak piórko ją podniósł: „Przez imię Bogarodzicy nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje — Czysta wśród najczystszych, ty przeminiesz jak płomień kadzideł!“ — Tu, znać pękło mu serce, bo rysy męskiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej równie gorzką, równie niewstrzymaną przyłał. — Lecz to ostatni znak słabości czy wahania, walki czy żalu w nim. — Błada spokojność osiadła na jego twarzy — i przycisnął dziewicę do piersi: „Tym pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich, a imienia nie zdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem, siostró, do ciebie — ale kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj! potem gdy osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebac mi! Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze — teraz módlmy się — bo razem ztąd odlecieć musimy!“

„Nie!... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu. — Ja w czyscu czekać będę na ciebie, cierpliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam, kędy mnie pochowają, pióro z hełmu lub pierścień z koleczugi. Grabarz spostrzeże się z rana i powie: ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej!“ — I nateżonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: „Duszą własną, duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!“ — i dodał żałobniej: „Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — Na czyich podwórcach zasiać jako sędzia i niszczyciel? — O, idźmy ztąd razem, siostró — tam kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam niemasz zdrady i ucisku — tam i zemsty niemasz!“

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wo-
dza objęcia — ni słówmi, ni łzami już dziękować nie zdoła,

ale zdiera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym węzłowiom, na jednym z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: „Teraz tyś pan i mąż mój na wieki!“ — i spuszczaąc oczy, wnet uklęka i modlić się zaczyna modłami umierających. — On uklęknął także — czasem wtórował jej słowom, czasem mileżał w ponurej powadze — wtem obejrzy się ku otwartym na ganek podwojom i rzekł: „już świtać zaczyna.“ — W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów — ona zbladła. — „Oprzej się na mojem ramieniu — spojrzeć na świat chodź raz jeszcze ze mną!“ — Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku.

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowym kona — śniado błędzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewie zasłony, przetkane jutrzeńki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia, raz jeszcze w tej przedostatniej chwili, stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontan, wdzięczne kształty filarów, kwieciami umajone krzewy! — Dalej na wzgórzach bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyaskach zorzy, wolnych wierzchołki gór! Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatera kiedyś gwiazda chwały! a teraz cały ten widok będzie mu tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z nimi — ona z schyloną głową ciśnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spojrzenia miłości. — Darmo świat budząc się coraz żywiej, coraz im głośniejsze radził, by czasu nie porzucali dla wieczności — nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami ranny powiew igrał!

W tem głosy rozhużdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalanej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy — potem sypnęły się na krużganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie. — „Boże! zawołał, wszak dasz braciom moim zwycięstwo!“ — i uniósł zdrętwiałą w wnętrza ślubnej komnaty — po murach zamku

obite wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai. — Znać pan młody spieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. — „Czy widzisz, krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już siebie samej, jaki piękny anioł mój!“ — „Ach! piękny, powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wznosił śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnym ich łożu — ani raczył przysporzyć wygodę sędziwemu ciału, szat nie zwłóknął, sługi gniewnem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpassał i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej, by zmówić jak co dnia pacierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj! Czasem tylko oczy wzniosłszy, patrzy na przodków obrazy niewzruszonymi źrenicami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

Wicie-li młodzieńcy, wy syny światła, kusiciele burzy, co się dzieje z duszą starców, gdy prysną ich rachuby — ostatnie ich miłości na ziemi? — O nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny. — Czas jak niewolnik niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna: choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — „Naprzód w nieskończoność,“ oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra! — już im trumna w poprzek progów leży, a jedna tylko gwiazda tleje nad źrenicą. — Oni modlą się do niej: „Tyś słodka i pocziwa! — nie uciekasz jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz jak meteor ciepłych nocy letnich — po długiej drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli — o bądź nam wierną, o świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi!“ — Wtem prawda zstąpi w ich

dzieńce, przesunie się jak wąż ślizga, naga, wśród zamkowych murów i dojdzie progu i siądzie na trumnie wyrok zawodu śpiewając — na głos jej, ostatni promień odrywa się z niebios, i noc wieczna staje się na imię światu!

Patrzcie! z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca! — Czy słyszycie jak lzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia jej męża brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownymi krokami. — Darmo siedmdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową, on dumny dotąd! on nie odgadł tajemnicy życia! — odmet zgrozy, zemsty, wahań, postanowień wplótł mu serce na koło męki. — Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złożonych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonięte, martwe, wlepiło się w przeciwległą ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje, że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca siedzącego wśród zgrai. — „Precz mi ztąd, książę przybyłe z obcej ziemi. — Przodki moje! powstańcie z grobów, otoczcie go rzędem. Czarny Hetmanie, wytrąć mu puchar z dłoni, ty Kardynale rzymski, wymów nad nim klątwę rozvodu!“ I słychać szelesty stóp umarłych ciągnące od zamkowej kaplicy. Rozwarły się na wścież ogromne podwoje — wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli, a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga, by prędzej do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze zblakłej od wilgoci podziemiów. Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: „Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi.“ — I znikły cienie — i rozwiała się sala biesiad i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samym krześle — głucho, pusto, straszno — w tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów!

Straszno, coraz straszniej! z kaplicy za łożem zielonawy odbłysek rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi; ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia jak szaty posągów w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. — Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony nieboszczki — usta rozemknęły się na nowo, lecz głos nie jak dawniej rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć, a nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach, tam dokąd go wiodła — koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów, szła coraz dalej aż do baszty zachodniej — wstała na wschody, drzwi zaryglowane się przed nią jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinieniem. — On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje by stanął i patrzył!

Przebóg! przed łożem ślubnem, naprzeciwko zwierciadła, ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża — poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca — dostrzegł nagi sztylet w jego ręku — usłyszał głos brzmiący jak dźwięk szklanej harmoniki: „Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz, ojciec już mnie wprzódzy zabił!“ — I postać niewieścia to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza. — Starzec wszystkie siły do krzyku natężył, lecz nie przerwał milczenia. — Dłonią strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się nie ruszył — więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: „Dam ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedyne dziecko nie zabijaj.“ — To znowu, że prosi się córki: „Dziecię, dziecko, zlituj się, on będzie mężem twoim, tylko nie chciej umierać!“ — Lecz oni go nie usłyszeli — sinem światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają, — w tem gwar słyhać na krużganku. Pan młody podchmielony i skoczny wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięgnął ręką do boku — nie znalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim! — Strach na kształt żywej śmierci, starca ogarnął. — Pan młody — rzuca się na wygnańca. —

Ten go odepchnął daleko, gdzieś aż pod samo okno, pytając: „Czego mieszasz spokój umarłych?“ — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci. — Słaby krzyk wzleciał i uleciał — gasną lampy jedne po drugich, ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej promieniach postać zbrojnego męża i postać dziewicy krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, zniżają, wreszcie upadły. — W tej samej chwili trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła.

Do koła cisną się sługi i giermki z świecznikami — łoskot słyszeli, przybiegli, zastali go leżącym na kamiennej posadzce z skaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu pada wołając: „Ratujcie dziewczkę moją — zamordujcie syna brata mego!“ Oni go w pół biorą, dźwigają. — „Czy noc jeszcze, czy to dzień już? gdzie jestem?“ — i zatoczył się ku szabli opartej na stole dębowym, dobył ją, rękojeść przewinęła mu się w rękę, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim — grube łyzy z powiek mu pociekły. — Oni kłękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — „Za mną, tylko za mną!“ odpowiedział przerwanym głosem i w pół niesiony przez nich kwapi się ku drzwiom, wychodzi na kurytarze, spieszy się, pasując się z niemocą, jak pływacz z falami. — Sługi spoglądając jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

Tak za jęczącym, za mdlejącym, za obłąkanym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty. — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku — przez rząd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogasające światła. — Już też przez okna przejść wkradają się przedśłoneczne świty — wtem nagle zatrzymały się pacholeta niosące przed panem pochodnie. Z zakrętu ciemnej galeryi człowiek pędzi im na przełaj — włosy jego rozczochrane, szata rozdarta, ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku, i sine usta i śniade czoło, jakby śmierć nań wionęła przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał. — Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej“ i dopadł starca i uchwycił go za ręce. — „Gdzie żona twoja?“ — Pan młody padł na kolana: „Poczekaj, ojeze, wróć

do twojej komnaty, tak rano śpiącej córki nie budź.“ — „A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze? — mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym — widziałem ją wołającą śmierci — a ty bezbronny tak jak teraz byłeś — i trzeci tam stał, który dziecię moje zamordował — powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy naigrawającej się z biednego ojca?“ — Schylił głowę Pan młody pod nieznośnym ciężarem tego zapytania, drży całym ciałem, a wzniesionymi rękoma opiera się starcowi. — „Milczysz? ha! Bóg mnie skarał, żem się pokłonił królomii twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze! — Teraz ja sam jeden zostałem na ziemi!“ Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie szyby okien i wszystkie serca przytomnych. — On chwycił miecz oburącz. „Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich — gdybym miał syna byłby twoim wrogiem? — córkęm jedynaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!“ I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary — na tem szczęk zerwał się Pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje. — Pasaują się oba, z podziwu i przerażenia nie podobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwilę przekuła. — Pan młody, choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłońie przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnięte ciało. — Teraz on już cudzej nie zażąda pomocy. — Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością. — Słudzy garną się za nim, sklepienie odjękuje odgłosowi ich kroków. — Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pań zamku — na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku rozognione promieniami wschodu. Zresztą pusto, głucho, słyhać tylko szmer bliskich wodotrysków. — Starzec prosto spieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu!

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi

krwawe serce Boga w przestrzeniach. Olśnął na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu straszego otoczyły go napowrót w jawu promieniach. — Tak jak widział, że upadli, tuż przed nimi rozciągnięte leżą ciała córki i synowca. — Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił nimi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu! — Tymczasem tłoczą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijscia struchleje i w ślup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramie wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego koleczudze, powyżej sztyletu co tkwi mu w piersiach — nikt nie przywarł im powiek — w świetle coraz bielszem słońca, szklnią się ich źrenice, a krew wszędzie na około, i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy, ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą, twarze ich oblane śniadym spokojem — jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać, męka śmierci lekką im była wśród zachwyty ducha!

Starzec jak stanął tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się — przytomni, parci świeżymi przychodniami zwolna muszą posuwać się naprzód półkolem — wstrzymują oddechy, oburącz trzymają szable, by nie zabrzękły; lękają się chwili, w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca!

Jezus Maryja! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak jak zawždy zwykł czynić — niby zadumany, niby nieświadom rzeczywistości wpatrywał się w ich postaci i przecierał powieki, a ogni-sta gorączka płonęła mu na licach. — „Wina węgrzyna — niech wypiję zdrowie obywatelskie!“ — Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli do koła. — „Krew tę obmyć nim moja dziewoja powróci“ — nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił nie mogąc znieść wzroku jego. — „Ha! wy nie wiecie, że to wszystko śni się nam. — Sen uparty,

Kiedy na brzegach morza staniecie wśród Żydów, Ormian i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot co huczy nad falą, niesłyszany przemija. — „Umarli!“

Kiedy na około snuć się będą niewiasty, ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy niż dusza ich. — „Umarli!“

Idźcie, płońcie jak szum nietkniętych borów. — Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i zmartwych-wstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!

I ujrzał jakoby w cudownem widzeniu obraz zmieniający się jak długie życie, a znikomy jako dzień jeden co się pocznie rankiem, a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rzał chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się żegnał, nie wiedzieć na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły na przemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał jak najpierwsze świeżej struny dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał jak potok z góry na dół, potem jak strzała po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za Panem!

Wtedy pozostały ukląkł, i słyszałem co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: „Ojeze niebieski! dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi. — Nie wódz jej na

pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię. — Niechaj tobie służy tylko. — Matce po sześćkroć zabitej niechaj służy tylko!“

Tu umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich, i znów wiatr przyniósł mi słowa jego: „Ojcie niebieski! nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on cierpieć musi jako wszyscy na świecie. Jedno uskaż mu, Panie, rumieńca wstydu i hańby słabości!“

Po tych słowach ze wzgórza puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym.

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego, przed wielką bramą miasta. — Już skwar słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czołe, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń przylatując z daleka, stanął jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy! — Pieszy siedział na głazie od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęcia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi.

Spoczęli oba w jednej z wewnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec na perskim kobiercu rozciągnięty odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puharu kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach kiedy mu ich kosztowności wskazywał przyjaciel. — Wstał nareszcie i wzięwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna. — Ztamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu. — Miasto ogromne, dziwne, jednostajne i wybielone; — naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży. — Młodzieniec patrzył ciekawie; starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy was zaprowadzę do miast bez starych świątyń i zamków, powiedzcie: „Umarli!“

Ale młodszy patrzył jeszcze ciekawiej: przejeżdżały niewiasty, jaskrawe były barwy ich sukien; każdą dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym otoczony. —

Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy na około snuć się będą ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy niż dusza ich, powiedzcie: Umarli!”

Ale młodszy nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekle chmury. — Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była!

A wśród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed którymi naród głębokimi chwiał się ukłony — kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi. — Długi, chudy oręż przy ich boku — grube piór czuby na ich głowach; głosem twardym wołając szli w potęgę swojej i uderzali dzieci pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jał tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz ich więcej przybywało — i kłaniali sobie samym coraz grzeczniej, coraz niżej, aż Jeden konno nadjechał i wszyscy upadli na ziemię. — Snać ten Jeden był panem życia i śmierci!

Wtedy rzekł pierwszy wędrowiec: „On już na spadzi-
stościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny.“ —
Lecz młodzieniec wlepiwszy wzrok w jasne szaty jezdźca,
ich błyski pił całą żrenicą, tak jak niegdyś błękit niebios
i nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero kiedy
ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł
imie matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa. — Star-
szy przyciskając go do piersi: „Nie patrz! nie patrz na
nich“ zawołał. — „Nigdy! Nigdy!“ odparł młodzieniec
i zalany łzami rzucił się znowu na wschodnie kobierce. —
I usłyszałem modlitwę odmówioną w duchu nad leżącym,
przez odchodzącego wędrowca. — „Ojcie niebieski! o po-
łudniu tej strasznej próby, błagam cię za tym, którego
ukochałem. — Ojcie niebieski! teraz już o cud proszę
ciebie. — Ośłódź tej duszy walkę życia — uwolnij ją od
pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie
upadła jak owi dawni, najpiękniejsi w twoich niebiesiach,
strąceni za to, że pragnęli potęgi!“

Sam teraz, sam jeden wśród miasta wielkiego został
młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. —
Na niebie już w ołowianą blachę zlepily się chmury. —
Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób,

a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym lic pozorem. — Ciągłe za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalają z serca i rany zablizniają — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa jak arcydzieła sztuki, i posiadał je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność równa dziennym promieniom znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego staty się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jał przed nim się cofać i koń go własny nie poznał, gdy wchodził na podwórcę pałacu swego — pogłaskał mu grzywę, a on nie zarżał — chciał skoczyć nań jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł grzmiąc podków łoskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za nim i zagasł w zmierzchu. — Ach! już była nadeszła zmierzchu godzina!

Wtedy po trzeci raz w dniu owym, z przyjacielem spotkał się młodzieniec; ujrzałem ich obu w kościele. — Ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych zatkniętych na świątyniach miasta. — Ubogie ołtarze i stropy grubą powleczone żalobą, a trzy gromnice tylko paliły się wśród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął go ręki pieszy wędrowiec i patrzył na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec, bo zapomniał był słowami głębi duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha niechęącego upaść powolne niszczenie! — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili! — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: „Za mną, za mną! byś sobie postać matki przypomniał.“ — I poszedł przodem ku roztwartym drzwiom za wielkim ołtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica przewodnika biła się z powiewem w długie iskry rozczochrana. —

I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głucho i niezmiernie obszary.

Ogniki nocne spadały czasem na kształt zlatujących gwiazd — czasem podniosły się z dołu jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie cmentarze jeden po drugim, a na każdego bramie tłało srebrne imię Ludu, który na nim leżał zamordowany. — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim spłoszone i jęcząc uciekają dalej — aż zrosł się z nich tuman podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu. — Łuny pożarów jak błyskawice rozlewały się w przestrzeniach i gasły na przemian, a coraz hyżej i coraz dalej toczył się wir Duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał się jak zeschnięte liście, przyległ do ziemi jak letnia kurzawa, wołając: „Ojcie niebieski! zmiłuj się nad nami!“ — Wtedy zatrzymał się przewodnik i kląkł przed wnijściem do otwartego grobu, na którym imię po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem; — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów świętem przerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie!

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze przestwory; niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu łagodnie pochyłem leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty w własnej krwi uspiiony — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórz takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzających ruczajów, kędy orzeł połamany zielskiem zarasta; a na każdym wzgórzu taż sama trumna i postać taż sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesienne co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny, zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony, śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na grudę zimową i przeklął życie!

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słyhać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: „Czy skoła już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych nie wywiedzie?“ — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzył na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem. — Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: „Ojcie niebieski! tyś zdradził nas! Tyś wydał nas piekłu, bo Święta nasza skoła.“ — Ale przewodnik odegrzmiał im z dali: „Nie bluźńcie, bo Święta wasza oddycha jeszcze. — Widzę ją! śpi w trumnie ostatniej na zamarżłem wzgórzu — za niem już nie masz siódmego, tylko jedno jest zmartwychwstanie.“ — A ryk Duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki jak początek nadziei!

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam pałał blask jutrzeńki na błękiecie bez końca; ztamtąd było słyhać szczeł, jeszcze nienarodzonych bitew i pieśń zwycięstwa. — Lecz zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzęst przez chwilę tylko dzwonił, milezenie i zmiereh i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochyliłi czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli. — Potem tąż samą, widziałem, jak wracali drogą, strasznemi wiążąc się przysięgi.

A starszy żegnając młodszego u wnijsia do kościoła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: „Nie daj się uwieść tym, którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imie twoje z rzędu słów zacnych na ziemi. — Pamiętaj, że cokolwiek ujrysz tej nocy jest piekiel złudzeniem.“ — I położywszy dłonie na sercu młodzieńca: „Ojcie niebieski! zawołał, zlituj się nad nim i nademną; bo jeśli on tej okropnej próby nie wytrzyma, ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie.“ — Po tych słowach kaźden z nich różną poszedł drogą.

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście. — Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysiącznych lamp wołało do zamku brzmiaćego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych wiodących w górne komnaty, wspinają się

młodzi i starzy, męże i niewiasty; wszyscy spiesznie, chciwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem młodzieńca na owych wschodach, z daleka starszą już twarzą, na której ślady przysięg z ręcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług, rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej strojny i wspaniały, gość równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i pojrzał na tysiące płasające w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręża pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozaiki, zbladł od gniewu i zgryzł wargi do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzidel wkradła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie laskotały go w stopy, co chwila innej barwy światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony, siadł na uboczu i pochyliwszy skronie zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszałem jak biła jedna długa noc godzina.

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rząd roztwartych podwoi dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący po nad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładca życia i śmierci, pod wiązaniem z chorągwi. Z jednej, rozdarłej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca! — Na ten widok, wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrział wzrokiem czystym od pokus, tak jak w godzinie poranku.

W tem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo, od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieżka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił Pan zamku i szedł zwolna jakby Bóg jaki śród padających na ziemię; — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny! — Tamten wstał i śmiało spojrział mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł ludzającym głosem: „Chodź! przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę“ — a kiedy młodzieniec stał jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą.

Z trumną matki wijącą się przed oczyma szedł młodzieniec a ramię jego drgało krwi kipiącej biciem na twarzem ramieniu mocarza, który srogim głosem grząc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdrygnięcia, jakby jej śmierć nie ciążyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać że znikła już z ziemi na zawsze i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość ogromną, wrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat wśród ludzi czołem bijących o malakity posadzek.

Na drugim końcu zamku, nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwarły, i tysiące podźwignawszy głowę, chciwie po za ich progi spojrzały: „Oto skarbiec mój, rzekł mocarz, patrz i uwierz we mnie.“ — A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni ciągnących się bez końca. — Blask bijący z ich jarów i urwisk pożerał źrenicę: toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra; tęcza przeskakiwała nad nimi łuki z ametystu. — Słychać było gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i tłukąc łańcuchami przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wewnętrzny kopalni, a drugie równie okute i umierające na ich miejsce wschodziły. Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask równy pogodzie pustyni wszystko zalał i pokrył. — Wtedy bramy spiżowe zawarto, a pan życia i śmierci odchodząc rzekł:

„O dwunastej bądź w sali tronowej — tam zasiądziesz do biesiady przy mnie.“

Teraz gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrział dumnie i rozkazywać zaczął.

W prześlicznej ustroni, wśród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szeptem do ucha w przełocie, i rzuca kwiatami na niego. — Gorączką nabiegły mu lica, uczuł że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym i to uczucie jak piorun strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim, szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem jak splątany, pomieszany, walczący, prosił się czasami Ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpacz przebiegał sale godowe i szukał broni, by pechnąć się w piersi, — ale nie znalazł jej nigdzie! — Były inne w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i lżył, rozdzierał ich muslinowe przesłony i deptał nogami. — One płacząc i korząc się wołały: „O raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!“ wreszcie krzyknął w obłąkaniu: „kocham!“ — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewczę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlokła do sali tronowej.

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytymi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina: — dworzany stanęli w okóło. — Zwinęła się w górę makata kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszły posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napelnioną popiołami tych, którzy walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata polegli; — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny, w książęcych gronostajach, i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed oczyma — nie widział przez chwilę, nawet kraśnej

towarzyski — słyszał tylko zapytanie pana: „Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?“ — i odpowiedź posłów wszystkich: „Zaprawdę nie powstaną nigdy“ a wtedy przystąpili dworzanie i po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci!

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się że te tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął wśród urn płonących. Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan schodząc z tronu sam skinął na niego i miejsce mu wskazał i wszyscy którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu.

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzął, puchar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wier i nadziei; ale wszystko co go otaczało, grubą zasłoną émiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie zimnym potem zlane pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy, pomieszały się w okropny hałas nieznośny, mdlejącemu; — i tak minęły przedostatnie godziny!

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła jak grzmot po nad jego głową. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: „Gościu biesiady mojej, rzekł, „czas byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia — i rzucił mu przez stół garść dyjamentowych krzyżów, dodając: „noś to na pamiątkę moją..“ — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na usta oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił

tak wszystkie wyrazy, aż do ostatniego! — Lecz za ledwo skończył, wstał Pan życia i śmierci: „Sługo sług moich, zawołał, śmierć od powrozu kاتا cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę...” potem rozśmiał się gardłem całym. Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszym spojrzeniem, spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: „Hańba“ wyczytał młodzieniec. — „Hańba“ krzyknął zrywając się z miejsca ostatkiem sił — „Hańba“ odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodu, z boków — „Hańba“ powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie; — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wołać jego nowem, cudzoziemskim imieniem; drudzy skacząc naokoło, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu by się im kłaniał; inni by deptał po matki niedopalonych popiołach!

To mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi już oparta na ręce drugiego i szydzi także. Jak może więc sunie po za posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek płącze się przed nim, a nigdzie schronienia: wszędzie na około obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom: pasował się długo, aż zrzucili go pod stopy i przeszli po nim śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczy-
stych. Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zacznie się cofać i szukać wyjścia z zamku. I bił się i tarzał i biegał i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze wschodów miedzianych i stoczył się na podwórzec zamkowy.

Tu go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko aż na stopnie kościoła widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już bliski wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranku na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczycy stał na wschodach przed starszym wędrowcem który rzekł ponuro: „Wiem że w innym czasie i na innym miejscu mógłbyś być zajaśnić bohaterem — ale wśród ciężkiej próby naznaczonej ci od losów, nie umiałeś być cnotliwym. — Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą; zgubionyś!“ — „Wróc mi konia!“ —

krzyknął młodzieniec — „wróc mi szaty stepów i dawną broń moją, a ujrysz jak mścić się będę krzywd bratnich i własnego shańbienia.“ — I czepiał się rąk przyjaciela i zawieszał mu się na szyi gorejąco wściekłością; — a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: „Czas głośnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmartwychwstania, policzą cię własni bracia w poczet odrzuconych! — Ztamtąd, czy słyszysz, już wrogi gonią za tobą! — Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli słuźalcem, ich zbrodni spółnikiem, ich żartu igraszką. — Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie“ i dobył sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł szaty nad piersiami. — „Uderzaj! — zawołał — umieram synem matki po sześćkroć zabitej — cześć jej na wieki!“ — Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił; — padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół w poprzek stepów życia. — Upadł, a oko jego gasnąc błysnęło dawną iskrą światła. Kląkł przy ciele towarzysza i wznosił w górę załamane ręce: „Ojczye niebieski! ty wiesz, że go wśród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, bronilem go od pokus piekła; a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem 'tobie. — Ojczye niebieski, zbaw ją w wieczności, a niech ta krew przeze mnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusieli.“ — Po tych słowach widziałem jak sam drasnął się pod serce żelazem, i na kamieniu po nad głowę umarłego czerwonym ostrzem napisał: „Z ręki przyjaciela.“ — W tem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i uchodząc znikł z przed oczu moich w przybytku kościoła.

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia.

O! matko po sześćkroć zabita! kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łanami zbóż, wśród zielonych borów od morza do morza, a w chwili odmłodnienia przypo-

mnisz sobie długą znoję śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz, matko moja! nie płacz nad onymi którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach. — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi! — Ani płacz nad tymi którzy wśród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień, jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku, ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi! — Ale uroń łzę litości, o uroń łzę, matko moja! nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocą rozkazem. — Oni! matko! oni więcej wycierpieli niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje jak noże przeszły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmiały w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyło im za cień własny; lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdym urwisku zatrzymując się, płakali za tobą! — aż serce wyszło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidomych kajdan; — i stali się jako trupy żyjące, sami wśród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi! — Matko moja! ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przepomnienia!





TREŚĆ.

Słowo od wydawców	I
Życiorys Z. Krasieńskiego.....	III
Agaj-Han	1
Nie-Boska Komedya... ..	113
Noc letnia	315
Pokusa.....	346

KONIEC TOMU I.

2704a 21







Biblioteka WSP Kielce



0225554